ŻYCIE

ROK XII Nr. 8 (557) LONDYN, SIERPIEŃ 1958 R. CENA 3/-



Matka Boska Zwycięska z Kozielska (obraz M. Siemiradzkiego w Instytucie Marianum w Penrhos; obecnie pregrynujący po polskich parafiach w W. Brytanii)

„...Wszelki umysł nie oświecony przez światło Boże odrywa się od pełności prawdy. Niezgody powstają, wzbierają na sile i rosną, gdy obywatele, społeczeństwa i narody przestają się kierować miłością braterską...

Jak ongiś w czasach apostolskich, gdy chrześcijanie cierpieli gdziekolwiek prześladowanie, wszyscy inni, połączeni węzłem miłości, zanosili modlitwy i błagania do Boga... tak i dziś... Jednym głosem i jednym sercem błagajmy, by wolność Kościoła została przyznana wszędzie... Oby wszyscy zrozumieli, że nic się prawdzie w końcu nie oprze, że nie można trwale opierać się miłości..."

(Pius P. P. XII: „Meminisse iuvat")

„...Tym, którzy są wystawieni na ucisk moralny, o tyle niebezpieczniejszy im bardziej podstępny, bądź (Panie) światłem... Niechże ich wesprze nasza gorąca modlitwa; nasza braterska solidarność niech pozwoli im odczuć, że nie są osamotnieni... Racz, Panie, skrócić dni próby..."

(z modlitwy Ojca św. za Kościół uciśniony)

Konkurencja czy współdziałanie

Obok głosów zachęty i objawów życzliwego zainteresowania, które otrzymuje ŻYCIE, redagowane przez rosnący zespół starych i nowych przyjaciół, nie brak ostrych wypowiedzi krytycznych. Istnieją również poglądy, wyrażające wątpliwość co do celowości takiego pisma, jakim ŻYCIE chciałoby się stać, i co do jego przydatności.

Krytyka jest zawsze przydatna. Oczywiście pod warunkiem, że bierze się z niej to, co konstruktywne i wciela w... życie (zależnie od możliwości, zaraz albo później), ale nie czeka się, aby sama krytyka zbudowała linię pisma, kierunek jego zainteresowań, dopływ współpracowników i materiałów. ŻYCIE ogłosiło zarys „linii", powiedziało czym się pismo interesuje, zaprasza coraz liczniejsze i coraz bardziej różnolite grono do czytania i pisania. Wyniki przeszło półrocznej egzystencji są bardzo... nierówne czy to w t.zw. poziomie, czy w wychwytaniu tematów, czy też w ich ujmowaniu, czy w układzie, zależnym przecież od nadsyłanych materiałów. To prawda. Ale każdy nowy dobry artykuł, nota, essej, opowiadanie, wiersz, list do redakcji, a zatem wzrost liczby współpracowników, zainteresowanych poziomem, będą ten poziom podnosiły i wyrównywały. Łamy są otwarte...

Warto natomiast przeanalizować niektóre głosy, wątpiące o celowości i przydatności pisma.

Padają głosy, że wobec konkurencji pism katolickich z Kraju, zwłaszcza „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego", nie ma miejsca na miesięczne czy tygodniowe pismo katolickie dla inteligencji na emigracji. — Pogląd ten nie wydaje się słuszny. Argumenty przeciw niemu wynikają automatycznie z trwania emigracji ideowej i politycznej i będą ważne, dopóki uzasadnionej emigracji nie będzie można z westchnieniem ulgi zakończyć.

Wątpliwości są najoczywiściej niesłuszne, gdy się rozważy te wszystkie nieszczęsne okoliczności krajowe, dawne i niestety nowe, dotyczące ograniczeń swobody wypowiedzi, w treści, w tematyce, w nasileniu. Oby nigdy nie wrócił okres, w którym trzeba mówić za milczących. Nie można jednak uznać się za zwolnionych od prawa i obowiązku dopowiadania.

Wątpliwości są także niesłuszne w okresach względnej swobody słowa mówionego i drukowanego, swobody niestety niegwarantowanej. Póki jesteśmy poza Krajem z powodów wiadomych, choć bardzo różnie rozumianych, możemy i powinniśmy dawać nasz wkład, wszechstronny i własny, i do tego co jest rzeczywistością współczesną, dzisiejszą i jutrzejszą, uniwersalnego Kościoła, i do tego co jest w naszym, niczym nieskrępowanym rozumieniu, jako cząstki narodu, dzisiejszą i jutrzejszą rzeczywistością polską i jej katolickim obliczem.

Niezależnie od ściśle politycznych aspektów naszego historycznego chwilowego „przydziału", którymi nie wolno nam nikogo poza nami samymi obciążać, polska inteligencja o przekonaniach katolickich ma obowiązek dostarczenia tego wkładu — myślą, słowem żywym, słowem drukowanym: książkami, ale i prasą.

Zapraszają nas do tego z Kraju. Zacytujmy Kisiela (nie dyskutując z nim o tym czego... nie napisał, ani, na razie, nie kłócmy się o ujęcia, których użył) z jego felietonu „O kształt polskości" („Tygodnik Powszechny" z 27.7.58): „...Uważam, że w tworzeniu nowej polskiej treści socjologiczno-kulturalnej nie może zabraknąć wkładu Polaków z Zachodu. To są ludzie, mający w oczach nieskażony obraz kształtu przeszłości a jednocześnie żyjący w krajach o strukturze techniczno-materialnej, do której właśnie my swoją mozolną drogą również jakoś zdążamy. Mają oni właśnie te doświadczenia, których nam brakuje, dlatego są nam tak potrzebni... Być obecnym — oto istota sprawy. Można nim być, mieszkając daleko, można nim nie być, siedząc w Warszawie. Trzeba tylko zrozumieć ważność, kategoryczny imperatyw tej sprawy. Do moich przyjaciół z emigracji kieruję więc końcowe hasło: bądźcie obecni w polskim życiu, w jego problemach i załamaniach, w jego sukcesach i klęskach."

O „konkurencji" z pismami katolickimi z Kraju, które mieć i czytać chcemy po to, by być bardziej obecni, można chyba mówić tylko w tym sensie, by nasze katolickie pisma na Zachodzie potrafiły wysiłkiem swoim, w jakże innych warunkach, sprostać wysiłkowi pism krajowych, wkładanemu w ich zadania w warunkach tamtejszych. Wtedy bowiem dopiero rozwijać się będzie potrzebne i pożyteczne współdziałanie.

A wreszcie trudno oczekiwać, żeby pisma krajowe, nawet w warunkach bardzo dużej swobody, mogły zająć się naszymi własnymi problemami np. niebezpieczeństwem penetracji zachodniego humanizmu materialistycznego, pokusami życia ułatwionego, lenistwa intelektualnego czy społecznego, osłabieniem więzi życia rodzinnego itp.

Są głosy, które mówią, że katolickie ŻYCIE, jako pismo społeczno-kulturalne, nie może wytrzymać konkurencji z takimi pismami polskimi jak „Kultura" czy „Wiadomości". I że wobec tego nie ma racji bytu. Że ta konkurencja co do poziomu istnieje — to świetnie. Byleby ją wytrzymać. Błędne jest przeświadczenie, iż się jest „wybranym", z tego tytułu, iż się posiada prawdę przez przynależność do Kościoła. Trzeba pokory, żeby prawdzie służyć. Trzeba pracy, studiów, talentu, aby stanowisko katolickie rozumieć, pogłębić, przedstawiać, aby w świetle tego stanowiska zajmować się najróżnorodniejszymi dziedzinami życia i ludzkiej twórczości i działania... W wymiarze ogólnopolskim istnieć tu powinna nie tyle konkurencja, co podział zadań. Pismu katolickiemu „z powołania i szyldu" musi chodzić o własny punkt widzenia, o położenie nacisku na aspekty religijne, etyczne i moralne w ujmowaniu nieograniczonej gamy tematów. I to jest „ratio specifica" jego istnienia i wkładu w odróżnieniu od pism o innych założeniach. Nawet gdybyśmy mogli, nie chcielibyśmy odbierać tym innym pismom autorów–katolików. Odwrotnie. Ale ci autorzy powinniby chcieć wypowiadać się także i na łamach katolickiego pisma.

I co do pierwszego więc i co do drugiego „być albo nie być" odpowiedź pozytywna zależy od dobrej woli producentów i konsumentów spraw ducha i umysłu w naszej społeczności. I tych myślących, obdarzonych umiejętnością pisania (nie tylko książek), chcących dać temu wyraz społeczny w piśmie własnym, — i tych myślących a chcących czytać, gotowych zapewnić odbiór i poparcie materialne swojemu pismu.

Można i trzeba przyznać, że polski i katolicki wkład dawany jest przez jednostki, instytucje i organizacje, przez książki i prace indywidualnych autorów, przez żywe słowo, przez działalność jednostkową i zbiorową. Ale trudno zaprzeczyć, że potrzebnym uzupełnieniem tych wysiłków, środkiem do ich zwielokrotnienia, narzędziem formowania i wyrażania opinii społecznej, mobilizowania jej i organizowania — jest prasa, jest pismo. Oczywiście pismo na poziomie i jako takie narzędzie używane.

Jeżeli tylko, na tle niewątpliwych potrzeb, znajdą się i zechcą działać producenci i konsumenci, współtwórcy katolickiej opinii, — to wówczas pismo będzie się rozwijało i stawało jej wyrazem. Jeżeli nie, — dorobek jednostek i zespołów pozostanie, ale staniemy się niemową, jako katolicka świecka społeczność polska poza Krajem.

S.G.

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 8 (557)

Sierpień 1958 r.

SPIS TREŚCI:

DR FELIKS BEDNARSKI, O.P.

Obowiązek pracy według św. Tomasza z Akwinu

1) Praca — najogólniej — to wszelkie działanie siły pokonywującej opór na pewnej drodze. W tym znaczeniu ujmuje pracę fizyka, mierząc ją iloczynem siły przez długość drogi, na którą ta siła działa. Praca w tym znaczeniu może być przyczyną lub skutkiem zmiany położenia czy kształtu jakiegoś ciała albo też przyczyną czy skutkiem ruchu jakiegoś ciała. W pierwszym wypadku mamy do czynienia ze zmianą energii potencjalnej, np. przy rozkręcaniu się sprężyny, w drugim zmianę energii kinetycznej, którą fizyka określa iloczynem połowy masy ciała i kwadratu jego prędkości.

To fizykalne określenie pracy da się zastosować do wszelkiego działania, wykonywanego przy pomocy energii materialnej. Możemy jednak mówić także o pracy wykonywanej siłami duchowymi, a nie materialnymi. W człowieku jednak siły duchowe przy działaniu zawsze odzwierciedlają się w towarzyszącym im działaniu sił materialnych a więc i energii fizykalnej. Pracę ludzką więc można określić jako świadome celu użytkowanie energii ludzkiej do wytworzenia określonych i użytecznych dóbr, a więc i wartości.

Pojęcie pracy ludzkiej jest ściśle związane z pojęciem kultury i to zarówno genetycznie bo praca jest źródłem kultury, — jak i teleologicznie czyli celowościowo, gdyż kultura jest celem pracy. Kultura bowiem to zespół dóbr, wytworzonych świadomą celu pracą człowieka dla udoskonalenia natury. Wszelka więc praca ludzka w ścisłym znaczeniu jest świadomym celu tworzeniem wartości kulturowych czyli doskonalących naturę. Trud, wykonywany choćby nawet świadomie dla samego tylko niszczenia, bez możliwości doskonalenia natury w innej formie, jest jedynie pracą fizykalną, a nie pracą prawdziwie ludzką.

Praca niewątpliwie różni się od zabawy, ale nie tym, że bawiąc się, nie przynosimy ani sobie ani innym pożytku, jak sądzi prof. Suchodolski — ani tym, że przy zabawie czujemy się wolni od wszelkiego obowiązku, że „wolno nam rzucić zabawę, gdy czujemy się nią znużeni, gdy już jej mamy dość", bo to byłoby niekiedy sprzeczne z etyką zabawy czy sportu. Tego rodzaju różnica jest nieistotna, bo także zabawą można przynosić pożytek bliźnim, ani też zabawa nie zwalnia od pewnych obowiązków, które są z nią związane. Niektórzy, jak Claparède, nie widzą istotnej różnicy między pracą a zabawą. Zasadniczo jednak można powiedzieć, że działanie mające bezpośrednio na celu osiągnięcie przyjemności, a nie będące świadomym celu tworzeniem wartości kulturowych — poza samą kulturą fizyczną — jest zabawą; jeśli zaś ma bezpośrednio na celu tworzenie wartości użytecznych i osiągnięcie przyjemności, wówczas jest równocześnie pracą i zabawą.

2) Ponieważ wszelka praca ludzka w ścisłym znaczeniu jest świadomym celu tworzeniem wartości kulturowych czyli doskonalących naturę, pracę należy dzielić tak samo jak kulturę ze względu na jej formalny, czyli istotnościowy przedmiot, którym jest tworzenie określonego rodzaju dóbr, doskonalących naturę. Dobra te mogą być trojakie: gospodarcze, czyli materialne zewnętrzne, takie jak pola, kopalnie, pieniądze itp.; b) cielesne, czyli materialne wewnętrzne, tego rodzaju jak zdrowie, siła, piękność ciała; c) duchowe, czyli takie, które nie dadzą się ująć samymi tylko zmysłami, gdyż poznajemy je rozumem przy pomocy zmysłów. Te duchowe dobra mogą być trojakie: 1) artystyczne, które doskonalą uczucie i poznanie człowieka w tworzeniu i odczuwaniu piękna, czyli tej jedności w wielości, której poznanie budzi w nas upodobanie dzięki współmierności, jasności układu i doskonałości formy czyli treści; 2) poznawcze, a więc takie jak nauki wraz z ich różnorodnymi wytworami; 3) społeczno-moralne, jak sprawności duchowe, wychowanie, religia, świętość itp.

Pracę ludzką, będącą świadomym celu wytwarzaniem wartości gospodarczych, cielesnych, artystycznych, poznawczych czy społeczno-moralnych będziemy nazywali odpowiednio pracą gospodarczą, sportową, artystyczną, naukową i moralną, zaznaczając, że nie jest to podział przeciwstawnych sobie rzeczy, ale uzupełniających się wzajemnie jako różnych stopni. Podobnie, zespoły wartości wytworzonych tego rodzaju pracą będziemy nazywali kulturą gospodarczą, fizyczną, artystyczną i moralną.

Powyższy podział bierze pod uwagę to, co najbardziej jest istotne dla działania, a mianowicie sam przedmiot, a nie to, co jest czymś ubocznym, przypadkowym, nie to, czym wykonujemy działanie. Podział na pracę fizyczną i umysłową ma sens o tyle, o ile przez pracę fizyczną rozumie się wytwarzanie wartości fizycznych materialnych, głównie gospodarczych, przy pomocy także rąk, lub nóg (tak!), wszelką zaś inną nazywamy pracą umysłową.

3) W starożytności praca nie była w powszechnym szacunku. Wykonywali ją najczęściej niewolnicy lub biedni. W Grecji np. praca uchodziła za tak niewłaściwe zajęcie, że pracownik, nawet artysta i wychowawca, żył poza nawiasem społeczności obywatelskiej i nie uchodził za godnego towarzystwa ludzi wolnych. Sam Arystoteles nie wzniósł się pod tym względem ponad swą epokę, co więcej usiłował przekonywać, że człowieka który pracuje fizycznie nie powinno się nazywać obywatelem państwa, gdyż praca — jego zdaniem — poniża człowieka i przynosi ujmę obywatelowi, a przystoi tylko niewolnikom. Ludzi pracujących fizycznie Stagiryta uważa tylko za narzędzie, a tym samym za własność prywatną pana. Usiłuje tego rodzaju zdanie uzasadnić przez powołanie się na rzekome prawo natury.

Dopiero chrześcijaństwo nauczyło cenić pracę fizyczną i jej wykonawców przykładem Jezusa Chrystusa, który sam pracował fizycznie i na swych apostołów wezwał prostych robotników (rybaków), do wszystkich zaś skierował te słowa: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy pracujecie, a Ja was ochłodzę" (Mt. 11, 28). Apostoł zaś Paweł nie wahał się powiedzieć: „Pracujcie rękoma waszymi, jakośmy wam zlecili" (1 Tes. 4, 11). „A jeli kto nie chce pracować, ten niech nie je" (2 Tes. 3, 10).

Św. Tomasz, mimo swej zależności od Arystotelesa w wielu innych sprawach, ustrzegł się jego błędów. Nie uważa pracy ani umysłowej ani fizycznej za coś hańbiącego lub poniżającego człowieka, owszem uznaje ją za powszechny obowiązek, wynikający z prawa natury, gdyż praca jest warunkiem osiągnięcia celu ostatecznego dla wszystkich dorosłych. Wprawdzie zajęcia, wykonywane głównie przy pomocy rąk, nazywał służebnymi, ale nie dlatego jakoby uważał je za odpowiednie tylko dla niewolników, ale dlatego, że ciało powinno służyć duszy: „Nazywamy je służebnymi w miarę jak ciało jest poddane duszy, by jej służyć; ze względu zaś na duszę człowiek jest wolny" (STh 1-2, 57, 3, 3m).

Według św. Tomasza zarówno praca fizyczna jak i duchowa jest „konieczna dla ludzi, chociaż człowiek zasadniczo jest tym doskonalszy, im bardziej oddaje się sprawom duszy" (C. G. III, 123). Mimo że kontemplacja, zdaniem Akwinaty, jest czymś doskonalszym niż praca fizyczna, niemniej praca fizyczna jest czymś dobrym i koniecznym. Trzeba jednak pamiętać, że według św. Tomasza: „przez pracę fizyczną czy ręczną należy rozumieć nie tylko to, czego dokonujemy rękami, lecz to, co robimy przy pomocy jakiegokolwiek narzędzia, a krócej: wszelkie zajęcia tego rodzaju, że człowiek może przez nie zapewnić sobie wyżywienie w sposób godziwy" (tamże). „Należy wiedzieć, że przez pracę ręczną rozumie się wszelkie ludzkie zajęcie, dzięki któremu ludzie mogą sobie w sposób godziwy zapewnić wyżywienie, bez względu na to, czy rękoma, czy nogami, czy językiem to czynią; dozorcy bowiem i gońcy itp. żyjący ze swej pracy, żyją, jak się to mówi, z pracy rąk własnych; skoro bowiem ręce są najlepszym narzędziem, przez pracę ręczną można rozumieć wszelkie zajęcie, przy pomocy którego można zdobyć wyżywienie w sposób godziwy" (STh 2-2, 187, 3).

W przeciwieństwie do Arystotelesa św. Tomasz uczy, że praca fizyczna jest obowiązkiem nie tylko niewolników, ale obowiązkiem wszystkich ludzi, gdy nie ma innego godziwego sposobu zarobienia sobie na życie. Praca fizyczna nie tylko nie jest przekleństwem, lecz jest środkiem do osiągnięcia właściwego celu życia i zdobycia doskonałości, która jest tym celem w ujęciu podmiotowym (w ujęciu przedmiotowym celem ostatecznym jest dobro najwyższe, czyli Bóg). Praca bowiem w najogólniejszym znaczeniu jest nakazem samej natury człowieka, tak że temu prawu podlega każdy człowiek, a kto się od niego uchyla, działa przeciw naturze i popełnia moralne przestępstwo, o ile — rzecz jasna — jest zdolny do pracy.

Nie każdy jednak jest obowiązany do pracy fizycznej, jeśli innym rodzajem uczciwej pracy może zapewnić sobie środki do życia. Niemniej, według św. Tomasza, i w tym wypadku dla wielu ludzi praca ręczna może być bardzo wskazana, a to dlatego, że tego rodzaju praca posiada obok zasadniczego celu, którym jest zapewnienie środków do życia sobie i innym, także trzy inne, moralne i wychowawcze cele, a mianowicie: opanowanie popędów, niesienie pomocy innym czyli jałmużna, oraz uniemożliwienie próżniactwa, które jest jedną z największych przeszkód w pracy duchowej i w postępie w doskonałości. Ponieważ jednak te trzy ostatnie cele dadzą się osiągnąć także bez pracy fizycznej, dlatego nie mogą stanowić podstawy do ścisłego obowiązku pracy fizycznej w tym stopniu, co konieczność zdobycia środków do życia. Innymi słowy: dla tych, którzy w sposób godziwy mogą

zdobyć skądinąd utrzymanie, praca fizyczna nie jest nakazem prawa natury, ale tylko jego zaleceniem (STh 2-2, 187, 3).

4) Prawo i obowiązek doskonalenia się, właściwy każdemu człowiekowi, jest podstawą prawa i obowiązku pracy dla wszystkich ludzi. Skoro bowiem każdy człowiek ma obowiązek doskonalenia się, i obowiązek ten wynika z samej natury każdego jestestwa, tym samym każdy człowiek jest obowiązany do tego wszystkiego co jest koniecznym środkiem do tego celu, a więc także każdy człowiek ma prawo do pracy. Otóż praca duchowa nad samym sobą jest konieczna do spełnienia tego obowiązku doskonalenia się; praca zaś zawodowa, należycie wykonywana, jest z kolei dla zdolnych do pracy koniecznym warunkiem pracy wewnętrznej nad samym sobą, skoro takie udoskonalenie jest niemożliwe bez sprawiedliwości i miłości bliźniego, a tych dwóch cnót nie da się praktykować, jeśli się nie spełnia swych obowiązków zawodowych i tym samym nie wykonuje się żadnej pożytecznej dla drugich pracy.

Skoro każdy człowiek ma prawo do doskonalenia się, a praca jest koniecznym warunkiem do tego celu, każdy człowiek ma prawo do pracy, a społeczeństwo w myśl zasad sprawiedliwości rozdzielczej ma obowiązek dostarczenia wszystkim swym obywatelom możności zdobycia i wykonywania pracy oraz właściwego jej podziału, który jest podstawowym warunkiem wszelkiego postępu.

Praca ani pracowitość sama przez się nie jest jeszcze cnotą, jak to sądzą marksiści. Cnoty bowiem nie można użyć w sposób niemoralny w myśl potocznego określenia, że „cnota to taka dobra sprawność umysłu, że przez nią życie jest dobre, i że jej nikt źle nie używa". Praca zaś, jak i sprawność w niej może być nadużyta do przestępstw moralnych. Natomiast sumienność i staranność w godziwej pracy jest cnotą wchodzącą w skład cnoty roztropności.

5) Tak więc na podstawie powyższych rozważań dochodzimy do wniosku, że praca, jako świadome celu tworzenie wartości kulturowych dla doskonalenia natury, jest obowiązkiem każdego człowieka; z tym jednak, że praca fizyczna jest tylko wtedy koniecznym obowiązkiem, jeśli bez niej nie można w sposób godziwy zdobyć środków do utrzymania własnego czy najbliższych osób. Jeśli jednak nie zachodzi ta konieczność, praca fizyczna nie przestaje być zaleceniem prawa natury ze względu na trzy uboczne jej cele: ułatwienie opanowania popędów, możność niesienia pomocy innym, oraz uniemożliwienie próżniactwa. Prawo zaś i obowiązek pracy wypływa z prawa i obowiązku doskonalenia się.

O. Feliks W. Bednarski, O.P.

ROSALIND MURRAY*)

ODNAJDUJĘ ŻYCIE I ŚWIATŁO

Pierwsza rzecz, o którą zapytują konwertytów, to historia ich nawrócenia. Co było powodem, że zainteresowali się Kościołem? Co wpłynęło na ich ostateczną decyzję? Często też, w tej czy innej formie, kieruje się w ich stronę pytanie: co myślą o katolicyzmie właśnie teraz, gdy są w Kościele?

Wyobrażam sobie, że dla niektórych ludzi odpowiedzi na te pytania są proste; mogą zawsze odnaleźć w przeszłości jakiś szczególny moment, jakąś osobę lub miejsce, czasem zupełnie przypadkowo wypowiedzianą uwagę, z czym wiążą obudzenie się w nich zainteresowania dla religii. Potem mogą już nakreślić w uporządkowanej kolejności następujące po sobie pytania, wątpliwości i wahania, które w końcu doprowadziły do pomyślnego rozwiązania ich problemu.

Dla mnie odnalezienie takich szczególnych momentów jest niemożliwe. Gdy oglądam się wstecz, cała moja droga do katolicyzmu wydaje mi się równie nieunikniona, jak pewna; widzę ją jako proces dźwigania się i wyzwalania, w którym ja sama jestem prawie bierna. Było to raczej stopniowe oświecanie niż nagłe przejście od niewiary do wiary.

Gdybym miała odpowiedzieć pokrótce na wyżej postawione pytania, powiedziałabym tak: Kościół był zawsze bliski mej świadomości; zawsze, jak daleko moja pamięć sięga, chciałam raczej być w Kościele niż poza nim; zapory ustępowały stopniowo i znalazłam się w liczbie wierzących.

Kiedy myślę o przeszłości, nie wydaje mi się, że to ja uczyniłam w tym kierunku coś pozytywnego, albo że podjęłam jakąś bardzo rozumną decyzję. Ja tylko czekałam, nie stawiając oporu. Zawsze chciałam być katoliczką. Nie potrafię logicznie wytłumaczyć dlaczego. W pewnym czasie pragnienie to stało się tak silne, iż wydało mi się, że to musi zaraz nastąpić. Było to jak rozkaz. Nie miałam żadnych wątpliwości, żadnych wahań, nie doświadczyłam żadnej z tych trudności, które niepokoją intelektualistów, przywykłych do zupełnej swobody myśli. Jedno tylko wydało mi się dziwne, a mianowicie to, że mogłam istnieć tak długo w tak osobliwej i nieokreślonej sytuacji, że wiedząc gdzie powinnam być i gdzie muszę się znaleźć, potrafiłam zadowolić się czekaniem.

Tyle, jeśli chodzi o dwa pierwsze pytania. A teraz trzecie: — co ja myślę o katolicyzmie?

Od pierwszej chwili przyjęcia mnie do Kościoła poczułam zupełną pewność i spokój kompletny. Być może — jeszcze dziwniejsze jest to, że czułam się od razu jak u siebie w domu, jak gdybym odnalazła się wreszcie tam, gdzie od dawna przynależę. I niech mi wolno będzie dodać, że na przestrzeni lat siedemnastu, które upłynęły już od tego momentu, pewność ta i przekonanie, że jestem wśród swoich — nigdy nie osłabły.

Zdaję sobie teraz sprawę, że ten opis mego nawrócenia może nic nie dać ludziom, którzy zbliżają się do Kościoła zupełnie innymi drogami. Tego rodzaju bezpośrednia pewność i przekonanie, jakkolwiek nieodparte dla tego, kto ich doznaje, nie łatwo udzielają się innym. Taki stan wydać się może irracjonalny i subiektywny w oczach pewnych ludzi. Dla umysłów, które reagują inaczej, może nawet oznaczać brak zrównoważenia. Niejeden, po wysłuchaniu tego, skłonny jest powiedzieć: to tylko kwestia odczucia. Różne są reakcje uczuciowe. Moja jest zupełnie inna.

Naturalnie, rozumiem trudności, jakie wynikają z mego stanowiska. Rozumiem też, że sposoby, jakich Bóg używa, są różne, w zależności od ludzi, do których się zwraca. Każdy jednak wypadek stanowi pewnego rodzaju lekcję dla drugich. Cel, do którego On nas pociąga, jest ten sam dla wszystkich, my jednak zdążamy do niego z tak różnych i tak odległych miejsc, z przeciwnych nieraz kierunków, że drogi nasze muszą być różne.

Kiedy wracam pamięcią do moich lat dziecinnych i gdy myślę o moim środowisku rodzinnym, widzę ze zdumieniem, że te same warunki, które mogłyby stanowić tylko przeszkodę, okazały się przecież doskonałym narzędziem Łaski.

Chociaż w życiu moim dostrzegam tyle okoliczności niezwykłych, to jednak i w tym wypadku prawdziwą okazuje się zasada, że nie ma takich warunków życia i wychowania, które by nie mogły być wykorzystane jako narzędzie Łaski; choć pozornie obce i często wrogie Boskim planom, stają się przecież powolne jej działaniu.

Może się zdarzyć, że otrzymamy łaskę oświecenia w okolicznościach, po ludzku biorąc, najbardziej nie sprzyjających, właśnie dzięki nim, a nie pomimo nich.

Teraz postaram się przedstawić, jak ta zasada znalazła zastosowanie w moim życiu. Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że otrzymałam zupełnie bezbożne wychowanie — żadnego nauczania religii w ogóle. Miejsce jej wypełniła pogańska moralność, wysoce rygorystyczna i wyidealizowana. Ojciec mój był typem humanisty liberała. Odrzucał wszelkie formy ponadnaturalnej religii jako barbarzyńskie i poniżające człowieka przesądy. Pasją jego życia była wiara w postęp człowieka; przy każdej sposobności

---

*) Współczesna pisarka angielska. Charakterystycznym rysem jej twórczości jest problematyka z pogranicza religii i metafizyki. Sprawy poruszane w jej książkach wychodzą daleko poza ramy czysto osobistych przeżyć. Są jak spowiedź pokolenia. Wysoka kultura umysłowa środowiska, w którym autorka się obraca, czyni z jej dorobku literackiego ciekawy przyczynek do poznania niektórych religijnych i etycznych zagadnień nurtujących współczesny angielski świat literacki i naukowy.

Rosalind Murray urodziła się w 1890 roku. Mając osiemnaście lat wydała pierwszą powieść. Mężem jej został znany historyk angielski Arnold Toynbee. W roku 1932 przyjęła katolicyzm. Najbardziej znaną jej powieścią z tego okresu jest „The Good Pagan's Failure", w której wykazuje, że czysto świeckie pojęcie o doskonałości człowieka i słuszne skądinąd zasady humanitaryzmu nie mogą zastąpić prawd objawionej religii. Działalność autorki (książki, publicystyka, odczyty), ma na celu obronę nauki Kościoła i wartości metafizycznych w świecie zagrożonym materializmem. Miarą różnorodności zainteresowań Rosalind Murray-Toynbee jest jej praca w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Londynie — w czasie ostatniej wojny.

starał się wykazać, że czysto ludzkie wartości nakazują tak samo wielki szacunek jak roszczenia objawionej religii. Dowodził, że ludzkim, zupełnie świeckim wartościom można służyć z równym oddaniem. Zasady oświeconego humanizmu, którym hołdował, wyrażały się dla niego najpełniej w nauce i ideałach starożytnych Greków. W istocie jednak ten sam duch ożywiał humanitarne ideały angielskiego liberalizmu, którego Gilbert Murray**) był szczerym wyznawcą.

Liberałowie byli zwolennikami postępowych reform socjalnych w całym świecie, w szczególności zaś walczyli o prawa uciśnionych ze względu na przynależność rasową czy pochodzenie klasowe.

Dziełem liberałów angielskich było stworzenie jeszcze w okresie przed pierwszą wojną światową długiej i wspaniałej historii ustawodawstwa wcielającego w życie zasady humanitarne, tak że w kołach, do których my należymy, słowa „liberalne zasady" niedwuznacznie zastąpiły „zasady chrześcijańskie" — jako regułę postępowania.

Moja matka podzielała poglądy ojca. Liczni członkowie naszej rodziny, dziadkowie, wujowie i ciotki, tworzyli silny i zwarty blok, reprezentujący wielką energię życiową i dynamizm. Dla nich wszystkich ten polityczny idealizm zastępował zarówno lojalność do zorganizowanego Kościoła, jak i czysto prywatne, wewnętrzne poczucie religijnych sankcji. Wszyscy byliśmy zawsze w stanie ciągłego pogotowia do walki o ideały liberalizmu. Nasz kodeks moralny był ogromnie wymagający. Praca społeczna i dobro publiczne żądały od nas — wolnomyślnych liberałów — bardziej szczerego i zupełnego oddania się niż większość religijnych organizacji wymaga od swych wyznawców.

Nie znam żadnej chrześcijańskiej społeczności, gdzieby dawano tak hojnie i z taką gotowością na cele Kościoła, jak to robili ci liberałowie, poświęcając wiele dla takich spraw, jak reforma więziennictwa, polepszenie warunków pracy w fabrykach, ochrona podbitych ras, opieka nad uchodźcami politycznymi lub prześladowaną mniejszością narodową gdzieś w Europie, i inne. Zamiast o Bogu, przypominano nam ciągle o naszych obowiązkach w stosunku do społeczeństwa. Obowiązki te wzrastały w zależności od pozycji socjalnej. Rodzina nasza zajmowała stanowisko uprzywilejowane, zarówno społecznie, jak i intelektualnie. Byliśmy też hojni w naszych świadczeniach na rzecz dobra publicznego. Uchybienie w obowiązkach pracy społecznej, jakiegokolwiek rodzaju, było w kołach liberalnych tak surowo potępiane jak ciężki grzech u chrześcijan. Społeczeństwo zastąpiło Boga, i to zarówno w sferze celów, jak i sankcji moralnych. Przyjmowaliśmy tę nową religię z zapałem, likwidując jednocześnie wymagania dawnej. Przestrzegaliśmy nie tylko właściwości postępowania, ale strzegliśmy również czystości doktryny.

Ani ja, ani mój brat, ani też siostra — nie byliśmy ochrzczeni. Chroniono nas przed bezpośrednim wpływem religii z takim samym chyba rygorem, z jakim strzeże się przed nim dzieci w Rosji sowieckiej, a przecież nie było chwili w mym życiu, żebym nie była świadoma ogromu zakazanych spraw, jakie kryły się dla mnie za słowem Religia. Ciągle mam w pamięci jedno z najwcześniejszych wspomnień mojego dzieciństwa. To nasza bona mówiła do świeżo przyjętej niańki: „U nas w pokojach dziecinnych nie ma miejsca dla żadnej religii".

Ani bratu ani mnie nie pozwolono brać udziału w modlitwach w naszej klasie w przedszkolu. Rano przychodziliśmy zwykle później, gdy już było po modlitwie.

Pamiętam, że razu pewnego przyszłam do szkoły wcześniej niż zwykle; musiałam czekać wtedy pod drzwiami klasy aż dzieci skończyły się modlić. Na korytarzu usłyszałam śpiewany przez dzieci hymn. Doszło mnie słowo „Odkupiciel"; odczułam w nim jakąś potęgę i doznałam wstrząsu. To było zakazane słowo, którego nie powinnam była słyszeć. Czułam się podniesiona na duchu i jednocześnie świadoma swej winy. Miałam wtedy cztery albo pięć lat.

Często myślałam o tym, że brat mój Denis i ja nie byliśmy ochrzczeni, tak jak inne dzieci. Nie umiem tego dokładnie opisać, ale było mi jakoś strasznie wstyd z tego powodu i miałam tylko nadzieję, że ludzie nie dowiedzą się o tym.

Z naiwnym, dziecięcym zaufaniem odniosłam się do decyzji ojca, która trzymała nas z dala od tajemnicy Drzewa Wiadomości, i przyjęłam ją, chociaż coś mi mówiło, że Drzewo to jest w istocie Drzewem Życia i myślałam o nim z tęsknotą jak o czymś bardzo upragnionym.

Z początku nie wiedziałam oczywiście, że są różne rodzaje religii, jednak bardzo wcześnie miałem zupełnie realne i określone pojęcie o Kościele katolickim. Wiedziałem, że jest inny i lepszy od protestantyzmu, bo — rzecz ciekawa i dość paradoksalna — pomimo starannego oddzielania nas od wszelkiej religii jako żywej rzeczywistości, zachowało się w naszej tradycji rodzinnej jakieś romantyczne uczucie przywiązania do porzuconej niegdyś wiary katolickiej. Ojciec mój pochodził z katolickiej irlandzkiej rodziny. Dziadek jeszcze w młodym wieku wyemigrował do Australii, uchodząc przed przykrymi skutkami ustaw wydanych w Irlandii przeciwko katolikom i chociaż jako dziecko nie uczył się religii, to jednak był ochrzczony w Kościele katolickim i zachował pewien rodzaj religijnego „patriotyzmu", nie związanego zresztą wyraźnie z żadnymi ściśle określonymi przepisami wiary.

Jako dziecko zawsze wiele słyszałam o prześladowaniach w Irlandii, o tym jak memu pradziadkowi zabrano konia i nie dopuszczono go do wyższej rangi w armii itd. Lojalność dla dawnej religii szła nawet dalej. Zabroniono nam palenia ogni na Guy Fawkes Day, ponieważ ojciec mój mówił, że tego rodzaju uroczystość ma charakter antykatolicki i ani jemu, ani jego braciom nie pozwalano jej obchodzić.

W rodzinie matki także utrzymywało się przywiązanie do religii katolickiej, choć mniej bezpośrednie i raczej bezosobiste. Zachowała się także pamięć o dwu męczennikach za wiarę w XVI i XVII wieku. Jeśli utrzymywała się jakaś religia w rodzinie, zarówno po stronie ojca, jak i matki, to tylko katolicka. Przyjeżdżali do nas od czasu do czasu katoliccy wujowie i kuzyni i ich poglądy były zawsze traktowane z szacunkiem.

Religijna tolerancja była kardynalną zasadą angielskiego liberalizmu. Liberałowie byli też szermierzami sprawy wolności Irlandii. Dlatego w całym naszym stosunku do religii katolickiej i w tradycji rodzinnej nie było znowu nic tak bardzo dziwnego — jak to się na pierwszy rzut oka może komuś wydawać. Niezwykłe było tylko to, że w całym systemie czujności, z jaką broniono nas, dzieci, przed „niesekciarskim chrześcijaństwem" z zakresu nauki naszego przedszkola i przed protestantyzmem szkockich służących, nie brano wcale pod uwagę możliwych wpływów katolicyzmu. Wyobrażam sobie, że rodzicom moim w owym czasie religia katolicka, taka, jaką ją sobie przedstawiali, wydawała się jakimś romantycznym zabytkiem przeszłości, tak bardzo dalekim od współczesnego życia, że lekceważyli jej niebezpieczny wpływ na nasze umysły.

Oczywiście, nasi wujowie i kuzyni nie rozmawiali z nami o religii, ja także nie poruszałam z nimi tej kwestii do czasu, aż sama przyjęłam katolicyzm. Dopiero wtedy zjawiło się poczucie wspólnej więzi. Tymczasem fakt, że nieraz przyjeżdżali do nas z drugiego końca świata, czy z Rzymu, wywierał zawsze na mnie głębokie wrażenie. Nie wiedziałam naturalnie w co oni wierzą, ale zdawałam sobie sprawę, że opowiadają się za czymś, za co cierpieli nasi przodkowie, że posiadają coś, czego my zostaliśmy pozbawieni, że są członkami jakiejś wspólnoty religijnej, w której nas nie ma.

To uczucie pogłębiło się i stało się bardziej określone z chwilą przyjazdu z Australii kuzyna, którego ojciec przywiózł do Anglii, by go oddać na wychowanie do jezuitów. Był w moim wieku i spędziliśmy razem wakacje. Chociaż i tym razem — jak zwykle — nie było mowy o religii, to jednak często słuchałam opowiadań o jego szkole i ojcach jezuitach, u których sie uczył. Później, kiedy był w Beaumont College, miał zwyczaj porównywać notatki z bratem moim przyjeżdżającym z Winchester — najstarszej i najbardziej tradycyjnej z angielskich public schools. W rozmowach ich uderzał mnie zawsze zupełnie odmienny stosunek każdego z tych chłopców do nauczycieli. Stosunek kuzyna był bardziej bliski i serdeczny.

Wierni swoim zasadom rodzice moi starannie przestrzegali, żeby Terrence każdej niedzieli był na Mszy św. Niezupełnie rozumiałam, jakie to ma znaczenie, ale pamiętam jak bardzo mu zazdrościłam.

Nigdy właściwie nie miałam pretensji do mego ojca, że separował mnie i brata od obrzędów religijnych, chociaż doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, co się wtedy działo. Przyjmowałam, że tak musiał robić, a jednocześnie czułam, że przecież Terrence był o wiele szczęśliwszy mając ojca, którego podobne zasady nie obowiązywały.

Z tego samego mniej więcej czasu datuje się moje wspomnienie o pierwszym świadomym zetknięciu się z dogmatami wiary na lekcji historii angielskiej. Mieliśmy z bratem guwernantkę Szkotkę, którą bardzo lubiliśmy. Oczywiście, o nauce religii nie było mowy. Właściwie nie wiem nawet jakie były jej poglądy w tej mierze. Zajmowała tradycyjny prezbiteriański punkt widzenia i ucząc nas historii reformacji starała się dać nam pojęcie o różnicy religijnych zapatrywań. Doskonale pamiętam rozmowę o przeistoczeniu. Nie przypuszczam nawet przez chwilę, żeby to, co mówiła, mogło być poprawnym wykładem treści tego dogmatu, zresztą sama niewiele byłabym w stanie zrozumieć z najlepszego nawet przedstawienia sprawy. Jedno wszakże było jasne, że katolicy wierzą, iż chleb i wino zamieniają się w ciało i krew Chrystusa. Protestanci twierdzą, że nie.

Wtedy — jak nagłe olśnienie — powstało

**) Gilbert Murray, profesor uniwersytetu w Oksfordzie, wielki humanista, autor wielu książek i rozpraw z zakresu kultury antycznej, znany publicysta związany niegdyś blisko z ideologią Ligi Narodów, autor licznych przekładów z literatury greckiej. Jeden z najwybitniejszych ludzi swego pokolenia. Zmarł w ubiegłym roku. Pojednanie jego z Kościołem było przedmiotem bardzo głośnych komentarzy prasy angielskiej i obcej.

w umyśle moim przekonanie, że katolicy mają rację. Czułam, że dowiedziałam się czegoś ogromnie ważnego.

Nic nie powiedziałam, jak to często u dzieci bywa, jednak cała scena stoi mi żywo w pamięci, jak gdyby to wszystko działo się przed kilku miesiącami. Widzę jak mój brat i ja siedzimy w ławkach. Miss Glohome naprzeciw nas. Pamiętam nawet kolorowe pawie i turkawki na tapecie ściany.

Nie umiem racjonalnie wytłumaczyć tego zjawiska rozpoznania prawdy umysłem dziecka. Nie widzę w tym oparcia się na autorytecie ani też przyjęcia dowodu od świadka, na którym można polegać, jak to bywa w zwykłych sytuacjach życiowych. W tym wypadku wszystkie znane mi autorytety były przeciwne takiemu pojmowaniu sprawy. Żadną miarą nie mogłam też wiedzieć, że Kościół uczy prawdy.

Byłam ignorantką w sprawach religii jak każde dziecko w tym kraju częściowo tylko chrześcijańskim, a jednak miałam pewność, że prawdą jest to, co mi przedstawiano jako rzecz nieprawdziwą. Ostateczne wyjaśnienie tajemnicy może tu należeć do teologów, ja tylko stwierdzam fakt. Wierzę, że u wielu dzieci jest tego rodzaju intuicyjne poznanie, które oczekuje przebudzenia i rozwinięcia. W nim jest nadzieja dla przerażająco wielkiej teraz liczby dzieci wzrastających, tak jak wzrastałam i ja, bez religijnego wychowania.

O wiele trudniej jest wykorzenić religię niż to przypuszczają wojujący ateiści.

Następne świadome zetknięcie się z religią przyszło w pięć lat później. Byłam wtedy piętnastoletnią dziewczynką. Chorowałam i wysłano mnie na zimę do Włoch. Do czytania dostałam „Kwiatki św. Franciszka" — jako lekturę z zakresu wiedzy ogólnej. Później czytałam i inne jego książki. Efekt był nadzwyczajny. Jakby nowy świat otworzył się przede mną. Zdobyłam teraz krucyfiks i różaniec. Wszelkimi sposobami starałam się być prawdziwą chrześcijanką.

Dotąd zawsze — w wypadkach napięć nerwowych — modliłam się jakby spazmatycznie i z poczuciem winy, że czynię coś, czego mi zabroniono. Teraz nauczyłam się prawdziwej modlitwy i czułam się mniej winna. Opierałam się na autorytecie św. Franciszka. Czyniłam to jeszcze w tajemnicy. Tak właśnie być musiało. Raz potajemnie wymknęłam się do kościoła, gdzie odprawiała się Msza św. Był wczesny ranek, zaledwie dniało. Teraz trudno mi sobie uprzytomnić, jak udało mi się tam dostać. Wiem tylko, że poszłam i znów miałam tę pewność, że to jest rzeczywista ofiara, że to jest najważniejsza rzecz na świecie. I znowu to przekonanie: „tu jest moje miejsce".

Gdybym miała określić datę mego nawrócenia, poprzedzającą formalne przyjęcie do Kościoła, to musiałabym ją umieścić gdzieś w owej zimie i powinnam powiedzieć, że to św. Franciszek nawrócił mnie. W rzeczywistości jednak proces ten odbywał się przez lata całe w zupełnym ukryciu.

Rodzice moi, mimo swych bardzo postępowych przekonań politycznych byli zdecydowanymi tradycjonalistami w swoich poglądach na obowiązki rodziny. Ich rola kierownicza w domu i bezpośredni wgląd we wszystkie sprawy wychowania dzieci przybierały rozmiary zupełnie nie spotykane w rodzinach bliskich przyjaciół i wśród współczesnych w ogóle. Wyobrażam sobie, że dużo dziewcząt w wieku lat 15 korzysta z większej niezależności niż to było ze mną. U nas było zupełnie nie do pomyślenia, żeby się ktoś otwarcie zbuntował przeciw temu, co stanowiło dogmat wiary w naszej rodzinie. W kilka lat później, kiedy wyszłam za mąż, znalazłam się w podobnej atmosferze.

Ten przebłysk nowego życia, jakiego doświadczyłam i światło, które dojrzałam z daleka, pozostały dalej marzeniem moich dni. Na razie nie mogłam nawet myśleć o nich; odłożyłam je po prostu na później. Zapomnieć oczywiście nie byłam w stanie.

Doświadczenia życiowe i stale otwarty problem zła czyniły religię jeszcze bardziej aktualną.

Wychowanie moich dzieci wskazywało mi na jej rolę w sposób konkretny i obiektywny. Postanowiłam sobie zrobić wszystko co tylko będzie w mojej mocy, żeby nie odgradzać ich od religii, jak to czyniono ze mną.

Mąż mój nie pozwolił na chrzest pierwszych dwojga naszych dzieci i dopiero, gdy trzecie przyszło na świat, zgodził się na ochrzczenie wszystkich trojga. Mimo że ja sama nie należałam jeszcze do Kościoła, to poczułam wielką ulgę.

W życiu każdego konwertyty są pewne fazy o charakterze tak bardzo osobistym i intymnym, że trudno o nich pisać. O ostatnich przeżyciach poprzedzających moje nawrócenie nie mogę napisać więcej niż to, że w pewnej chwili dotychczasowe przekonanie o tym, że muszę czekać, ustąpiło miejsca decyzji, że już nie mogę zwlekać ani chwili dłużej. W ciągu tych lat oczekiwania nie dyskutowałam o religii z żadnym katolikiem. Czytałam wprawdzie wszystko co mogłam zdobyć, ale środowisko umysłowe, w którym żyłam, było tak odcięte od katolicyzmu i jakiegokolwiek chrześcijańskiego światopoglądu w ogóle, że nie było nikogo, kto by pokierował moją lekturą. Wtedy spytałam mego męża, czy zgodzi się, żebym poradziła się księdza, wspomniałam też o jakichś książkach, które zdarzyło mi się przeczytać. Mąż mój sprzeciwił się zdecydowanie temu, twierdząc, że jeśli tylko raz zobaczę księdza, to ulegnę „bez ratunku" wpływowi tej religii, co oczywiście byłoby „intelektualnym samobójstwem". Wydawało mi się, że nie mogę nic więcej uczynić, że nie jest wolą Boga, żebym obstawała przy swoim wbrew wyraźnym życzeniom mego męża. Wiedziałam, że muszę czekać.

Wtem nagle, zupełnie nieoczekiwanie, mąż mój złagodniał. Sama nic już na ten temat nie mówiłam. Mąż mój przyszedł do mnie pewnego dnia i przyznał, że wówczas nie miał racji, że ja powinnam mieć swobodę rozmowy z księdzem i dodał, że już sam wszystko załatwił przez swego sekretarza, który był katolikiem.

W ten sposób znów cała sprawa znalazła się jakby w drugich rękach. Potem wszystko już było proste. Nie miałam żadnych trudności ani wątpliwości. W czasie gdy chodziłam na naukę religii, zawsze wydawało mi się, że już naprawdę wiedziałam to wszystko, co mi właśnie mówiono, że było to tak jak ja wierzyłam, że wszystko co tam słyszałam — to były moje własne myśli. Nie mogłam wiedzieć, że ktoś inny w to samo wierzył, ani tym bardziej, że to była oficjalna nauka Kościoła. Wiem, że to często się zdarza, choć może wyglądać na zupełną fantazję, gdy się o tym opowiada.

Później miałam okazję dowiedzieć się jak wiele, jak nieskończenie dużo mam do nauczenia się.

Katolicyzm zamiast być „intelektualnym samobójstwem", otworzył mi okno na nowy świat, świat wiedzy, który nie zna granic. Katolicyzm dał moim myślom wielką, nieznaną dotąd podnietę.

Typowe zazwyczaj nawrócenie jest długim procesem intelektualnego dochodzenia do prawdy, który kończy się nagłym przyjęciem wiary. U mnie porządek ten był odwrócony. Najpierw przyjęłam wiarę i zaledwie to uczyniłam, a już zjawiła się potrzeba nauki i studiów.

Żyłam zawsze w otoczeniu intelektualistów, znałam pisarzy i uczonych, których stosunek do świata jest raczej książkowy. Czytanie i studiowanie jest dla mnie czymś naturalnym. Jakkolwiek jednak silne było u mnie to czysto intelektualne zainteresowanie się religią, nigdy nie sądzę, żeby ono miało w moim nawróceniu decydujące znaczenie i nie myślę wysuwać tego na pierwszy plan.

Dużo mówi się o tym, że w religii odnajdujemy spokój. Spokój z pewnością odnalazłam, ale to nie jest wszystko. Gdybym miała w jednym słowie wyrazić to co wydaje mi się najistotniejszym darem, jaki otrzymałam od Kościoła, użyłabym słowa: życie. Kościół był dla mnie nieustannym źródłem życia i rozwoju, nie zaś czynnikiem hamującym, jak to się często przypuszcza.

Czyż mogło naprawdę być inaczej, jeśli w istocie wiara, którą wyznaję jest prawdziwa?

Rosalind Murray

Przełożył z angielskiego **W. T.**

ZEW KLASZTORU

Przed dwoma laty ukazała się w Anglii, już w drugim wydaniu, książka jedyna w swoim rodzaju. Napisał ją nawrócony na katolicyzm były mnich anglikański, P. F. Anson, a wydało znane wydawnictwo anglikańskie S. P. C. K. — z imprimatur katolickiego biskupa. Książką tą jest „The Call of the Cloister",*) źródłowa praca, ujmująca całość zagadnienia powrotu do zakonów w Kościele anglikańskim.

Likwidacja klasztorów. W roku 1536 Henryk VIII rozwiązał zakony i zmusił je do oddania koronie około 800 klasztorów wraz z całym majątkiem. W cztery lata później nie ma już w Anglii ani jednego klasztoru; w Szkocji przetrwały one 20 lat dłużej.

Anglikańskie prawo kanoniczne uznawało tylko dwa stany: kleryków i laików, nie wspominając ani słowa o stanie zakonnym, w którym oba tamte zobowiązują się żyć wspólnie w oparciu o ewangeliczne rady ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Przez 300 lat nie było w Kościele anglikańskim życia zakonnego, ale byli ludzie, którzy dawali wyraz tęsknocie do pełniejszego oddania się służbie Bożej przez wspólną modlitwę i życie w klasztorze. Historia przekazała nam dużą ilość nazwisk takich

*) **P. F. Anson: THE CALL OF THE CLOISTER, Religious Communities and kindred bodies in the Anglican Communion, London, S.P.C.K., 1956.**

mężczyzn i kobiet, a nawet projekty tworzenia męskich klasztorów lub tzw. Colleges of Maids, które natrafiały na stanowczy sprzeciw anglikańskich biskupów, obawiających się przerodzenia się tych grup w zakony „papistów". Tak więc z końcem XVIII wieku życie zakonne było dla przeciętnego Anglika czymś zupełnie nieznanym, czymś — czemu w głębi duszy był niechętny.

Inwazja zakonów — wskutek rewolucji francuskiej. Stan ulega nagłej zmianie, gdy po wybuchu rewolucji we Francji w roku 1789 zaczęło się tam prześladowanie kleru i zakonów. Anglia zareagowała na to w sposób zdumiewający: angielscy protestanci z otwartymi ramionami witają licznych biskupów, księży, zakonników i zakonnice oraz świeckich katolików, szukających schronienia w Anglii po brutalnym wypędzeniu ich z Francji. Witają ich jak bohaterów, nic nie chcąc wiedzieć o ich religii.

I tak w r. 1792 osiadają w Londynie benedyktynki z Montargis, a w dwa lata później przebywające we Flandrii angielskie zakony katolickie zmuszono do wyjazdu na wyspę. Pod koniec 1794 r. widzimy już benedyktynki w Winchester, Preston, Marnhull (Dorset) i na Hammersmith; kanoniczki św. Augustyna w Hengrave Hall (Suffolk); kanoniczki św. Grobu w Holme Hall (York); franciszkanki w Winchester; klaryski w Haggerston Hall. Benedyktyni angielscy osiadają w Burnel, Acton; francuscy zaś trapiści „milczą, modlą się i pracują" w Lulworth (Dorset) i doznają zaszczytu, iż sam król Jerzy III wraz z rodziną składa im niespodziewaną wizytę.

Przykład zaczyna działać. Mija ćwierć wieku i w Anglii już dorosło pokolenie ludzi, którzy się zwolna przyzwyczaili do widoku żyjących pośród nich zakonników i zakonnic. W świadomości tych Anglików powstaje pytanie: dlaczego w ich Kościele nie ma takich wspólnot religijnych? Z końcem roku 1825 w „Blackwood's Magazine" ukazuje się artykuł, którego autor, dr Gooch, opisując życie i pracę sióstr beginek w Belgii, wysuwa postulat, aby Kościół anglikański tym wszystkim ludziom, którzy swe chrześcijaństwo traktują poważnie, pozwolił łączyć się we wspólnoty, jakie tworzą np. siostry miłosierdzia w krajach katolickich. I aby tym kobietom pobożnym, ofiarnym, pracowitym i umiejącym pielęgnować chorych powierzono wychowanie i wyszkolenie pielęgniarek.

W następnym zaś roku anglikański proboszcz Dallas z Wooburn wystosował do biskupa londyńskiego Howleya list otwarty pt. „Protestant Sisters of Charity" i w nim rozwinął szczegółowy plan zorganizowanej opieki nad chorymi biedakami, znów powołując się na przykład szarytek, których pracy miał sposobność przypatrzyć się we Francji. List ten obudził znaczne zainteresowanie, a zachęcona nim kwakierka Elizabeth Fry zakłada w londyńskiej dzielnicy biedaków (Whitechapel) małą wspólnotę sióstr pielęgniarek.

O wiele większym sukcesem cieszy się wystąpienie znanego poety Roberta Southey'a, który w dość osobliwej książce pt. „Sir Thomas More, or Colloquies on the Progress and Prospects of Society", wydanej w roku emancypacji katolickiej (1829) — obszernie uzasadnił pilną konieczność posiadania w Anglii sióstr miłosierdzia, wzorowanych na szarytkach i beginkach. „Z waszych ambon nie słyszymy żadnego Wincentego à Paulo, spośród naszych córek nie wyszła żadna Luiza le Gras! Pobożność jeszcze nie znalazła drogi do więzień, a nasze szpitale wołają na próżno o nią! Niczego bowiem w nich nie brakuje oprócz miłości, ale jakiż poważny to brak!" — woła Southey, otwarcie anglikańskiej obojętności przeciwstawiając miłosierdzie katolickie.

Tak mocnego wołania o klasztory nigdy dotychczas w Anglii nie słyszano.

Początek ruchu zakonnego w r. 1833. Nie minęło 15 lat, a Kościół Anglii miał już pierwsze siostry miłosierdzia, chociaż Southey spodziewał się tego dopiero za lat trzydzieści.

14 lipca 1833 r. w kościele uniwersyteckim w Oksfordzie (St. Mary's Church) wygłosił John Keble swe słynne kazanie („Assize Sermon"), w którym wezwał do obrony Kościoła anglikańskiego przed opieką państwa i wyraził nadzieję, że „wyschłe kości powstaną znów do życia". J. H. Newman stwierdzi potem, iż dzień ten uważał za początek ruchu zakonnego. Sam zresztą zrobi też początek, zakładając wspólnotę zakonną w Littlemore (w r. 1840). W tym też czasie Marian R. Hughes, córka duchownego z Shenington, pod wpływem książki Newmana „Kościół ojców" postanawia poświęcić swe życie Bogu i w dniu Trójcy Przenajświętszej, w 1841 r., składa uroczyste śluby, pierwsze w Kościele anglikańskim od czasu Reformacji. Sprzedawszy klejnoty rodzinne, zakłada Society of the Most Holy Trinity (1848).

Na tych pierwszych „mnichów" i pierwsze „mniszki" przeciętny Anglik patrzył sceptycznie. Gdy jedni uważali to za niezbyt mądrą „zabawę w średniowiecze", inni widzieli w nich zakapturzonych popleczników Rzymu. Ale trzeźwiej patrzący ludzie nie mogli nie zauważyć ofiarnej służby tych pierwszych pionierów klasztornego życia i doszli do przekonania, iż to nie teatr, ale sprawa poważna, zwłaszcza gdy stawiane tym zakonom zarzuty okazały się niesłuszne.

Biskupi anglikańscy jednak wciąż nie byli skorzy do udzielania swego poparcia grupom, które nie wzorowały się na luterańskich diakonissach w Niemczech. Większość biskupów była raczej bierna, zgodnie ze znanym wówczas powiedzeniem, że „wiktoriański biskup odmawia, gdy się go o coś pyta, ale postawiony wobec faktu — patrzy w innym kierunku".

Pierwsze istotne zmiany. W r. 1895 mamy pierwszą poważną zmianę: biskup Festing powołuje Ernesta Hardy jako ojca Andrzeja z Society of Divine Compassion na duchownego anglikańskiego. Jest to pierwszy kleryk z Ecclesia Anglicana w habicie. W roku 1898 zaś Beniamin Carlyle, za zgodą arcybiskupa Temple, składa uroczyste śluby zakonne na regułę św. Benedykta, a w roku 1903 biskup dr Grafton nadaje mu godność opata.

W r. 1926 parlament brytyjski odwołał akt, którym za Elżbiety I uznano stan zakonny za „nie dający się pogodzić z tradycją świętego, katolickiego i apostolskiego Kościoła Chrystusa". Po zasięgnięciu opinii innych biskupów i izby gmin, arcybiskup Canterbury i Yorku, jako głowa Kościoła Anglii, powołuje w r. 1935 własną Advisory Council dla spraw zakonnych, mającą być czymś w rodzaju Kongregacji Zakonów w Kościele katolickim. Co prawda komisja teologów i kanonistów, powołana do zrewidowania starego ustawodawstwa anglikańskiego, oświadczyła w r. 1947, że jeszcze nie czas na ustalenie prawne istotnego znaczenia życia zakonnego i nie wstawiła odpowiednich kanonów, ale konwokacje w Canterbury i Yorku, odbyte w r. 1948, oraz oficjalne publikacje (jak np. Rocznik Kościoła Anglii z r. 1953) uważają owe wspólnoty (communities) zakonne za istotną część Kościoła Anglii.

Liczby i wnioski. Osobiste dzieje autora omawianej książki, ks. P. F. Ansona, są jakby wprowadzeniem w zagadnienie przez niego tak sumiennie opracowane. Należał on bowiem do wspólnoty zakonnej protestanckiej w Caldey, a gdy cały ten klasztor przeszedł do Kościoła katolickiego, on pozostał anglikaninem, a gdy się w końcu sam nawrócił, nie powrócił do swego klasztoru, lecz poświęcił się opracowaniu dziejów owego „wołania o klasztor" w Anglii.

W tym dziele podaje też pełny wykaz wspólnot zakonnych, utworzonych przez anglikanów w Wielkiej Brytanii i Irlandii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Afryce, Australii, Nowej Zelandii, Indiach i Melanezji w **latach od 1842 do 1953.** Liczby to bardzo interesujące, zwłaszcza, że autor zaznacza również które ze wspólnot z czasem rozwiązały się i które się nawróciły na katolicyzm. W sumie przedstawia się to tak:

Powstało: wspólnot męskich — 63, żeńskich 134; razem — 197.

Rozwiązało się: męskich — 26 (41%), żeńskich — 39(29%), razem — 65 (33% ogółu powstałych).

Stało się katolickimi: męskich — 8 (13%), żeńskich — 3(2%), razem — 11 (6% ogółu powstałych).

Pozostało anglikańskich wspólnot (r. 1953): męskich— 29 (46%), żeńskich — 92, razem 121 (61% ogółu powstałych).

Zestawienie to świadczy, iż kobiety założyły więcej, bo dwa razy tyle wspólnot co mężczyźni, podobnie jak w naszym Kościele. Anglikankom też przypada zasługa pionierska w tym dziele, bo jakkolwiek zachęta często szła od mężczyzn, one szybciej od nich zaczynały realizację planów. Gdy około 1860 r. były tylko dwie wspólnoty męskie, żeńskich było już 17. Okazały się one też odporniejsze na zmiany, gdyż mniej się ich rozwiązało niż męskich i mniej przeszło na katolicyzm.

Motywy ruchu zakonnego. Jakie były motywy ruchu zakonnego wśród anglikanów?

Większość ludzi piszących na ten temat twierdzi, że decydującym motywem była nędza społeczna i duchowa, wołająca wprost o chrześcijan, którzy by się poświęcili dziełu apostolstwa i bratniej miłości. Toteż większość powstających wspólnot na pierwsze miejsce wysuwa pracę apostolską i charytatywną. To początkowo czynne życie dopiero później wysuwa u niektórych ludzi tęsknotę za życiem zamkniętym, kontemplatywnym i ascetycznym. Może tylko jedni anglikańscy benedyktyni z Caldey od razu dążyli do życia kontemplatywnego, ale oni przez przejście do Kościoła katolickiego wyszli z szeregów anglikańskich.

Próby tworzenia zakonów kontemplacyjnych podejmowane w ciągu ostatnich 40 lat nie powiodły się, mimo iż niektórzy biskupi wyrażali pragnienie, aby choć jeden taki klasztor powstał. Życzenie to spełniło się dopiero w r. 1953, gdy w Crawley (Sussex) założono Community of the Servants of the Will of God. Jest poza tym parę klasztorów kontemplacyjnych żeńskich.

P. F. Anson twierdzi jednak, że źródłem ruchu zakonnego było zachowanie przez Kościół anglikański modlitewnej liturgii. Pod-

(Dokończenie na str. 8)

TADEUSZ FELSZTYN

PRZYSZŁOŚĆ SZTUCZNYCH SATELITÓW

Gdy jeszcze rok temu mówiło się o sztucznych satelitach, jako o koniecznym wstępie do podróży międzyplanetarnych, słuchacze przyjmowali to z dużym niedowierzaniem, ciągle jeszcze niepewni, czy jest to tylko fantazja naukowa, ot coś w rodzaju Vernego „Podróży na księżyc", czy też konkretny plan techniczny.

Dzisiaj, już sześć sztucznych księżyców wypuszczono w przestrzeń (przynajmniej do chwili, gdy to piszę, do czasu druku liczba ta może się powiększyć), z których cztery wciąż jeszcze krążą po niebie. Ważniejsze ich dane podaje tablica, która — poza satelitami właściwymi — uwzględnia również i ostatnie człony rakiet, które je wystrzeliły. Rakiety te bowiem, w gruncie rzeczy, też są satelitami okrążającymi ziemię, a Sputnik II i III oraz oba Explorery są właściwie tylko ostatnimi członami rakiety wielostopniowej, która je wystrzeliła.

RAKIETY WIELOSTOPNIOWE

Przy stosowanych bowiem obecnie paliwach nadanie szybkości ponad 18.000 mil, koniecznej dla utrzymania satelity na stałej wysokości nad ziemią, jest możliwe tylko przy pomocy rakiety trzystopniowej. Explorery stosują nawet rakiety czterostopniowe. Tym samym, wystrzelenie sztucznego satelity jest zadaniem mocno złożonym. Pierwszy człon rakiety powinien nadawać jej przyspieszenia stosunkowo małe, aby nie marnować zbytnio energii na pokonanie oporu powietrza, gwałtownie wzrastającego wraz z szybkością lotu rakiety, a równocześnie by nie podnosić zanadto jej temperatury. W satelicie amerykańskim Explorer czas palenia się pierwszej rakiety wynosi więc aż 150 sekund. Rakieta ta wzbija się pionowo, aby jak najszybciej wyjść ze strefy gęstej atmosfery przyziemnej i wznosi się na wysokość 60 mil. Tutaj pierwsza rakieta odpada i łagodnym łukiem powraca na ziemię. Właśnie dlatego kierunek jej lotu musi przebiegać ponad oceanem (co w wypadku rakiet amerykańskich, wystrzelanych w Cape Canaveral, na Florydzie, wymaga nadania takiego kierunku, aby uniknąć wysp na wschód od niej) lub też nad mało zamieszkałymi okolicami Syberii. Pomyślmy tylko, kto by się w Rosji o to troszczył, czy rakieta spadnie komuś na głowę czy też nie?

Po odpadnięciu pierwszej rakiety, rakiety pozostałe lecą lotem balistycznym, po łuku, przez czas 240 sekund. Po upływie tego czasu, gdy radar śledzący lot rakiety, wykaże że posiada ona już właściwe położenie i właściwą szybkość, odpada jej stożek i zapala się rakieta druga, co zostaje uruchomione sygnałem radiowym z ziemi. Po upływie 6 sekund wypala się rakieta druga i odpada znowu, powracając łukiem na ziemię, a raczej, w wypadku Explorera, wpadając do oceanu. Równocześnie zapala się rakieta trzecia, paląca się również 6 sekund, i znów odpada. Jest to sygnałem do zapalenia rakiety czwartej, która jest równocześnie już właściwym satelitą. Po ostatnich sześciu sekundach jej palenia się, a po całkowitym czasie jej lotu trwającym 6 minut i 52 sekundy, rakieta otrzymuje konieczną szybkość lotu satelity i właściwy kierunek, który — w idealnym wypadku — powinien być zupełnie poziomy. Nadanie właściwego kierunku jest niezmiernie ważne, gdyż pół stopnia odchylenia powoduje, że orbita — zamiast kołem — staje się elipsą, przybliżającą się do ziemi w punkcie przyziemnym — bardziej niż to zamierzał konstruktor, a tym samym lot odbywa się w gęstszych warstwach atmosfery i okres istnienia rakiety-satelity staje się krótszy.

Również i mała różnica szybkości, już kilku mil na godzinę, powoduje eliptyczność orbity rakiety, lecz — jeśli ta szybkość jest większa, niż teoretycznie wymagana — nie wpływa to na punkt przyziemny, lecz jedynie oddala punkt odziemny.

Jak widać, cały lot rakiety odbywać się musi samoczynnie, poza jedynie momentem zapalenia drugiej rakiety, które następuje na sygnał z ziemi. Ale i tu jedynie chwila odpalenia zależy od woli wystrzelającego rakietę. Kierunek lotu jest całkowicie niezależny od jego woli. Dalszy ciąg lotu jest natomiast już całkowicie samoczynny i gdyby coś zawiodło, nie można na to nic już poradzić z ziemi. Tak właśnie było z Vanguardem II, który na skutek wady jednego z licznych przewodów elektronowych nie uzyskał w swym ostatnim członie położenia poziomego, lecz wystrzelił w górę na wysokość 2.000 mil i spalił się przy powrocie na ziemię. Konieczne są więc bardzo dokładne urządzenia elektronowe, które regulują moment odpalenia następnej z kolei rakiety i samorzutnie regulują kierunek lotu. Nie dziw więc, że urządzenia kierownicze rakiety każdego jej szczebla są mocno złożone i zaopatrzone — jak w każdym nowoczesnym elektronowym urządzeniu samoczynnym — w przeliczniki elektronowe dla przemiany sygnałów położenia i szybkości rakiety, na polecenie skierowane do jej urządzeń regulujących.

Jeśli do tego dodamy, że silnik pierwszej rakiety, napędzany — w przeciwieństwie do dalszych rakiet — paliwem ciekłym, jest również zespołem znacznie bardziej złożonym niż silnik samolotu, to nie będzie nas dziwić, że całkowita rakieta ma ponad dwa tysiące części, a każda z tych części może zawieść. Szczególnie czułe są części elektronowe, oraz wszelkie zawory silnika rakietowego, te zwłaszcza, które przepuszczają ciekły tlen, a więc łatwo mogą zamarznąć.

Liczne zatem wypadki zawodów z rakietą, ze zbytnim może rozgłosem podawane do wiadomości przez Amerykanów, i nie mniej częste, choć pokrywane milczeniem (jedynie podsłuchy amerykańskie je mogą wykryć) niepowodzenia pod tym względem sowieckie, są w tych warunkach rzeczą zupełnie zrozumiałą i raczej dziwić się należy, że — mimo tej złożoności — sześć lotów się dotąd udało.

ZNACZENIE SATELITÓW

Cele satelitów są podwójne, a nawet potrójne, jeśli wziąć pod uwagę ich znaczenie wojskowe, co tutaj pominiemy. W dziedzinie lotów międzyplanetarnych chodzi przede wszystkim o sprawdzenie metod wyrzucania pojazdów, przeznaczonych do lotów poza atmosferę. Jest to więc niejako powtórzona na wielką skalę metoda badania modeli statków, czy też samolotów, przed przystąpieniem do wykonania ich w pełnej skali. Celem drugim jest badanie stanu atmosfery na dużych wysokościach i warunków utrzymania się przy życiu w takim od ziemi oderwanym pojeździe, co pociąga za sobą konieczność licznych przyrządów naukowych, które rejestrują te dane, oraz przyrządów nadawczych, które je przekazują na ziemię.

Sputnik I miał — mimo dużej wagi — stosunkowo niewiele tych przyrządów. Wbrew regulaminowi roku geofizycznego. Rosjanie dotąd nie podali do publicznej wiadomości danych pomiarowych tego sputnika, a jedynie drobne fragmenty obserwacyj. O ile więc możemy się domyślać, przyrządy te miały głównie na celu badanie temperatury wewnątrz satelity oraz studium zjonizowanych warstw atmosfery. Stosowane przez nich fale radiowe (40 i 20 megacykli) załamują się w zjonizowanych warstwach atmosfery i tym samym nie nadają się do dokładnego określenia położenia satelity nad ziemią. Są to jednak fale, które chwytać mogą nowoczesne odbiorniki radiowe, a tym samym doskonale nadające się do propagandy. Jeśli więc cokolwiek wiemy o orbicie Sputnika I, to zawdzięczamy to głównie radioteleskopom angielskim i amerykańskim. Natomiast przeprowadzone przez stacje rosyjskie, a w pewnej mierze i angielskie, pomiary fal radiowych wysyłanych przez satelitę, dały dość ciekawe dane o warstwach Heaviside'a i Appletona, tak ważnych z punktu widzenia odbioru radiowego.

Sputnik II podobno sprawdzał reakcję psa na warunki lotu w przestrzeni w warunkach bezważkości. Mówię „podobno", gdyż do czasu opublikowania danych pomiaru bicia serca i oddechu Łajki, i oceny ich przez fachowców, trudno odpowiedzieć na nasuwające się pytanie, czy Łajka nie była tylko wytworem rosyjskiej propagandy, a jeśli nie, to jaką wartość realną przedstawiają dokonane na niej pomiary. Jak wiadomo — Rosjanie opublikowali dotąd — i to jedynie w prasie popularnej — dane o biciu serca i oddechu psa w czasie przyspieszania rakiety Są to dane zbyt ogólnikowe, aby mogły służyć jako materiał naukowy.

Ponadto Sputnik II mierzył temperatury, ciśnienie powietrza, mikrometeoryty, promienie kosmiczne i promienie Roentgena (X), wysyłane przez słońce. Wartość naukowa tych pomiarów jest dotąd nieznana, a po-

ZEW KLASZTORU

(Dokończenie ze str. 7)

czas gdy protestanci na kontynencie pozwolili zamilknąć modlitwie chóralnej, a cała ich pobożność nabrała cech subiektywnych, anglikański modlitewnik „Common Prayer Book", zachował istotne części zakonnej modlitwy, która do swego pełnego rozwoju wymaga wspólnoty religijnej stale ją odmawiającej. Dlatego też wśród ludzi tak się modlących nie zamarła tęsknota do wspólnoty klasztornej.

I jakkolwiek liberalnym anglikanom odmawiane w klasztorach Święte Oficjum wydawało się sprzeczne z tradycyjną modlitwą ich Kościoła, jakkolwiek wzdrygali się słysząc o „oderwaniu od świata" i „ślubach wieczystych", to jednak — twierdzi dalej P. F. Anson — jako Anglicy nie tylko pozwalali innym żyć i myśleć według ich woli, ale nawet potrafili podziwiać ludzi myślących i postępujących inaczej, niż oni sami. Zapewne dlatego owo wołanie o klasztory nie brzmi dziś nadaremnie.

J. Cz.

dane przez Rosjan dane niewiele wnoszą nowego, a w niektórych szczegółach są nawet sprzeczne z danymi amerykańskimi.

Sputnik III ma podobno bardzo obfitą aparaturę pomiarową, co przy jego wadze wydaje się rzeczą naturalną. Wedle danych sowieckich, zawiera on przyrządy do badania pola magnetycznego ziemi na dużych wysokościach, do pomiaru widma słonecznego, którego górny i dolny koniec są niewidoczne dla nas z ziemi, gdyż pochłania je atmosfera, a dalej do pomiaru promieni kosmicznych. W tych ostatnich pomiarach — specjalne przyrządy mają łapać promienie cięższe, jak jądra berylu i litu, i z ich proporcji ma się wnioskować o „wieku" tych promieni, a co może rzucić pewne światło na pochodzenie. Poza tym ma Sputnik III mierzyć ciśnienie atmosferyczne i stopień zjonizowania atmosfery na dużych wysokościach, a wreszcie pola elektryczne i skład materii międzygwiaździstej — na drodze swego lotu. Są to zamierzenia bardzo ambitne, co jednak z zamierzonych osiągnięć dostanie się do wiadomości publicznej, to — w świetle dotychczasowej powściągliwości sowieckiej w publikowaniu uzyskiwanych danych — trudno przewidzieć.

Explorer I i III są nieomal identyczne i mają te same przyrządy naukowe. Są to, w pierwszym rzędzie, przyrządy do badania temperatury zewnętrznej i wewnętrznej satelity, licznik Geigera do pomiaru natężenia promieni kosmicznych i przyrządy do pomiaru mikrometeorytów. Ponadto, oba Explorery mają urządzenia do nadawania sygnałów zakodowanych, podających otrzymane z pomiarów dane. Pracują one na fali 108 megacykli, znacznie mniej uginającej się w zjonizowanych warstwach atmosfery, a tym samym lepiej dostosowanej do pomiaru położenia satelity przez stacje odbiorcze naziemne.

Szczytem precyzji naukowej jest niewątpliwie Vanguard. W swojej małej przestrzeni i przy małej swej wadze, pomieścił on sześć bateryj słonecznych, aby w czasie, gdy jest w słońcu — co wynosi ponad 70 procent jego toru — przynajmniej jedna była oświetlona, ma jedną baterię rtęciową, nadajnik krótkofalowy, przyrządy do pomiarów temperatury zewnętrznej i wewnętrznej oraz urządzenie do ich przekazywania przy pomocy sygnałów radiowych. Szczególnie ważne są baterie słoneczne, dzięki nim bowiem Vanguard, którego czas lotu oblicza się na dziesiątki a nawet setki lat, będzie mógł nadawać swe sygnały przez cały ten czas.

Poważną wadą wszystkich przyrządów naukowych satelitów jest, że można odbierać ich dane jedynie wtedy, gdy satelita przelatuje ponad stacją odbiorczą. Pod tym względem dotychczasowe sputniki rosyjskie były z punktu widzenia naukowego właściwie niewypałem. Ilość stacyj odbiorczych i pomiarowych na terenie Rosji jest niewielka, a stacje inne mogą wnieść tylko niewiele, skoro Rosjanie nie podali do wiadomości znaczenia swego kodu. Co więcej, wedle informacji rosyjskich, Sputnik III nadaje sygnały tylko wtedy, gdy leci nad Rosją. Lepiej przedstawia się sprawa satelitów amerykańskich, gdyż Amerykanie wybudowali sieć odbiorczą na obszarze lotu satelity. Jest to jednak jak dotąd sieć mocno niepełna, toteż znaczny procent pomiarów przepadł bez śladu.

Aby temu zapobiec, należy z jednej strony mieć sieć odbiorczą możliwie gęstą — nad czym Amerykanie usilnie pracują — a ponadto trzeba znaleźć sposób otrzymywania i takich pomiarów, których nie można zarejestrować na ziemi bezpośrednio. Do tego celu w Explorerze III służy taśma magnetyczna zapisująca dane pomiarowe promieni kosmicznych. Nie wiadomo tylko, w jaki sposób zamierzają Amerykanie taśmę tę dostać z powrotem na ziemię. Przy większych satelitach mówi się o urządzeniu, które zapisywać będzie dane pomiarowe i na otrzymany sygnał ze stacji odbiorczej nadawać je będzie w przyspieszonym tempie.

Najlepiej byłoby, gdyby te zapiski, zanotowane na taśmie magnetycznej, udało się dostać z powrotem na ziemię. Rosjanom, mimo wielu bałamutnych wypowiedzi w okresie wystrzelenia Sputnika II, to się dotąd prawdopodobnie nie udało. Amerykanie już po raz drugi zdołali odzyskać głowicę rakiety, przy czym w ostatnim wypadku, w dniu 13 maja, temperatura wewnętrzna była tak niska, że zawarty w satelicie list uczonego rakietowego Kurta Debusa doszedł zupełnie nie uszkodzony. Szybkość powrotu była co prawda tylko 9.000 mil na godzinę, a nie 18.000, jak w wypadku satelity, ale dobry początek pozwala mieć nadzieję, że dalsze w tym kierunku wysiłki pozwolą na odzyskanie i satelity całego, lub przynajmniej jego części.

WYNIKI OBSERWACJI

Jak już wspomnieliśmy, dane opublikowane przez Rosjan są bardzo skąpe. Znacznie więcej wiemy o wynikach prac amerykańskich. Choć i one są dotąd niepełne, tym niemniej wiemy np., że gęstość atmosfery na wysokościach około 120 mil jest większa niż dotąd przypuszczano, a tym samym i szybkość obniżania się lotu satelity w tych obszarach jest większa niż dotąd przyjmowano. Pomiary temperatury powietrza i jego składu na dużych wysokościach rzuciły zupełnie nowe światło na zachodzące tam — pod wpływem promieni słonecznych — procesy chemiczne.

Ciekawe są dane amerykańskie o temperaturze satelity. Na jego stronie słonecznej

Nazwa	Data wystrzelenia	Czas życia	Masa (funty ang.)	Kształt	Wymiary	Czas okrążenia ziemi (minuty)	Punkt odziemny i przyziemny (mile)	Szybkość mil/godz. (w przybliżeniu)	Czas trwania nadajnika	Uwagi
Sputnik I	4.10.57	92 dni	184	Kula	23" (średnica)	96.2	560 125	18,000	3 tyg.	Spalił się ok. 4.1.58.
Jego stożek	„	?	?	Stożek	6' (długość)	„	„ „	„	—	Nie wyśledzony
Jego rakieta	„	57 dni	562	Walec	24' (długość)	„	„ „	„	—	Spaliła się 30.11.57.
Sputnik II	3.11.57	5 miesięcy	1,118	Stożek	30' (długość (?))	103.7	1,055 170	17.800	5 dni	Spalił się 12.4.58.
Explorer I	31.1.58	Ocenia się na co najmniej rok	30.8	Walec	80" (dług.) 6" (średn.)	114	1,587 219	19,000	3 mies.	
Vanguard I	17.3.58	do 200 lat	3.25	Kula	6.4" (średnica)	134	2,466 404	18,000	2 tyg.	Baterie słoneczne. Czas nieograniczony — gdy w słońcu.
Jego rakieta	„	Ponad 5 lat (ocena)	50	Walec	48" (dług.) 20" (średn.)	„	„ „	„	„	
Explorer III	26.3.58	Ocenia się na około 4 miesiące	30.8	Walec	80" (dług.) 6" (średn.)	115.7	1,735 125	18.850	3 mies.	
Sputnik III	15.5.58	Ocenia się na około 6 miesięcy	2,925	Stożek	11', 8" (dł.) 5', 8" (średn.)	106	1.168 ?	Nie podana	?	Baterie słoneczne — czas nieograniczony — gdy w słońcu.

temperatura wynosi 250° F (121° C), a więc więcej niż temperatura wrzącej wody. W cieniu jego temperatura spada do —200° F (—129° C), a więc około 50° C niżej niż najniższa temperatura obserwowana na ziemi. Pomimo to jednak, dzięki odpowiednim materiałom, z których wykonana została skorupa satelity, jego temperatura wewnętrzna wahała się w granicach 50° do 85° F (10° do 29° C), a więc zupełnie dogodnych dla życia człowieka.

Dane satelitów amerykańskich wykazały również, że ilości mikrometeorytów w przestrzeni są mniejsze niż dotychczas przypuszczano i że są one zupełnie nieszkodliwe, tak dla samego satelity, jak i dla jego zawartości. Dużą sensacją naukową są dane obu Explorerów wskazujące na to, że na wysokości około 600 mil znajduje się gęsty stosunkowo strumień zjonizowanych i bardzo szybkich jąder wodoru, które bombardując skorupę satelity — wywołują w niej promienie Roentgena (X) o natężeniu około tysiąckrotnie większym niż spodziewana na tych wysokościach moc promieni kosmicznych. Fakt ten, zgodny zresztą z obserwacjami zórz polarnych, pola magnetycznego na dużych wysokościach i zmian szybkości obrotu ziemi, zdaje się wskazywać na to, że ziemia — wbrew pierwotnym przypuszczeniom — nie krąży w stosunkowo pustej przestrzeni międzyplanetarnej, lecz raczej, w mocno już co prawda rozcieńczonej, atmosferze słonecznej. Wyniki te są prawdziwym tryumfem nauki i techniki amerykańskiej. Rosjanie bowiem — mimo znacznie cięższych satelitów — potrafili jedynie powiedzieć, że „na dużych wysokościach" ilość promieni kosmicznych jest około 12 razy większa, niż przewidywano. Wiadomość równie niewiele mówiąca jak i nieścisła, skoro te „promienie" nie są promieniami kosmicznymi, lecz strumieniami wodoru, wyrzucanego przez słońce w postaci „wyskoków".

TORY SATELITÓW

Sputniki były wystrzelone wszystkie pod kątem około 65° do równika. Dzięki temu przelatywały one przez pewną część swego toru ponad Rosją, a — dzięki obrotowi ziemi — widoczne były na całej kuli ziemskiej. Brak jednak stacyj obserwacyjnych poza Rosją czyni tę orbitę mało wydajną z punktu widzenia obserwacyj.

Amerykanie wystrzeliwują sztuczne księżyce w kierunku prawie równikowym, a więc w kierunku, na którym szybkość obrotowa ziemi dodaje się do szybkości lotu satelity, i gdzie największa przestrzeń lądu pozwala na wybudowanie gęstej sieci obserwacyjnej. Jedynie obawa zaczepienia o wyspy na wschód od Florydy zmusza Amerykanów do odchylenia toru od zupełnie równoleżnikowego, tak że w rzeczywistości ich sztuczne księżyce widoczne są na przestrzeni od 40° szerokości północnej do 40° szerokości południowej.

DALSZE POMIARY

Poza dotychczasowymi zadaniami, obejmującymi badania stanu fizycznego wysokich warstw atmosfery, a więc jej gęstości, temperatury, panujących w niej wiatrów, jej warstw zjonizowanych i płynących w niej prędów elektrycznych, oraz przybyszów z obcych stron, jak promienie kosmiczne i meteoryty, satelity mogą wykonać jeszcze i szereg innych zadań naukowych. Przy ich pomocy można będzie dokładnie zbadać widmo słoneczne i jego zmienność i — przy pomocy ścisłych pomiarów — można będzie ustalić dokładny kształt kuli ziemskiej oraz jej pola ciążeniowego i magnetycznego.

W miarę zwiększania masy satelitów i unoszonych przez nich przyrządów będzie można myśleć o umieszczeniu na nich teleskopów, które pozwolą na obserwację słońca i gwiazd poza pochłaniającą znaczną część ich promieni atmosferą ziemską (balon z teleskopem 14 calowym, wystrzelony w październiku zeszłego roku w Ameryce, dał nam więcej wiadomości o powierzchni słońca, niż wszystkie dotychczasowe fotografie teleskopów na ziemi). Umieszczone w nich aparaty fotograficzne i telewizyjne pozwolą fotografować w sposób ciągły przykrywające ziemię chmury, a tym samym staną się one nieocenioną pomocą dla meteorologów. Ponadto będą one mogły fotografować przy pomocy promieni podczerwonych wszystkie szczegóły na powierzchni ziemi. Wreszcie mówi się o zastosowaniu satelitów jako stacyj przekaźnikowych dla bardzo krótkich promieni radiowych, co uniezależni komunikację radiową od wszelkich zaburzeń w atmosferze.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Prawdopodobnie prace pójdą w dwu kierunkach. Pierwszym będzie zwiększanie masy satelity i umieszczanie wewnątrz niego coraz liczniejszych przyrządów naukowych. W tym wypadku metoda amerykańska, stosowania coraz lżejszych przyrządów elektronowych ma niewątpliwie przewagę nad sowieckim systemem pokonywania trudności przez wystrzeliwanie coraz cięższych sputników.

Drugi kierunek, to przygotowanie do podróży międzyplanetarnych. Wystrzelenie rakiety, która wyląduje na księżycu, lub też satelity, który okrąży księżyc i przyniesie nam (choćby drogą telewizji) dokładne zdjęcia jego powierzchni (zwłaszcza jego „ciemnej strony"), jest już zupełnie w granicach możliwości i może nastąpić w każdej chwili. Trudniejsze będą rakiety bez załogi dokoła Marsa, czy Venus. Ale i to nie stanowi trudności zasadniczej, choć bez przyrządów kierujących i związanego z nimi zapasu paliwa, szansa nadania tej rakiecie właściwego toru, zwłaszcza jej powrotu na ziemię, wydaje się mała.

Znacznie trudniejsze będzie wystrzelenie rakiety z załogą. Wymaga to długich próbnych lotów satelity ze zwierzętami w jego wnętrzu, a następnie lotów satelity z załogą ludzką, oczywiście dopiero po pokonaniu trudności powrotu na ziemię. Loty te, jeśli chodzi o pomiary naukowe, niewiele w gruncie rzeczy dadzą nam więcej niż rakiety zaopatrzone w przyrządy samozapisujące i będą jedynie badaniem warunków lotów rakiet z załogą na dalsze przestrzenie. Takie loty jednak mają sens jedynie wtedy, gdy zamierzamy wylądować na księżycu czy Marsie. W locie bez lądowania, aparat telewizyjny i kamera fotograficzna powiedzą nam bowiem więcej, niż człowiek. A o lądowaniu można myśleć dopiero wtedy, gdy można powrócić. Jest to więc sprawa wystrzelenia takiej rakiety, która weźmie ze sobą dość paliwa na powrót. Upłynie więc jeszcze chyba sporo czasu zanim rakieta z załogą poleci na księżyc, skąd problem powrotu jest bądź co bądź znacznie łatwiejszy niż z dalszych planet.

* * *

Zostawmy na boku pełne pychy usiłowania ateistów wyciągnięcia z tych osiągnięć nauki dowodów przeciwko wszechmocy Boga. Zbyt naiwne są argumenty, na których te próby się opierają aby warto było je rozważać. Niewątpliwie, loty międzyplanetarne muszą poruszać silnie wyobraźnię ludzką budząc oprócz zainteresowania wiele sprzecznych uczuć, w których niepokój niemałe zajmuje miejsce. Dość charakterystycznie pod tym względem brzmi wypowiedź umieszczona w formie listu w „Christian Herald". Teolog anglikański C. S. Lewis zastanawia się w nim, co będzie, gdy człowiek w jednej ze swych wypraw podniebnych napotka inną rasę ludzką. Czy będzie to również rasa upadła i zbawiona, jak na ziemi, a może rasa wolna od grzechu pierworodnego?

Sądzę, że na tego rodzaju pytania może odpowiedzieć tylko prawdziwa wiara i płynąca z niej pokora. Tym bardziej, że wszystkie odkrycia i loty w przestrzeniach międzyplanetarnych mogą nam dziś przypomnieć jaśniej niż kiedykolwiek, iż tylko pyłkiem w kosmosie jest ziemia, na której żyjemy. I że tylko nikłą drobiną w ręku Stwórcy Wszechrzeczy jesteśmy my, bez względu na to jak dalekie myśl nasza i nasza wynalazczość zakreśli sobie loty.

P.S. 26.7.58. Amerykanie wystrzelili Explorera IV, który ma badać promieniowanie o zwiększonej mocy na wysokości ponad 600 mil. Jest on cięższy od poprzednich (waga 38.43 f.). Przelatuje nad Anglią i Rosją. Zawiera tylko przyrządy miernicze do pomiaru promieniotwórczości oraz nadajniki radiowe.

Tadeusz Felsztyn

„MEMINISSE IUVAT..."

Encyklika Ojca św. Piusa XII wzywa do światowego wysiłku modlitwy, za wstawiennictwem Najśw. Maryi Panny Wniebowziętej, na rzecz Kościoła i pokoju.

List papieski uderza swoją aktualnością i obiektywizmem. Ojcowska miłość ogarnia cały świat i wszystkie jego sprawy, wszędzie. Dzieląc się swoimi „niepokojami i troskami" Papież wskazuje równocześnie na zaniechania w zakresie wiary i moralności w krajach wolnych i na przykłady prześladowania religii i Kościoła w krajach pod panowaniem komunistycznym. Encyklika nie wymienia krajów i nie wspomina komunizmu. Ale piętnując nadużycia i wyliczając postulaty, Ojciec św. konkretnie dotyka bolączek współczesnych po obu stronach frontów politycznych.

„...Wielu — pisze Pius XII — zwłaszcza wśród warstw mniej wykształconych, jest pociąganych przez szeroko reklamowane błędy, przyodziane często pozorami prawdy. Pokusy i podniety występku, mącące umysły swoim zabójczym wpływem za pośrednictwem najróżnorodniejszych wydawnictw, poprzez programy filmowe i telewizyjne, psują przede wszystkim nieostrożną młodzież..."

Tematy do modlitw za wolność Kościoła dotyczą spraw konkretnych. Tam także przebija szczególna troska o młodzież: „...Żeby młodzi w szkołach powszechnych, średnich i wyższych, w warsztatach czy w polu, nie zostali usidleni przez ideologie materializmu, ateizmu i hedonizmu, które hamują wzloty umysłu i odbierają siłę cnocie..."

Encyklika wzywa do modlitw za prześladowców, a kończy się przestrogą, że modlitwy bez reformy obyczajów wśród chrześcijan pozostaną „pustym dźwiękiem".

NAPAD NA JASNĄ GÓRĘ

WEZWANIE OPIEKUNA EMIGRACJI

Czcigodni Księża, Drodzy Rodacy!

Wolność Kościoła w Ojczyźnie ponownie jest zagrożona. Jak wiadomo, do Instytutu Księdza Prymasa na Jasnej Górze, w którym prowadzi się prace przygotowawcze do Św. Millennium Polskiego, wtargnęła 21 lipca grupa agentów policyjnych i przeprowadziła nagłą rewizję — także w części Klasztoru Jasnogórskiego. Rewizja trwała od godz. 14 do 24 i była bardzo gwałtowna. Dokonano aresztowań i zabrano kilka worków akt i książek, odnoszących się szczególnie do Millennium, jako też wydawnictw Veritasowych.

Już podczas pierwszej, niedawnej próby rewizji odgrażano się aresztowaniem, dodając wówczas: „My możemy i Wyszyńskiego aresztować". Walka przeciw Kościołowi zaostrza się ponownie. Zarządzenia Moskwy przewidują jej spotęgowanie.

Drodzy Rodacy! Za kilka dni obchodzić będziemy święto Wniebowzięcia Najświętszej Królowej naszej. Papież Pius XII, który w 1950 r. ogłosił Jej chwalebne Wniebowzięcie dogmatem, zachęca w encyklice „Meminisse iuvat" katolików całego świata do nowenny przedświątecznej, w której by uprosili lepszą przyszłość dla prześladowanego Kościoła za żelazną kurtyną. Posłuszni na wezwanie Ojca św., my Polacy na emigracji, modlić się chcemy podczas tej nowenny przede wszystkim za Kościół w Polsce, który był i jest Przedmurzem Chrześcijaństwa. Niech nasi Biskupi, Księża i Wierni nie będą pozbawieni Bożej pomocy i Bożej pociechy, które im bracia za granicą wyproszą. Jesteśmy pewni, że zwłaszcza w Roku Jubileuszowym Swego Objawienia w Grocie w Lourdes, Niepokalanie Poczęta nie zechce odrzucić naszych wspólnych próśb, ani nimi wzgardzić.

Proszę Was gorąco, Drodzy Rodacy, abyście począwszy od 6 sierpnia, aż do 15 sierpnia, codziennie łączyli się wszyscy modlitwą przed tronem Niepokalanie Poczętej i Wniebowziętej Królowej Polski i ubłagali Jej opiekę nad naszym Narodem. W tym celu odmawiajcie „Pod Twoją obronę", dziesiątek różańca oraz trzy razy inwokację: Wniebowzięta Królowo Polski, módl się za Twoim dziedzictwem".

Bramy piekieł nie zwyciężą Kościoła Bożego, a tryumf nad nimi odniesie Maryja, Pośredniczka wszystkich łask, która zwycięża we wszystkich rozprawach Bożych.

† Józef Gawlina
Arcybiskup
Opiekun Emigracji

APOSTOLSTWO CIERPIENIA

W wieku XX coraz bardziej przenika do dusz wiernych zrozumienie, że apostołować można nie tylko słowem i czynem, ale także modlitwą i cierpieniem. Potwierdza to w sposób wymowny fakt, że na mocy ustanowienia Stolicy Apostolskiej św. Teresa od Dzieciątka Jezus przez swą modlitwę i cierpienie w zaciszu domu zakonnego jest główną niebieską Patronką wszystkich misyj na równi z tytanem pracy misyjnej św. Franciszkiem Ksawerym.

W wyniku zwrócenia uwagi na wartość apostolską cierpienia, zaczęły powstawać tzw. Apostolstwa Chorych, m. in. w Polsce, między dwiema wojnami światowymi. Polskie Apostolstwo Chorych złączone jest z imieniem niestrudzonego na tym polu ks. dra Michała Rękasa, którego radiowe audycje dla chorych były powszechnie znane i cenione przed wojną, a miesięcznik dla chorych docierał do wielu, którzy włączali swe cierpienia do duchowego skarbca Kościoła. Jednemu Bogu wiadomo, ile to zdziałało dobra dla dusz wiernych i niewierzących, ile uprosiło łask, nawróceń, powołań do stanu kapłańskiego i zakonnego. Obecnie w dalszym ciągu ks. Rękas prowadzi swe dzieło i wydaje w Katowicach, Plebiscytowa 49a, 8-stronicowy miesięcznik, o nakładzie 20.000 egzemplarzy. Chorym, którzy pragną należeć do Apostolstwa Chorych, stawia się trzy warunki: przyjmowanie cierpień z poddaniem się woli Bożej; znoszenie ich cierpliwie, po chrześcijańsku, w zjednoczeniu z cierpiącym Chrystusem; ofiarowanie ich na intencję przyjścia Królestwa Bożego. We własnych intencjach chorzy ofiarują swe cierpienia w godzinach 12-15.

KSIĄŻKA PRYMASA WYSZYŃSKIEGO PO HISZPAŃSKU

Nakładem „Ediciones Rialp" w Madrycie wyszedł z druku **hiszpański przekład książki Prymasa Wyszyńskiego „Duch pracy ludzkiej"**. Książka dotrze do wszystkich krajów języka hiszpańskiego dzięki sieci kolportażowej wydawnictwa w krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Krótki wstęp napisał biskup Malagi José Angel Herrera Oria, sekretarz Rady Społecznej Episkopatu hiszpańskiego.

POLSKIE SPRAWY BEATYFIKACYJNE

Jak wiadomo, wiele polskich spraw jest w toku. I tak np. w lutym odbyło się pierwsze czyli antepreparatoria zebranie św. Kongregacji Rytów w sprawie heroiczności cnót Sługi Bożej Marii Teresy Ledóchowskiej, założycielki sodalicji św. Piotra Klawera dla misyj afrykańskich, a 11 marca na zebraniu tejże św. Kongregacji rozpatrywano sprawozdanie cenzorów teologów o pismach Sługi Bożej Jadwigi Borzęckiej, współzałożycielki zmartwychwstanek, córki Sługi Bożej Celiny Borzęckiej, założycielki tegoż zgromadzenia zakonnego.

W związku z dalszymi sprawami beatyfikacyjnymi, nakładem Pallotinum w Poznaniu, wyszła obszerna książka o. dra Michała Machejka i ks. dra Władysława Padacza: „Sprawy beatyfikacyjne na terenie diecezji", str. 507, cena 80 zł. Jest to jedyne na ten temat w języku polskim wyczerpujące opracowanie, ogromnie ważne dla ułatwienia procesów diecezjalnych jako kroku wstępnego do sprawy beatyfikacji. Na razie wydano tom pierwszy omawiający szczegółowo zadania tzw. promotora wiary i postulatora sprawy beatyfikacyjnej, a ponadto dający dokładny opis aktualnej procedury w procesach diecezjalnych i apostolskich. Tom drugi omówi funkcje wszystkich innych członków trybunału przeprowadzającego proces.

WYDAWNICTWA MARYJNE

„MARIE" — Documents pontificaux sur la Très Sainte Vierge parus depuis un siècle, 1854-1954."

W Les Presses Universitaires Laval w Québec wyszły w latach 1954-1956 cztery tomy papieskich dokumentów maryjnych, przygotowane do druku przez mons. Ernesta Lemieux, dziekana wydziału teologicznego uniwersytetu Laval.

Przy dokumentach najważniejszych z punktu widzenia nauki Kościoła zbiór podaje obok tekstu francuskiego także tekst oryginalny. Wielkie encykliki maryjne podane są w całości, poprzedzone syntetycznym wprowadzeniem. Przy wszystkich tekstach podtytuły ułatwiają zorientowanie się. Dzieła dopełniają indeksy: tekstów Pisma Świętego, imion i rzeczy, i chronologiczny przegląd dokumentów. Ponadto przy każdym z Papieży podano jego działalność w dziedzinie maryjnej i mariologicznej.

SPROSTOWANIE

W numerze 6/555 ŻYCIA w artykule W. T. pt. „Słowo o Bellocu" na str. 12, łam 2 podano mylnie datę śmierci Belloca. Powinno być w 1953, a nie w 1955 roku: na str. 13, łam 2 powinno być: załamanie się wspólnego autorytetu o charakterze międzynarodowym (zamiast międzynarodowych).

PO ŁEPKACH

Na gości z Kraju

DOBRE kilkadziesiąt tysięcy gości z Kraju odwiedziło już w ciągu kilku ostatnich lat Anglię. O mały okruch umniejszyła się w ten sposób krzywda i tragedia rozłąki rodzin. Połączyła się znowu pewna ilość małżonków, trochę dzieci wróciło do rodziców i staruszków rodziców pod opiekę dzieci. W olbrzymiej większości jednak goście musieli wracać po kilkumiesięcznej wizycie. Przyjazdy z Polski trwają nadal, choć ciągle wiszą nad nimi groźne chmury i stale towarzyszą im spiętrzone trudności biurokratyczne, dewizowe i komunikacyjne. Uzyskanie paszportu i czterech wiz udaje się w Polsce tylko osobom bardzo wytrwałym. Jeszcze jako tako przychodzi to warszawiakom, ale ludzie z prowincji, zanim zdobędą potrzebne dokumenty podróżne, muszą wpierw wielokrotnie odbyć uciążliwe i kosztowne wyprawy do stolicy. Biurokracja polska domaga się najrozmaitszych papierków, zaświadczeń, pieczątek i często wymyśla trudności, widać po to, aby wzbudzić dla siebie respekt u obywateli. Starania o paszport trwają rok i dłużej. Z wizami też nie łatwiej.

Na dewizy wymyślono najprostszy sposób: podróżnych z Polski mają całkowicie opłacać zapraszający zza granicy. Ale bilet lotniczy opłacić mogą tylko nieliczni emigranci, podróż zaś koleją nastręcza szereg trudności.

Gości z Kraju witamy całym i otwartym sercem, chociaż po kilkuletnich doświadczeniach zapał nasz wobec niektórych nieco ostygł. Gości można podzielić z grubsza na cztery kategorie:

a) rodziny;

b) stypendyści, artyści, uczestnicy zjazdów naukowych;

c) funkcjonariusze partii, dziennikarze i urzędnicy komunistyczni;

d) poszukiwacze przygód.

Pierwsze dwie kategorie witamy serdecznie i bez zastrzeżeń, dwie dalsze, niestety, także serdecznie i również bez zastrzeżeń. Niechęć budzą oni dopiero po niewczasie, po odkryciu ich prawdziwego oblicza. Dziennikarze komunistyczni np. gościnność odpłacają z reguły ośmieszaniem i zniesławianiem emigracji.

Ogólnie rzecz biorąc, emigranci posiadają określony mit Kraju i ludzi z Kraju. W każdym przybyszu stamtąd upatrujemy najlepszego Polaka, gnębionego przez system i szczęśliwego, że się wyrwał na parę tygodni, aby odetchnąć powietrzem wolności. Każdego gościa z Polski gotowiśmy ozłocić, a w każdym razie nakarmić i przyodziać oraz zapewnić, że ciągle dążymy do wyzwolenia Kraju. Nie domyślamy się nigdy, że nasze oświadczenia i zapewnienia często budzą już to wątpliwości, już to nawet uśmiech politowania. Każdy gość z Kraju jest dla emigrantów jakby żywą relikwią narodową, każdego traktujemy jak pełnomocnego posła z ujarzmionej ojczyzny, jako ofiarę niewoli.

A jeśli to przypadkiem jest artysta albo sportowiec, nasza gościnność i ofiarność nie mają granic. Podobno wszystkie artystki z „Mazowsza" opuściły Londyn w futrach, nie licząc innych podarków. Słusznie im się to zresztą należało. I nic w tym złego, aczkolwiek tylko nieliczne emigrantki chodzą w futrach. Serdeczność nasza jednak nie powinna być ślepa i bezkrytyczna. Warto sobie najpierw zadać trud ustalenia, z kim okoliczność. Tyczy to zwłaszcza artystów, pisarzy i dziennikarzy. Ostatnio rozbiła się bania z pisarzami. Zjeżdżają do Londynu literaci o sławnych jeszcze przed wojną nazwiskach, często ogromnie zasłużeni dla piśmiennictwa narodowego, ale gości też spora ilość poetów, prozaików i publicystów mniejszego kalibru, czasem prawie nieznanych. Związek Pisarzy urządza wszystkim bez różnicy wieczory literackie, choć bywa, że taki pisarz darzy emigrantów utworami raczej wątpliwej wartości. Nie o poziom wszakże chodzi. Związek Pisarzy urządził parę wieczorów i przyjął literatów wcale zasłużonych dla reżymu, na liście proskrypcyjnej umieszczając tylko nieliczne jednostki. Co więcej, studenci, na złość Związkowi Pisarzy, albo dublują wieczory autorskie albo nawet ubiegają Związek, tak że wszyscy pisarze i publicyści z Kraju są w Londynie rozrywani. Oprócz wieczorów urządza się jeszcze z nimi spotkania klubowe, na które bywają zapraszani nawet wojujący komuniści. W czasie tych zebrań zdarzają się proreżymowe, a nawet prosowieckie wystąpienia. Tak np. na jednym z zebrań klubowych młody poeta emigracyjny zapewniał raczej lewicowego pisarza z Kraju, polemizując z nim, że Polska nie ma nic wspólnego z kulturą Zachodu i że jej przyszłość leży tylko w ścisłej łączności ze Wschodem.

Więc chodzi o to, aby Związek Pisarzy stosował trochę subtelniejsze kryteria w urządzaniu wieczorów literackich dla gości z Kraju. Niechże się oni przekonają, że emigracja wie, o co jej chodzi i że dochowuje wierności Polsce demokratycznej, nie zgadzając się na narzucony system i niewolę oraz nie chcąc mieć nic wspólnego z ludźmi, którzy temu systemowi służą. W przeciwnym razie emigracja straciłaby sens istnienia. Jesteśmy stanowczo zbyt wyrozumiali wobec różnych gorliwców reżymowych i zbyt łatwo tłumaczymy sobie ich postępowanie koniecznością życiową. Trzeba skończyć z mitem, że każdy przybysz z Kraju to ofiara narzuconego systemu i w ogóle polityczne niewiniątko. Naturalnie nie trzeba przesadzać, ale i ostrożność nie zawadzi. Mamy wszelkie prawo dać pewnym gościom do poznania, że ich postępowanie się nam nie podoba. Wysłanników partii, oczywiście, emigracja w ogóle nie powinna przyjmować.

Inna sprawa z poszukiwaczami przygód i zwykłymi wyłudzaczami. Ogromna większość gości z Kraju zachowuje się ze znaną polską godnością. Nie brak jednak wśród nich naciągaczy na „polską biedę". Od czasu do czasu można spotkać w lokalu publicznym lub na ulicy rodaka, który nie ma za co wypić herbaty, nie ma ani pensa na autobus, nie wie, jak w Londynie zamieszkać i nie ma co do ust włożyć. Bywają tacy, co zgubili bilet kolejowy i całą gotówkę, których okradziono, którzy nie mogą w żaden sposób odnaleźć rodziny, potrzebują gwałtownie drogich lekarstw itd. Po prostu pewna grupa gości z Kraju uprawia żebraninę. Jest ich, trzeba to mocno podkreślić, znikomy odsetek. Źródło tej żebraniny tkwi w szerzącej się w Kraju legendzie o fortunach i karierach emigracyjnych, czemu trochę winni sami emigranci, przez snobizm rozgłaszający bajki o swych majątkach, związkach z lordami etc. Krewni i znajomi, zapraszający rodziny i przyjaciół z Kraju, powinni ich zaraz po przybyciu do Anglii zaopatrywać w gotówkę, aby zapobiec upokarzającej żebraninie, apelującej, niestety, wcale często także do angielskiej szczodrobliwości.

Inna znowu sprawa ze stypendystami. Reżym wysyła za granicę sporą liczbę uczonych, a zwłaszcza studentów ze śmieszną ilością pieniędzy. Piszący te słowa spotkał we Włoszech zasłużoną tłumaczkę literatury włoskiej na język polski, która podróżowała po Italii od znajomego do znajomego, zgodnie ze staropolską tradycją „rzemiennego dyszla", korzystając z gościny, a za całe stypendium miała sumę wystarczającą na kubek wina dziennie. To, oczywiście, obciąża reżym. Albo — albo. Jeśli państwo przyznaje stypendia, to niechże zapewnią one przyzwoitą stopę życiową za granicą, albo niech nie wysyła w obce kraje żebraków.

Gości z Kraju witamy na emigracji, ale wymagamy od nich godności narodowej i ludzkiej.

J. B.

NOWE WYDAWNICTWA

Ostatnio ukazał się w Warszawie pierwszy zeszyt biuletynu **MEDIAEVALIA PHILOSOPHICA POLONORUM,** obejmujący 32 strony. Cenne to i bardzo pożyteczne wydawnictwo zostało rozpoczęte staraniem Oddziału Bibliografii oraz Ośrodka Studiów nad Historią Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej, istniejących przy Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Jest ono wydawane w języku francuskim i ma informować o stanie badań nad filozofią średniowieczną w Polsce oraz podawać rezultaty tych badań szerszemu światu naukowemu. Zeszyt pierwszy zawiera następujące artykuły: Władysława Seńki „Apercu sur les recherches concernant la philosophie medievale en Pologne", oraz Andrzeja Półtawskiego „Communis lectura pragensis", czyli o polskim komentarzu do „Sentencji" Piotra Lombarda, pochodzącym z XV wieku.

Ponadto znajdujemy jeszcze zbiorowe opracowanie J. B. Korolca, A. Półtawskiego i Zofii Włodek na temat: „Commentaires sur les Sentences". Jest to uzupełnienie do wydanego w 1947 roku w Würzburgu „Repertorium Commentariorum in Sententias Petri Lombardi". F. Stegmüller opracowując swe repertorium nie zamieścił manuskryptów znajdujących się w bibliotekach polskich. Obecnie nieznane Stegmüllerowi manuskrypty zostały opisane w powyższym uzupełnieniu. W. Seńko w swym artykule zaznacza, że plan pracy na przyszłość ma objąć komentarze nad Sentencjami Piotra Lombarda, komentarze do prac Arystotelesa oraz komentarze do prac św. Tomasza z Akwinu. Nie wiadomo kiedy zespół pracujący będzie mógł zająć się komentarzami do Arystotelesa. Niemniej jednak może warto nadmienić, że podobno dr A. Zimmermann z Bergheim opracowuje obecnie komentarze arystotelesowskie w dostępnych mu bibliotekach. I może się powtórzyć znowu to samo, co stało się ze Stegmüllerem, że manuskrypty, które znajdują się w bibliotekach polskich, zostaną pominięte.

A na koniec jeszcze jedno życzenie na przyszłość: może kiedyś zespół będzie mógł także zająć się komentarzami do Cicerona, które tak wielki wpływ wywarły na kształtowanie się myśli polskiej.

Wybory włoskie a renesans religijny

Wynik ostatnich wyborów do parlamentu włoskiego w ocenie całej prasy włoskiej jest zwycięstwem politycznym demokracji chrześcijańskiej nad innymi partiami politycznymi. W ocenie natomiast prasy katolickiej jest to wielkie, wprost nieoczekiwane, moralne zwycięstwo dla sprawy katolickiej. Czytelnik, który nie jest obeznany ze stosunkami włoskimi, będzie się gubił, a nawet fałszywie je oceni, jeśli weźmie pod uwagę same tylko cyfry.

Mówiąc o wyborach, nie można pominąć faktu, pierwszy raz występującego w Italii: była nim wspólna deklaracja całego Episkopatu włoskiego, który zobowiązał wiernych w sumieniu do przestrzegania w nadchodzących wyborach trzech rzeczy:

1. Wierni mają obowiązek głosować.
2. Głosować mają na te partie, których program jest zgodny z zasadami katolickimi i nie brać pod uwagę ludzi, jako takich.
3. Katolicy mają być zjednoczeni w tym dziele.

Odezwa pozornie, zdawałoby się, osłabiała pozycję zwycięzców, i samego nawet Kościoła, interweniując w sprawy polityczne. Tak jednak nie jest. Episkopat nie mieszał się w tym wypadku do polityki, nie wymieniał żadnych stronnictw, ale dał wytyczne moralne, wskazując wiernym, że moralność ma być przestrzegana i w życiu publicznym. Trzeba było raz skończyć z paradoksem, aby ktoś przystępował do Sakramentów świętych, czy też żądał pogrzebu chrześcijańskiego i był jednocześnie członkiem organizacji, która zwalcza Kościół Chrystusowy. O to właściwie Episkopatowi chodziło i zostało przez wszystkich należycie zrozumiane. Odezwa biskupów zrobiła wielkie wrażenie. A doświadczenia z życia włoskiego były aż zanadto smutne w wytwarzaniu symbiozy. Propaganda wroga wciąż to wdrażała, że można innym być w domu, w kościele, a innym w życiu publicznym.

W cyfrach wyniki wyborów były następujące:

partia	ilość głosów	%	miejsc
Demokracja Chrześć.	12.508674	42,4	273
Komuniści	6.700.812	22.7	140
Socjaliści Nenniego	4.198.522	14.2	84
Neofaszyzm	1.401.770	4,7	25
Socjal-demokraci	1.352.029	4.6	23
Liberałowie	1.046.132	3,5	16
Monarchiści Lud.	775.801	2.6	13
Monarchiści Narodowi	656.714	2,2	10
Republikanie radykalni	405.072	1,4	7
Comunita	171.708	0,6	1
S. V. P.	135.426	0,5	3
Inne	176.616	0,6	1
Razem:	29.529.276	100.0	596

Stosunek podobny był w głosowaniu do senatu. Cyfry powyższe już same przez się mówią, ale jeszcze nam więcej dojdzie światła, jeżeli przeanalizujemy je ze stanowiska ideowo-moralnego. Stronnictwa powyższe rozpadają się siłą rzeczy na cztery ugrupowania-bloki i na będące na marginesie drobne grupki, które nie odgrywają żadnej roli w życiu zbiorowym. I tak:

Pierwszy blok to lewica, składająca się z dwu ugrupowań: komunistów Togliattiego i socjalistów Nenniego. Ta ostatnia grupa z pewnością ma swoje ramy organizacyjne, gdy chodzi natomiast o stronę ideologiczną, w niczym nie różni się od pierwszej. Jest to jednolity blok niewiary, choćby tylko z racji swoich zasad materialistyczno-marksistowskich, które są w pełnej antytezie do religii i Kościoła katolickiego. Jest to blok imponujący, gdy chodzi o liczbę, zgrupował w swoich szeregach aż 10.899.334 wyborców, jest mniejszy od Demokracji Chrześcijańskiej tylko o 1.609.310. Jest to groźba, która zawisła nad Italią. Nie można tego nie doceniać i nie widzieć.

Dalej idzie blok partyj laickich. Nie jest tak jednolity, ani imponujący liczbowo, jak pierwszy. Zaliczyć tutaj należy: liberałów, social-demokratów, którzy obecnie tworzą koalicję rządową z Chrześcijańską Demokracją i republikanów radykalnych. W swoich szeregach mają oni 2.803.213 wyborców z 53 miejscami w parlamencie. Ludzie należący do tych ugrupowań politycznych, a zwłaszcza liberałowie i republikanie, mają duży wpływ i znaczenie w życiu gospodarczym kraju, stając się zaporą w reformach socjalnych. Są to kapitaliści i właściciele wielkich posiadłości ziemskich. Nastawienie ich do wiary, Kościoła, Papieża, Hierarchii kościelnej jest zdecydowanie wrogie. Wywodzą się oni z tzw. „Risorgimento" włoskiego, z drugiej połowy wieku XIX, powiązanego z lożami masońskimi, z oświeceniem francuskim wieku XVIII i wielką rewolucją francuską. Prasa ich jest wroga dla Kościoła, a na apel Episkopatu zareagowała nawet bardzo nieprzyzwoicie.

Do tych więc dwóch bloków, rzecz jasna, odnosiło się ostrzeżenie Episkopatu włoskiego, jakkolwiek żaden z nich wymieniony nie był.

Trzecim blokiem są partie prawicowe, dwa stronnictwa monarchistyczne i partia neofaszystowska o tendencji spadającej. Monarchiści, z 40 miejsc spadli do 23, a faszyści z 29, w dawnym sejmie, do 25. Mieli jednak wyborców 2.834.285, miejsc w parlamencie 48. Tracą swój wpływ w społeczeństwie. Partie prawicowe nie mają wprawdzie wrogiego nastawienia do Kościoła tak, jak lewica, ale program ich jest obcy duchowi Kościoła. Monarchia ponadto powiązana była z kołami liberalno-laicystycznymi, wywodziła się z masonerii, nie była czynnikiem łączącym w narodzie, lecz raczej rozsadzającym. Wniosła wiele nieszczęść do kraju. Trzymają się tej partii ci, którzy w jakikolwiek sposób byli związani z monarchią.

Faszyzm, tak rozkrzyczany za Mussoliniego, przestał być pociągający i spływa z powierzchni życia włoskiego wraz ze zniknięciem wodza. Ideologia faszystowska obca jest też duchowi katolickiemu, a ponadto demoralizująca w wychowaniu. Trzymają się jej jeszcze niektórzy ze względów sentymentalnych lub też ci, którym zaświtał ongiś efemeryczny miraż „Nowego Imperium Włoskiego" i „potęgi włoskiej".

Zatem i te ugrupowania wykluczone były w apelu Episkopatu włoskiego poza nawias zasad, co do których Episkopat wiernym stawiał wymagania.

Pozostaje czwarty blok jednolity: Demokracja Chrześcijańska, która program swój polityczny opiera na encyklikach papieskich i na nauce Kościoła katolickiego. Ponieważ nie ma żadnej innej partii czy partyj politycznych katolickich, stąd też do niej odnosiły się, praktycznie rzecz biorąc, wskazania Episkopatu włoskiego. Nie mówię o innych ugrupowaniach, które nie mają znaczenia i wpływu na życie.

Po tym, choćby tylko pobieżnym przeglądzie poszczególnych grup, bloków, cyfr, ich zmasowań, dochodzimy do pewnego wniosku, który się już sam narzuca, że zwycięstwo Demokracji Chrześcijańskiej, to nie jest tylko zwycięstwo polityczne jednego ugrupowania nad innymi, ale to jest zwycięstwo moralne, które jezuita Rotondi, dyrektor ośrodka Mondo Migliore, określa jako coś, co stawia Italię na progu nowej epoki.

Rozważając ten problem należy wziąć pod uwagę to, że władza w rękach katolickich znalazła się pierwszy raz (oczywiście mówię o całym okresie powojennym) od istnienia państwa włoskiego. W ubiegłym stuleciu, wieku liberalizmu masońskiego, ani się śniło, aby kiedyś władza przeszła w ręce katolickie, w kraju o 94% katolików. Stosunkowo niedawne są czasy, kiedy naprzeciw Watykanu stawiało się pomniki, które miały ubliżać papiestwu. Twórcami państwa byli: Cavour, Manzini, Garibaldi (który odważył się powiedzieć, że osobiście znieważy papieża). Było to państwo laicko-masońskie.

Wtedy właśnie u papieża Piusa IX, kandydata na ołtarze, powstała myśl założenia Akcji Katolickiej, przygotowania ludzi na czasy nadchodzące. Powstaje Akcja Katolicka. (Tak, za Piusa IX.) Pierwszymi jej założycielami stają się: Mario Fanni i Józef Aquaderini. Istniał wtedy nawet dany katolikom zakaz wchodzenia zbiorowo do życia politycznego, bo co by robili razem z masonami? Racja zakazu leżała w tym, że katolicy nie byli przygotowani do życia politycznego. Myśl rzucona roztaczała szerokie koła i ogarnęła dzisiaj, po 90 latach, całą Italię. Wykluła się wtedy katolicka myśl społeczna — socjologia chrześcijańska, której twórcą był Toniolo, zmarły w 1922 r. Nazwisko jego zapisało się wielkimi zgłoskami w ruchu katolickim. Pod auspicjami Akcji Katolickiej powstaje zaraz po pierwszej wojnie światowej Katolicki Uniwersytet Najśw. Serca Jezusowego w Mediolanie, który stał się drugim ważnym czynnikiem w kształtowaniu katolickiej myśli społecznej, politycznej i kulturalnej w Italii.

Dlatego też, kto chciałby wyrażać zdziwienie, że w kraju katolickim o 94% katolików, gdzie jest siedziba Papieża, tak wielka ilość głosowała za komunistami, przeciwko Kościołowi, byłby w błędzie, stawiając tak kwestię. Trzeba postawić inne kryteria oceny, trzeba zagadnienie odwrócić i zapytać, jak to się stało, że w państwie laickim, gdzie walka z Kościołem uważana jest za objaw postępu, władzę polityczną w pewnym okresie historii, najbardziej niesprzyjającym dla państwa, obejmują jednak katolicy.

Dzisiejsi ministrowie wywodzą się z szeregów Akcji Katolickiej lub też są wychowankami katolickiego uniwersytetu. Fanfani, prezes ministrów, był prezesem Akcji Katolickiej, wychowankiem i profesorem Katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie. Katolicy obejmują rządy w państwie, które przegrało wojnę i przez wojnę zostało zupełnie zniszczone, nie mając bogactw naturalnych, w

kraju przeludnionym, a mimo to doprowadzają go do stanu względnie kwitnącego. Ludzie, którzy władzę objęli, to nie byli ludzie przypadku, ale ekipa dobrze przygotowana do pracy politycznej.

Nie znaczy to, że wszystko jest dobrze. Jest źle i nawet bardzo. Największą bolączką jest już samo istnienie największej może poza Rosją, partii komunistycznej. Jest to zjawisko, którego nie można lekceważyć. Można z pewnym zażenowaniem dziwić się, mimo wszystkich racyj, że w kraju, gdzie z jednej wieży kościelnej widzi się drugą, aż tak wielu głosowało na komunistów i przeciw Kościołowi katolickiemu. Jezuita Rotondi w swoim piśmie „Mondo Migliore" też stawia pytanie, czy to nie za dużo, aby na 100 deputatów aż 37 wolało marksistów niż rewolucję chrześcijańską, bez względu na to, że komunizm w ostatnich czasach został tak bardzo skompromitowany. Kwestia według niego upraszcza się wprawdzie, ale nie rozwiązuje się. Komunistów w Italii można podzielić na kilka grup. Jedni zostali komunistami przez ignorancję, inni ze strachu, są zawodowi, są też z nacisku. Są także komuniści z występku, a dalej z nędzy. Przy obliczaniu należy brać to pod uwagę, ale to jeszcze problemu nie rozwiązuje. Należy dużo zaliczyć na karb zacofania. Italia rządzona przez koła laickie została doprowadzona do takiego zacofania, zwłaszcza w południowej swej części, że analfabetyzm dochodzi do 40%. W takiej ciemnocie wszystko jest możliwe; religijność jest tu na wpół pomieszana z przesądami. Jest rzeczą oczywistą, że i kler miejscowy nie jest bez winy, nie potrafił wyczuć powagi nadchodzącej chwili, znalazł się w wielu wypadkach poza nawiasem narastających problemów. Dzisiaj te zaniedbania zaczyna się odrabiać, ale utracone pozycje niełatwo się odzyskuje. Dlatego też światła, które świtają nad Italią, nie są bez cieni.

Ks. M. Wojciechowski

KRYZYS KOŚCIOŁA EWANGELICKIEGO
W NIEMCZECH

Niemiecki Kościół ewangelicki nie jest organizacyjnie jednolity. W Niemczech wschodnich i zachodnich istnieje 26 samodzielnych organizacji kościelnych, z czego większość stanowią regionalne Kościoły poszczególnych „krajów" niemieckich, jak Hesja, Dolne Sasy, Wirtembergia, Meklemburgia itp. Dogmatycznie nie ma pomiędzy nimi znaczniejszych różnic. Toteż po wojnie utworzono nadbudowę organizacyjną poszczególnych Kościołów autonomicznych pod nazwą „Rada Kościołów Ewangelickich w Niemczech", na czele której stoi powszechnie szanowany, sędziwy, 78 lat liczący biskup protestancki Berlina, dr Dibelius. Rada Kościołów Ewangelickich jest dziś jedyną ogólno-niemiecką organizacją prawa publicznego, obejmującą obie części Niemiec: zachodnią Niemiecką Republikę Federalną (NRF) i wschodnią Niemiecką Republikę Demokratyczną (NRD). Organem ustawodawczym Rady Kościołów jest Synod Kościoła Ewangelickiego w Niemczech, złożony ze 120 wybieralnych członków, duchownych i świeckich, 80 z NRF i 40 z NRD. Tegoroczny synod w Berlinie wykazał poważne rysy w jedności organizacyjnej i ideowej Kościołów i zakończył się uchwałami, zawierającymi zarodek rozłamu na Kościoły zachodnich i wschodnich Niemiec.

Niemiecka Republika Demokratyczna liczy 18 milionów mieszkańców, w czym jest 16 milionów ewangelików i 2 miliony katolików, a więc siłą rzeczy Kościół ewangelicki musi być uważany w niej za główny ośrodek oporu przeciw reżymowi komunistycznemu NRD. Jest przeto rzeczą zrozumiałą, że reżym ten prowadzi zaciętą walkę w pierwszym rzędzie przeciwko Kościołowi ewangelickiemu jako dominującej organizacji kościelnej w tej części Niemiec. Walka ta koncentruje się przede wszystkim na odcinku młodzieżowym. Problem uzbrojenia zachodnich Niemiec i układ pomiędzy Radą Kościołów a rządem w Bonn w sprawie opieki duszpasterskiej nad Bundeswehrą zachodnio-niemiecką, a przede wszystkim ostatnia uchwała Bundestagu w sprawie uzbrojenia atomowego zachodnio-niemieckich sił zbrojnych, dały rządowi berlińskiemu okazję do zwiększenia nacisku na Kościół i rozwinięcia systemu terroru w stosunku do ewangelickich pastorów i działaczy świeckich. Ostatni synod stał w dużym stopniu pod znakiem tego terroru, co nie pozostało bez wpływu na postawę wschodnio-niemieckich członków synodu, a nawet niektórych przedstawicieli Kościoła na Zachodzie. Dostojne zgromadzenie synodalnych delegatów stanęło przed alternatywą utrzymania swej dotychczasowej linii postępowania i narażenia tym samym swych wschodnio-niemieckich współwyznawców na jeszcze większe prześladowania i ewentualny zakaz dalszego przynależenia ich do wspólnej Rady Kościołów, albo też utrzymania jedności za cenę sprzeniewierzenia się swym dotychczasowym zasadom i znalezienia się w sprawie problemu atomowego w jednym szeregu z komunistycznym frontem pokoju.

Dla podkreślenia jedności Kościoła posiedzenia synodu odbywały się w obu częściach Berlina. Inauguracja odbyła się we wschodnim Berlinie i zakłócona została krzykliwą demonstracją „wzburzonego ludu" przed miejscem obrad. Demonstrantom udało się wtargnąć na salę posiedzeń i wywalczyć sobie prawo przedstawienia swego poglądu na politykę Kościoła, sprzyjającą — zdaniem komunistycznych demonstrantów — militaryzmowi, wojnie i reakcji. Niepowszednie opanowanie uczestników synodu i powaga jego kierownictwa sprawiły, że demonstracja nie doprowadziła do rozbicia obrad. Po opuszczeniu sali przez nieproszonych gości obrady odbywały się dalej w atmosferze powagi i spokoju, przy pełnej świadomości, że na tym synodzie decydować się będzie przyszłość protestantyzmu niemieckiego. Merytoryczna dyskusja odbyła się przy drzwiach zamkniętych w komisjach i dopiero na ostatnich zebraniach plenarnych, którym przedłożono projekty przygotowanych w komisjach rezolucji, ujawniono zarysowujące się różnice zdań pomiędzy poszczególnymi członami Kościoła.

Główna, jednomyślnie przyjęta na plenum uchwała podkreśla demonstracyjnie wolę wszystkich uczestników zachowania za wszelką cenę jedności. Następujące jednak po wstępnej uchwale rezolucje zdradzają w sposób widoczny rozstajne drogi, jakie ujawniły się przed uczestnikami obrad, którym nie udało się znaleźć pomostu, gwarantującego dalszą harmonijną współpracę Kościołów wschodnich i zachodnich Niemiec. Nie było wprawdzie różnic, jeśli chodzi o postawę, jaką Kościół ewangelicki nadal zajmować będzie do zakusów partyjnych wobec młodzieży. Pragnąc jednak wyczerpać wszystkie możliwości stworzenia w tym zakresie modus vivendi pomiędzy komunistycznym państwem a Kościołem, postanowiono podjąć starania o przyjęcie delegacji Rady Kościołów przez rząd wschodnio-niemiecki dla ponownego przedyskutowania możliwości kompromisu.

Dramatyczniej brzmi uchwała dotycząca problemu atomowego. Rezolucja stwierdza z rozbrajającą szczerością, że poglądy ujawnione w komisji były diametralnie różne. W dyskusji dominował zasadniczy dylemat: czy posługiwanie się bronią atomową, choćby tylko w celach obronnych, jest grzechem w stosunku do Boga? Synod okazał się niezdolny do udzielenia zgodnej odpowiedzi na to pytanie. Jakkolwiek większość uczestników nie kwestionowała prawa posługiwania się w celach obronnych tą samą bronią, którą atakuje przeciwnik, to jednak znaczny odłam członków (i nie tylko przedstawicieli Kościołów NRD) wypowiedział się przeciwko uzbrojeniu atomowemu. Plenum zdobyło się jedynie na ogólne potępienie broni atomowej i wezwanie skierowane do wszystkich rządów i możnych tego świata o opamiętanie się w wyścigu zbrojeń atomowych.

Z trudem osiągnięte rok temu porozumienie wszystkich odłamów Kościoła w sprawie zawarcia przez Radę Kościołów — jako naczelną reprezentację protestantyzmu całych Niemiec — umowy z rządem w Bonn w sprawie opieki duszpasterskiej w Bundeswehrze — zostało tym razem anulowane. Synod — wbrew usiłowaniom biskupa Dibeliusa — powziął większością głosów uchwałę, polecającą podjęcie z rządem w Bonn rozmów w sprawie przekazania sprawy opieki duszpasterskiej poszczególnym Kościołom krajowym. Kościół jako całość nie chce nadal udzielać zbrojeniu się NRF pośredniego poparcia przez współdziałanie z armią w zakresie opieki duchownej. Kościoły wschodnich Niemiec zostały tym samym od odpowiedzialności w tym zakresie zwolnione. Przyszłość okaże, czy ustępstwo to uratuje jedność. Nie ulega wątpliwości, że sprawa broni atomowej i umowy duszpasterskiej z Bonn były dla wschodnio-niemieckich kół rządowych tylko pretekstem mającym na celu podważenie autorytetu czynnika będącego poważną przeszkodą dla komunizowania życia Niemców wschodnich.

Walka z religią w NRD skoncentrowana została na odcinku wyznania ewangelickiego, do którego należy 90% meszkańców tej części Niemiec. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że wszystkie posunięcia skierowane w pierwszej linii przeciwko ewangelikom dotkną także i Kościół katolicki. Katolicka hierarchia kościelna we wschodnich Niemczech nie żywi w tej sprawie złudzeń. Bezpośrednio po zakończeniu synodu ewangelickiego katoliccy biskupi w NRD wydali list pasterski, potępiający gwałcenie sumień mieszkańców NRD i przestrzegający przed szerzącą się propagandą ateizmu. List pasterski zajmuje nieugiętą i bezkompromisową postawę w stosunku do nacisków partyjnych. „Może wypadnie wam — mówi na zakończenie list pasterski — ponosić przy takiej postawie ciężkie ofiary, ale bardziej należy słuchać przykazań Boga aniżeli ludzi. Tylko tam, gdzie zamiera duch wolności, następuje całkowity zanik wolności".

St. Czechanowski

WYLUDNIANIE WSCHODNICH NIEMIEC

W lipcu, na piątym kongresie partii komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Walter Ulbricht zapowiadał wzrost produkcji, który — według słów jego — ma doprowadzić wkrótce do wyższej aniżeli w Niemieckiej Republice Federalnej stopy życiowej, a po latach piętnastu — do standardu życia wyższego niż... w Stanach Zjednoczonych.

Jednym z głównych elementów wzrostu stopy życiowej jest — jak wiadomo — posiadanie odpowiedniej bazy ludnościowej, zapewniającej dostateczną ilość rąk roboczych do pracy w kopalniach, fabrykach i innych warsztatach produkcyjnych. Tej bazy NRD nie posiada. Wręcz przeciwnie, ludność Wschodnich Niemiec zmniejsza się z roku na rok.

Trzeba wziąć pod uwagę, że przyrost naturalny całych Niemiec jest bardzo niski, jeden z najniższych nawet w całej Europie. W NRD wynosił w 1956 roku 3,9 na tysiąc mieszkańców, w NRF — 5,3 (w przeciwstawieniu do Polski, która posiada największy w Europie przyrost — blisko 20,0). Przyrost, choćby niski, wpływa jednak na narastanie substancji ludnościowej. Zachodnie Niemcy (wraz z zachodnim Berlinem), liczyły pod koniec 1946 roku 45,7 milionów mieszkańców. Dziesięć lat później pod koniec 1956 roku NRF liczyła 53,3 milionów. Wzrost wynosił więc 7,6 milionów, czyli 16,6%. Tak duży wzrost liczby mieszkańców nie został oczywiście spowodowany wyłącznie przyrostem naturalnym. Przyrost wynosił w ciągu tego dziesięciolecia tylko 2,6 milionów, pozostała zwyżka idzie na konto przybyłych na zachód Niemiec wysiedleńców i uciekinierów, spośród których, zwłaszcza w ostatnich latach, przygniatającą większość stanowią uciekinierzy ze wschodniej Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

NRD liczyła w 1946 roku 18,4 milionów mieszkańców. Po upływie lat dziesięciu (koniec 1956) miała już tylko 17,6 milionów, mimo że przyrost naturalny wynosił w tym okresie 600.000, a po potrąceniu deficytu pierwszych lat powojennych (więcej zgonów aniżeli urodzeń) — 442.000. NRD powinna więc mieć teraz około 18,8 milionów ludności. Ponad 1,2 miliona uciekło według tego rachunku na zachód Niemiec. W rzeczywistości cyfra ucieczek jest znacznie większa, gdyż także do NRD przybyła, zwłaszcza w pierwszych latach powojennych, część wysiedleńców z Polski i innych krajów wschodniej Europy. Ponadto nieco Niemców przeniosło się w tym czasie także z zachodu na wschód.

Według cyfr ogłoszonych przez zachodnio-niemiecki Główny Urząd Statystyczny, uciekło w czasie od końca 1946 r. do końca 1955 r. 1,6 miliona Niemców z NRD na zachód. Do końca 1957 roku zarejestrowano w NRF blisko 3 miliony uchodźców z NRD. W samym roku 1953 (powstanie w NRD) uciekło 331 tysięcy, w 1956 roku — 279 tysięcy a w 1957 roku— 262 tysiące, czyli ponad 700 osób dziennie uciekało w ubiegłym roku. Ucieczka trwa nadal, w dalszym ciągu około 700 osób dziennie szuka schronienia i pracy w Niemczech zachodnich.

Bilans ten odbija się i odbijać się będzie w przyszłości na wydajności wschodnio-niemieckiej produkcji, jeśli się zważy, że 52% owych 262 tysięcy uciekinierów (w r. 1957) stanowią młodzi ludzie do lat 25, a 26,2% ludzie w sile wieku: od lat 25 do 45. Byłoby przesadą twierdzić, że są to wszystko uchodźcy polityczni, tj. ludzie, którzy z powodu prześladowania politycznego szukają azylu na zachodzie. Wielu jest — oczywiście — i takich, większość jednak, a szczególnie młodzież o przedsiębiorczych ambicjach ucieka do Niemieckiej Republiki Federalnej, ponieważ kusi ją zachodnio-niemiecki „cud gospodarczy", wyższa stopa życiowa, większe zarobki i lepsze warunki bytu.

Do rozwoju produkcji i pomyślności gospodarki państwowej potrzebne jest m. in. zwiększenie się zastępu uczonych, profesorów, inżynierów, fachowców, słowem rozrost solidnie do zadań swych przygotowanej inteligencji. A właśnie wśród ludzi, którzy ze względów politycznych opuszczają sowiecką strefę okupacyjną w Niemczech, poważny odsetek stanowi inteligencja, przede wszystkim zaś profesorowie, docenci i studenci. Od stycznia do maja bież. roku uciekło ponad 120 profesorów, docentów i asystentów wyższych uczelni wschodnich Niemiec, mimo że ta kategoria inteligentów jest w NRD dobrze wynagradzana. Wśród uchodźców znajdują się wybitni naukowcy i cenieni specjaliści. Nacisk polityczny, pomawianie ich o sympatie i obyczaje „burżuazyjne" i zmuszanie do podporządkowania się dyrektywom partii i dogmatu partyjnego — wszystko to uniemożliwia im spokojne prowadzenie badań naukowych. Wolą więc rezygnować z dobrze płatnych stanowisk, pozostawiają mieszkania i dobytek i przenoszą się na zachód.

Już dzisiaj daje się zauważyć na wschodzie brak rąk do pracy, szczególnie w rolnictwie, spowodowany zresztą nie tylko falą ucieczek na zachód. Od kilku lat bowiem opuszczają szkołę powszechną słabe ilościowo roczniki, urodzone w czasie wojny. Jeśli na zachodzie Niemiec ten stan rzeczy nie daje się na razie tak jaskrawo we znaki, to dlatego, że rynek pracy NRF zasilony został w latach powojennych trzema milionami uchodźców ze wschodu.

Paradoks podziału Niemiec polega na tym, że faktowi istnienia dwóch państw niemieckich zachodnia Republika Federalna zawdzięcza w znacznym stopniu swój gospodarczy rozkwit. Bez zimnej wojny pomiędzy byłymi sojusznikami wojennymi nie byłoby podziału Niemiec. Bez współzawodnictwa Wschodu i Zachodu o pozyskanie Niemiec nie płynęłyby miliardy dolarów amerykańskich na odbudowę i modernizację przemysłu zachodnio-niemieckiego. Bez ustroju komunistycznego wschodniej części Niemiec byłoby na zachodzie o 2 miliony Niemców mniej. Bez dolarów amerykańskich i bez uciekinierów ze wschodu nie byłoby „cudu gospodarczego" zachodnich Niemiec. Wielu Niemców na Zachodzie zdaje sobie z tego faktu sprawę. Świadomość ta jest jednym z powodów, które wpływają na to, że idea „Wiedervereinigung" — idea zjednoczenia Niemiec nie jest w NRD zbyt popularnym hasłem i że nie emocjonuje ona szerokich mas społeczeństwa zachodnio-niemieckiego.

S. C.

POLAK W C.I.O.I.C.

Stanowisko sekretarza generalnego Centrum Informacji Międzynarodowych Organizacji Katolickich (Centre d'Information des Organisations Internationales Catholiques) w Genewie piastuje od niedawna Tadeusz Szmitkowski. Jest on drugim z kolei Polakiem na tej ważnej placówce. Pierwszym bowiem sekretarzem generalnym i twórcą Centrum, które w obecnej postaci istnieje od roku 1950, była ś. p. Jadwiga Romerówna.

Zadaniem tej instytucji jest informacja i koordynacja w stosunkach z oficjalnymi organizacjami międzynarodowymi, zwłaszcza europejskimi agendami Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak Europejski Urząd ONZ, Międzynarodowe Biuro Pracy, Światowa Organizacja Zdrowia, Wysoki Komisariat dla Spraw Uchodźców, Międzynarodowy Komitet dla Spraw Migracji Europejskich, Międzynarodowe Biuro Wychowania itp. Centrum jest organem i działa na rzecz Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolickich (OIC), jednoczącej trzydzieści kilka światowych katolickich organizacji, której stałym sekretarzem jest również Polak — Mieczysław Habicht (Członkiem OIC jest m.in. Federacja Światowa Mężów Katolickich, w zarządzie której zasiada Jan Baliński-Jundziłł). Centrum genewskie utrzymuje ścisłą współpracę z podobnymi placówkami katolickimi: przy UNESCO w Paryżu, przy FAO w Rzymie i przy centrali ONZ w Nowym Jorku.

Tadeusz Szmitkowski, urodzony w Warszawie, magister praw Uniwersytetu Warszawskiego, był internowany w Szwajcarii, gdzie pracował w wielu organizacjach społecznych, polskich i międzynarodowych: Polski Uniwersytecki Obóz Internowanych, Bratnia Pomoc, Polski Czerwony Krzyż, Delegatura na Europę Rady Polonii Amerykańskiej, ONZ.

Był jednym z założycieli PKSU „Veritas" w Szwajcarii i jego prezesem. Współpracował z Pax Romana od roku 1945, a od roku 1951, w jej fryburskiej centrali w sekretariacie ruchu studenckiego (MIEC), ostatnio jako zastępca sekretarza generalnego, oraz prowadził dział współpracy międzynarodowej. Obecnie został stałym reprezentantem Pax Romana przy organizacjach międzynarodowych w Genewie. Jest również członkiem Komisji Katolickiej dla Spraw Migracyjnych w Genewie, której sekretarzem generalnym jest także Polak dr Tadeusz Stark.

Polacy, członkowie PKSU „Veritas", uczestniczyli w pracach Pax Romana nieprzerwanie od czasu wznowienia działalności ruchu po wojnie. We władzach zasiadali: Stanisław Grocholski, Andrzej Ruszkowski (twórca katolickiej „międzynarodówki" filmowej, a ostatnio współorganizator II Kongresu Apostolstwa Świeckich), Zygmunt Marzys (wiceprezes MIEC); do centrali we Fryburgu wszedł Szmitkowski po Mieczysławie Habichcie, który poszedł stamtąd na pionierską pracę do powstającej Konferencji OIC. — Polski udział był dowodem życzliwego stosunku Pax Romana do katolickiej Polski i Polaków. Pozwolił on równocześnie realizować polski wkład w tę pracę o zasięgu światowym. Ostatnio służył on również skutecznie na odcinku łączności z Krajem w katolickich stosunkach międzynarodowych.

Objęcie przez Tadeusza Szmitkowskiego placówki CIOIC w Genewie jest dalszym ciągiem polskiego uczestnictwa w organizowaniu i umacnianiu katolickiej „międzynarodówki", frontu ofensywy nowoczesnego apostolstwa świeckich.

W. I.



MARIAN CZUCHNOWSKI

PRZYRODA W GÓRACH

Kosmaty oset w srebrnoszarych listkach
Z krótką, różową iskrą
Czerwonej gwiazdy,
Spod śniegu świeżego,
Kruchego i cukrowego,
Jak stary fryz odstał od ziemi.

Pęk tłustych złocieni
W słońcu się żółci u dróg rozjazdu.
Na szczycie skalnego ostu
Mlecznym, jak ostrze sopla
Ryje się żwawy rys kwiatu lodowego:
Drobna i fioletowa, pachnąca kropla.

ODKRYCIE

Dziecko pije chciwie
Sok z różowej rany,
Wciągając mokrymi nozdrzami
Woń katalońskiej pomarańczy·
Chłodny smak, mięso,
Winne oleje śpiące w ciemnomalinowej
[kuli.

Widzi rysunek, barwę,
Rdzeń krwistymi znakami cukru
W głąb zahaftowany.
Czuje otwarte pory, pasma,
Tkaninę,
Czerwone żyłki,
Płatek w płatek karbowany.

Odkrywa krągłą powierzchnię, jak matki
[pierś,
Gdy je na kolanach niańczy.
Palcami cienkimi poznaną nowość ciasno,
Jak przędzą, otoczy.
Zaciska piąstki, zdumione.
Uśmiecha się cicho i do piersi tuli.
Smakuje, mrucząc, purpurową kulę,
Przymrużywszy oczy
Przykryte aksamitnym pyłkiem.

BLASK MARCA

Znikła z dachów cienia niebieska
[powłoka.
Rybaczki suszą na sznurach białe
[fartuchy.
Jak na gorącym rosole złote oka
Pływają kwiaty kaczeńców w rzece
[rzeżuchy.
Choć tylko lśnią, pachnie wilgotność
[powietrza.

Krochmalem czuć schnącą bieliznę,
Kruchawą jak pogoda słoneczna.
Krzepkie i jędrne, jak drzewa, kobiety
Piorą różowe koszule.
Za nimi szemrzą wieczorem
W białych baziach pulchne kępy iw.
Zachód w szkarłatnych obcisłych
[spodniach
Przeszedł lekko po kaczeńcach, rzece,
[mule.
Rosa nakłada na dachy i trawę
Srebrny szlif.

ZIELONE LIŚCIE

Już srebrna wilgoć
Na ciemnoniebieskich ryje się
[śliwach.
Skłon przypadł latu.
Złociste klony w czerwonych
[szalach.
Szkarłatna pała pierzyna mchu.

Wilgom
Wśród krzy
Brakuje tchu.
Błyszczą: ścieżka ziarnista,
Woda i most na palach.

Wiatru
Wiew ciepły
Igra we włosach.
Jeziora brzeg
W lesie się żarzy.

Jędrna, jak śnieg,
Marzy brzoza w różowych wrzosach.
Młode, jak łzy,
Pociekły
Czasy po twarzy.

Zima stajała
Płącząc swój krok.
W kruchych piszczałkach
Znowu zaświta zielony sok.
W rosach obłyśnie iwa.

Zamszowe sznury.
Brązowe sznury
W słońcu rozwinie
W ciepłej kotlinie
Na czarnych pałkach.

Rosną soczyście,
Po pniach się pną
Skrzypcową grą,
W kluczach na prętach drżą
Zielone liście.

Brązowe sznury,
Przędze puszyste.
Obłoki jasne.
Jak misy czyste.
Lazuru rury.

Srebrnego tyle
Skrzy się w nich dżdżu.
Zawieszonego miękko
U góry
W promiennych pękach kropliście.

Zielone trawy.
Niebieskie góry.
Zielone stawy.
Czerwone chmury.
Zielone liście.

ELEKTRYCZNOŚĆ W OCZACH ĆMY

Pająk rozpostarł sieć, prywatny tkacz.
Podbiera nici. Chodzi w webie.
Węgierska śliwa w różowe wstęgi
[przystroiła
Ciemny kapelusz, stojąc przy furtce
[panna żywa.
Zaspany żuk zielony płaszcz zrzuca
[z siebie
Na ostry żwir. Biega w niebieskiej koszuli.
Już świeża pszczoła w krzewach gra
Na złotej strunie polnej drumli.

Pierwsze namiętne głosy z żabna:
Kuma — kuma — kum! — Kum — kuma
[— kum!
Jak srebrne bąble biją w trzcinach.
Woda pod nocą się ugina.
Na brzegach bagna żabi tłum
Skąpany w wiośnie śpiewem drży.
Błyszczy wieczorem w krzach jedwabna
Elektryczność w oczach młodej ćmy.

CZTERY SREBRNE RYSIKI

Cztery srebrne rysiki:
Migotliwy mieczyk deszczu,
Laska rozłamanego promienia,
Zielone pióro kraski,
Perłowa trąbka bekasowego głosu —
Zdobią i wielbią, rysują czysto córeczkę.
Śpiewają i wróżą ją, jak ciepłą
[gwiazdeczkę,
Od stóp do włosów.

Kreślą jeszcze
Bez liku
Niebieskie koła,
Jak sieje kwiaty krzak dziki,
Czarne kwadraty,
Białe trójkąty,
Liliowe linie.
Ja jestem piąty.

Słońce nagle schowało w rzecznym [piórniku
Rysiki, gwiazdki, deszcz, ognie czerwone, [jak oczy w króliku,
Tlące zielone szaty
I lica anioła.
Motylom wzięło oprzędów skrzynie,
Źrenicę świecy,
Żółty warkocz czerstwej kalinie,
Srebrne kolczyki
Czerwonej jak barszcz dziewczynie.
Podbiałom zamszowe maty,
Storczykom świecznik
W skrach rozpryskany pośród dąbrowy
Ciemnych jedwabi i kryształowy.
Paprociom długie zielone rzęsy,
Złoty słonecznik,
Jak plaster miodu,
Trzmielom i pszczołom.
Mokry pysk wołom
Z różową kwartą w nozdrzy szczelinie.
I płynie w powietrzu.
I płynie
Jak krew czerwona w malinie.

PIOSENKA

Jechał do mnie na koniu.
Pędził do mnie na wronym.
Czapkę oparł na nowiu
Pod klasztorem ogromnym.

A od tego klasztoru
Szły trzy panny w welonach.
We welonach niebieskich
I trzy gwiazdy do boru.

Orzech twardy i w gronach.
Na orzechu sakiewki
Całe złote, ściśnione,
Jak u dziewcząt cholewki.

Cholewki się błyskają.
Panny welony rzucają.
Gwiazdy w borze znikają
W sznurach pereł i monet.

Jedna mi się została.
Pieczęć na niej czerwona.
Pieczęć chłopca i konia
Co go tak opłakałam.

POWSTAWANIE WIERSZA

Zamiast świecy w ciemną noc
Świetlik pali się w bzach sam.
Liść posrebrzy w czarnej debrzy.
Prysnął. Został zorzy złoty błam.

Złoty błam, czerwony koc
W stawie grubo ściele świt.
W tej pościeli kwacze kaczor w ucho [kaczce:
— „Wstawaj! Pył jedwabny leci z żyt."

Pył jedwabny z żyt, ząbkowany ścieg,
Świeca, ciemność, bzy we łzach, jak [w wierszu
Rytm i dreszcz, gdy chwytają rynny brzeg
Brylantowe wargi deszczu.

NA DWA GŁOSY

Patrz, tatusiu, gęsi lecą.
Oczy im się w locie świecą.
A łabędzi
Para pędzi,
Jakby chciała się uwędzić
W słońcu.

Nikła kania
Je dogania.
Przemknął cień.
Jastrząb bury
Skoczył z chmury.
Spłoszył kanię. Skrzydła końcem
Pobił biedną na krawędzi
Ciepłej łąki w biały dzień.

Słowik kląska.
Pryska szafir po gałązkach.
Rokiciny drżą.
Tu perełka,
Tam diamencik
Ros obfitych gąszcze przetka.
Zalśni, zaskrzy, zaszeleści
Srebrną treścią swą.

Chłód zróżowiał w cichych wrzosach.
Pachnie żyta świeża miazga.
Ptaszek usnął w gniazdku już.
Stoi w gwiazdach
Na niebiosach
Wielki biały Anioł Stróż.

Poszły spać w szarych muszelkach
Żabki w rzece.
Polne kwiaty śpią w czerwonych [pantofelkach.
Przy pasiece
Usnął wielki złoty orzech.
Pod nim zając i gołąbki.
Śpi już jeż.
Uśnij teraz, córuś, też.
Poszły spać wieczorne zorze,
Tylko lśnią im śnieżne ząbki.
Fiołek stulił ciemne rzęsy.
Ćmy się skryły w płaszczach róż.
Cóż chcesz więcej?
Poduszeczkę masz puchową.
A swe rączki popod głową,
Jak narcyzy białe złóż.

MODLITWA

W szarym parowie
Ostry krzyk czajki.
Mokre niezapominajki:
Posrebrzone mrowie.

Zielone mrówki
I czerwone liście
Patrzą przezroczyście
Z wodnej widokówki.

Woda nikło ciecze po lesie.
Płacz ptaka się niesie.
Mchu pachną jedwabne zagłówki.
Złota jesień.

Lesie! Lesie!

O ŚWICIE

Miasto po gorączce śpi.
Pokryte czarnymi, ciężkimi kocami.
Spać nie mogę. Patrzę w kryształowe [drzwi,
Które zorza otworzy srebrnymi kluczami.

Ciemno za oknem. Ciężko mi,
Czytać już późno. Szeleszczę kartkami
Gorzkiej i mądrej książki. Czuję bicie [krwi.
Jakby kowale bili w skronie twardymi [młotami.

Dobrze, że jestem chociaż sam z myślami.
Sam. A do pokoju patrzą tłuste liście [winogradu.
I świeci w murze, jak zbitkami gradu
Czerwona czapka róży obszyta perłami.

BIAŁE I NIEBIESKIE

Stożek dachu w fioletowej szacie
Neonowych cekinów na plecach ulicy.
Palników szelest raz rozjaśnia,
To sino krasi odrzwia kamienicy.
Dymniki błyszczą srebrem, jak żołnierze [w baśniach.
Chodniki wyludnione. Jezdnią auto [przemknie.
Kot się przekradnie w butach z aksamitu.
Roztargniony przechodzień w słupie [światła
Stanie, jak jeleń w brzóz mokrym [szkarłacie.
Wzdrygnie się nagle. W mrok zamczysty [zemknie.
Z głowy młodej dziewczyny słodki mirt [i atłas:
Gwiazda się sieje ze szczytu.

Nocy rozpięta, jak sześcian z kryształu!
Parki, place, ogrody, dworce, piece
Hut, czarne rury, powłoki lotnisk,
Porty, żarówki porowate jak żeliwo, [gromada
Ptaków, lor, gardła ulic,
Kadłuby więzień, szpitali, kanałów,
Nici przewodów, rdza, pazury dźwigów,
Drapacz chmur!

Wszystko to po to, by u góry
Osypana rosą jak jedwabną mąką
Mdlała od ciszy świeża rezeda
W ogrodzie nad podmiejską łąką.
I księżyca blask tak tryskał.
W liściach świecił się kroplami.
Gdy poważny młody człowiek
W ciemnej willi białe świece
Objaśnia srebrnymi szczypcami.
A świt krótko im nakłada
Na śmiejące, czyste oczy
Niebieskie kaptury.

MARIAN CZUCHNOWSKI

Utwory wyjęte z przygotowanego do druku tomu pod tytułem „ANUSI".

MAX JACOB

PORADY DLA MŁODEGO POETY

Max Jacob urodził się w 1876 roku. Zmarł w 1944 w obozie koncentracyjnym w Drancy. Ukończywszy studia prawnicze, poświęcił się poezji i malarstwu, aczkolwiek w życiu jego znalazło się miejsce na wiele innych rzeczy. Był dziennikarzem, nauczycielem gry na fortepianie, niańką, sprzedawcą w sklepie, zamiataczem, trampem, cenionym gościem arystokracji i nowobogackich, ekspertem nauk okultystycznych, astrologiem, wróżbitą etc. Miał wielu przyjaciół w słynnej cyganerii z Rue de Ravignan, do której należeli: Apollinaire, Salmon i Picasso („kochana banda"). Wznoszono tedy świątynię kubizmu w malarstwie, a w poezji, jeszcze przed powstaniem ruchu nadrealistów, Max już zwrócił baczną uwagę na bogate złoża poetyckie tkwiące w podświadomości. W 1915 roku nawrócił się na katolicyzm. Z dandysa i hedonisty przeobraził się w ascetę i mistyka. Szereg lat spędził w klasztorze benedyktynów. W bogatej spuściźnie literackiej zostawił obok poezji, słynnych poematów prozą, powieści i ogromnej ilości bardzo cenionych dzisiaj listów, także i rozważania religijne, których wybór ukazał się w 1947 roku u Gallimarda pt. „Méditations Religieuses".

Z Maxem poezja przekształciła się i przeobraziła. Jego estetyczne teorie zyskały sławę najbardziej sugestywnych od czasu Baudelaire'a i Bainville'a. Pokolenie młodych uznało go za ojca współczesnej poezji.

„Porady dla młodego poety" ukazały się w 1944 roku łącznie z drugą rozprawką pt. „Porady dla młodego studenta". Wyjątki drukowane poniżej pochodzą z pierwszej, gdzie zajmuje się on twórczością literacką. Obie jednak (wyjątki z drugiej ukażą się w jednym z następnych numerów) mają przynajmniej jedną cechę wspólną: ogromny nacisk, jaki Max Jacob kładzie na konieczność rozwoju życia wewnętrznego, bez którego, jego zdaniem, sztuka nie może istnieć.

O „Poradach dla młodego poety" pisze we wstępie Marcel Beaulu co następuje: „Ulubioną metodą Maxa Jacoba było rezerwowanie spraw najważniejszych na sam koniec listu, do post-scriptum, kondensowanie istoty własnej myśli w małej notce u dołu stronicy, swoje zamiary lubił poskrywać między wierszami, a wnioski udrapować uśmiechem. Ta nowa Sztuka Poetycka zredagowana w kilka godzin jest jakby takim post-scriptum literackich doświadczeń, rodzajem noty skreślonej na marginesie twórczości i bezwiednie ją streszczającej." Sam Max Jacob zwierzał się jak niżej: „Napisałem je z głębi serca... Być może innym się przydadzą. W tym cała moja nadzieja. — Nie jestem facetem od naukowych definicji. Nie chodzi oto, żeby wiedzieć co to takiego dusza albo uczucie. Chodzi o to, żeby **obudzić własną duszę do życia**... Poezja nie ma nic wspólnego z definicjami, nawet z definicjami estetyki... Picasso nigdy nie umiał wytłumaczyć kubizmu. On go zrealizował, przeżył. Rzeczą istotną jest być człowiekiem. Definicjoman nie jest człowiekiem. Jest fabrykantem tricków." Te ostatnie słowa są szczególnie cenne. Żyjemy bowiem w czasach, kiedy krytyka literacka — i w ogóle chyba krytyka sztuki — zabrnęła w ślepą uliczkę pseudonaukowego żargonu, zachwaszczoną masą definicji, pojęć, klasyfikacji, które nie tylko nie przybliżają i nie tłumaczą, ale, wręcz odwrotnie, oddalają nas od zrozumienia, a więc i od radowania się sztuką. Z drugiej strony, zwracając pilnie uwagę na zagadnienie życia wewnętrznego Max Jacob przywraca właściwą proporcję rzeczom i daje nam broń do ręki w walce z bezdusznym formalizmem i materializmem, przeważającym w pismach współczesnych krytyków.

Styl Maxa jest zwięzły, klarowny, dobitny. Jego język jest językiem człowieka, który doskonale wie o czym mówi i umie to powiedzieć w sposób wdzięczny, swobodny, przekonywujący, nie obarczony nomenklaturą naukową, natomiast przesycony żarliwym pragnieniem przekazania poznanej prawdy. O rzeczach, którym poświęcił życie, mówił Max Jacob bez patosu i fałszywych głębi, mówił tak jak tylko artysta mógł o nich mówić: z miłością i rozwagą.

Zygmunt Ławrynowicz

Otworzę szkołę życia wewnętrznego i na drzwiach napiszę: szkoła sztuki.

***

Życie wewnętrzne jest rozpoznawaniem duchów zewnętrznych, dialogiem Rozumu z nimi. Nie wszystkie Anioły kwalifikują się jednakowo, a cóż dopiero mówić o demonach? Głos Boga jednak nie jest głosem poezji. Geniusze nie są Bogiem, mimo że to On ich powołał do życia. Naucz się więc rozróżniać głosy natchnienia i spraw, aby Bóg panował nad nimi w tobie. Przede wszystkim wprawiaj się w poznanie Boga, bo to jest i sedno i jedyna podstawa twórczej pracy. Znajdź Boga przede wszystkim.

***

...Tylko te dzieła przetrwają, które nie są powierzchowne, to znaczy takie, które mimo pozorów powierzchowności przeszły jednak przez otchłań powagi. A więc jak na początek bądź chłonny, to znaczy poważny.

***

Zastanów się nad problemem zwartości. Czy zauważyłeś różnicę, jaka istnieje pomiędzy wodą morską a wodą z fontanny? Zarówno twoja proza jak i poezja powinny odznaczać się zwartością.

***

Dzieło dojrzałe staje się poważne. Dzieło dojrzałe samo przez się znajduje swój początek, środek i koniec...

***

Dojrzałością dzieła nazywam jego zejście do piekieł. Chrystus zstąpił do piekieł przed wniebowstąpieniem.

***

...Wiersz natchniony jest rezultatem twórczego pożaru. Wtedy porzuć obawy o niezrozumienie. Rzeczą taktu jednak jest wiedzieć, czy aby wiersz jest naprawdę natchniony. Wiersz natchniony ma zapewniony żywot z uwagi na swoją muzkę, piękny i pozbawiony makaronizmów język (szukaj wierszy natchnionych w twórczości Apollinaire'a, znajdzie się tam niejeden). Wiersz natchniony pojawia się z gracją, jest muzyczny, eufoniczny, euforyczny, i wreszcie taki, że nawet ciemny chłop usłyszawszy go wykrzyknie: „Ach, jakie to piękne!", a nie: „O co tu chodzi, do diabła?" Zapytanie: „co to znaczy do diabła" jest zarzutem pod adresem poety, który nie potrafił nas wzruszyć. Zarzut to, między nami mówiąc, poważny.

Bądź chłonny, jakże bowiem inaczej osiągniesz stan liryczny uniesienia, jeżeli nic nie przemyślałeś i nie wiesz co to uczucie.

***

Aby uniknąć stylu naukowej opisowości, zmieniaj uważnie składnię od zdania do zdania. Niegdyś kolekcjonowałem formułki syntaktyczne. Nigdy nie ma się ich dosyć. Całe bogactwo stylu zależy od nich, jego naturalność, zainteresowanie, jakie wzbudza, i przyjemność.

Kiedy już uzbierasz bogatą kolekcję formułek, korzystaj również ze wszystkich codziennych słów, a jeżeli znasz dobrze gramatykę, będziesz dobrym pisarzem. To będzie dużym osiągnięciem, bo mało jest pisarzy, którzy piszą jak należy.

***

Styl poetycki! To jest styl, gdzie samogłoski mają swoją określoną ilość, gdzie dwugłoski są odważane, gdzie spółgłoski powtarzają się albo się nie powtarzają. Właściwość wyrażeń ma tutaj mniejsze znaczenie niż ich eufonia.

W poezji dokładna wartość słowa nie ma znaczenia, o ile ścisłość nie jest przesadzona. Corbiere jest czymś więcej niż tylko pisarzem, jest poetą, kiedy mając zdefiniować marynarzy mówi: „To są źle ulizane anioły". To jest właśnie poezja, dobry przykład poetyckiego stylu.

***

Jeżeli świat zewnętrzny nie rani i nie cieszy cię aż do bólu, jest to oznaką, że nie posiadasz życia wewnętrznego, a jeżeli nie posiadasz życia wewnętrznego, próżnym jest twój poetycki wysiłek.

***

Należy „gromadzić" długo i opóźniać reakcję. Im bardziej się ją opóźni tym lepiej. „Produkt" natychmiastowy jest bez wartości. Tylko rozpracowanie przeobrażeń buduje i tworzy.

***

Konkretyzuj! Zastanów się nad tym słowem. Abstrakt nuży, przy tym jest błędem. Miej styl konkretny, w którym dzieją się różne rzeczy, w którym jest miejsce na ludzi i na przedmioty.

Kto stwarza Anioła, stwarza zwierzę, mówi Pascal, a z boku Chrystusa wypływa woda wraz z krwią Ducha. Woda jest materią.

Konkretyzuj — to niezmiernie ważne. Konkretyzować nie oznacza wcale pogoni za ludowością, za poezją, w której pełno chłopów, łapci itd. Konkretyzować to znaczy postawić swój głos głęboko w sobie, tamże umieścić myśl i dopiero takim głosem wychodzącym z głębi mówić o rzeczach wzniosłych.

***

Być realistą, to nie znaczy interesować się wyłącznie proletariatem i mieszczanami. To znaczy zachować badawczy umysł nawet w rozmowie z królem. Bądź realistą i kultywuj w sobie tę skłonność nie przestając być chłonnym na wszystko.

***

Natchnienie! Pytasz, czy wierzę w natchnienie? Ależ tak! Co więcej, wierzę, że natchnieni są wszyscy ludzie. To się nazywa intuicją. To nosi miano pokusy. To także zależy od osoby, która wzbudza natchnienie. Można być natchnionym przez diabła i Anioła...

A więc natchnienie powinno znajdować się pod czujną obserwacją. Badaj sam siebie. To się nazywa refleksja. Podwójna refleksja: widzieć siebie w życiu, jednocześnie widząc jak inni żyją.

To jest życie wewnętrzne.

Ilość przeczytanych książek nie stanowi wcale o wielkości lekarza czy poety, to zależy bowiem od jakości ich życia wewnętrznego: od umiejętności poszukiwań i zdolności przetrawiania zdobyczy.

***

Wierz mi, że usta mówią o pełności serca. Jeśli masz piękne serce i piękny umysł, potrafisz stworzyć piękno. W innym wypadku, rezultatem twojej pracy będzie brzydota, albowiem demony nie potrafią stworzyć piękna. Twórcy rzeczy pięknych i szlachetnych sami w życiu swoim byli piękni i szlachetni. Małość literatury XX wieku stąd pochodzi, że jest to epoka płaska, biegła w przewrotnych kalkulacjach, wynalazczyni systemu D i innych podłości.

***

Czy to znaczy, że masz pisać kazania? Ależ nie! Spójrz na Rabelais'ego! To wielki wtajemniczony, wart tyleż co i Platon. Można być autorem komicznym i posiadać duszę najwyższej klasy. Bądź taką duszą. Żyj jak na chrześcijanina przystało, przystępuj do Sakramentów świętych, spowiadaj się, rób rachunek sumienia. Wiek XVII to był wiek chrześcijański. Voltaire wierzył w Boga. Renan tak samo. Picasso mawiał do mnie: „Myśl o Bogu i pracuj". Codzienny rachunek sumienia to a b c literatury. Pasteur i Branly co dzień przystępowali do Komunii świętej. Jeżeli spotkasz się z przeciwnym zdaniem, zastanów się nad wartością tych, którzy je głoszą. Przekonasz się, że wybitni ludzie są wśród nich rzadkością.

***

Uprawiaj codzienną medytację z samego rana, a wiele ciekawych rzeczy będziesz miał wkrótce do powiedzenia. Nie myśl, że to czas stracony, wręcz odwrotnie, to czas wygrany. Ktokolwiek mówi inaczej, jest skończonym osłem i dobrze wiem dlaczego. Pomału przeniesiesz nawyk medytacji do medycyny i poezji i staniesz się człowiekiem, co jest pierwszym krokiem na drodze do stania się wielkim człowiekiem.

Ludzie wyobrażają sobie, że aby zostać poetą wystarczy zestawić kilka nierównych linijek z kalamburem na końcu. Tymczasem, aby zostać poetą, trzeba być człowiekiem przede wszystkim, a potem dopiero człowiekiem-poetą. W innym bowiem razie jest się małym ptaszkiem, bardziej godnym pogardy niż świnia. Grupy młodych ludzi z pretensjami poetyckimi są komiczne, ale jakie piękno leży w spotkaniu inteligentnych ludzi, którzy dzielą się Pięknem tak jak apostołowie po zmartwychwstaniu rozważali pomiędzy sobą postać ich przyjaciela Jezusa Chrystusa.

***

Uzewnętrzniać! — Dzieło sztuki jest wyspą daleką. Płynie się tam statkiem, leci samolotem. Ona znajduje się tam. Czy to będzie czterowiersz, czy tragedia. W jaki sposób uzewnętrzniać?

Przypuszczalnie poprzez ilość pojęć, uczuć ogarniętych pożarem w celu stworzenia dzieła sztuki?

Albo ponieważ organizuje się ono dokoła centrum, które znajduje się poza tobą.

***

Staraj się obiektywizować. Każdy według własnej metody. Punktem wyjścia może tu być i erudycja i obserwacja aktualnych wydarzeń życiowych. Zresztą nic o tym nie wiem. To się przykleja od razu jak na dnie patelni, kiedy zabraknie masła. Myślę, że dzieła bardzo zobiektywizowane są nadzwyczaj rzadkie...

***

Jest rzeczą zrozumiałą, że gawiedź gwiżdże na to wszystko. Ale my nie pracujemy dla gawiedzi. W przeciwnym wypadku musielibyśmy wszystko pozmieniać. Należałoby wówczas studiować upodobania tłumu i słowo po słowie częstować go tym czego pragnie: łechtać jego świńskie żądze i razem z nim w piekle się pogrążyć.

***

Nie gardź artykułami krytyków. W ten sposób zauważysz co się u danego autora chwali a co mu się wytyka. Równocześnie jednak bądź nieufny, dobry krytyk bowiem to niesłychana rzadkość. Krytykuj krytyka. Miej ufność w swoją własną osobowość, kiedy już się wykrystalizuje, to znaczy za dziesięć lub dwadzieścia lat.

***

...Moda jest niebezpieczną pułapką. To, co jest dobre w tobie, jest wieczne i zawsze masz czas, żeby zabrać głos w tej sprawie.

***

Pracować. Łatwo powiedzieć. W pytaniu „jak" mieści się cały problem. W pytaniu „kto", „co" i „dlaczego".

***

Pierwszym krokiem w pracy jest wyłączenie się. Obecny i widzialny musisz odseparować się od tego, co jest obecne i widzialne. Wykopać przepaść pomiędzy sobą a światem, zbudować sanktuarium własnego ja. Napracujesz się niemało zanim wykopiesz tę przepaść. Niezbędny tu jest i czas i drobiazgowa dokładność.

***

Niech wyrozumiałość i dobroć korygują zbyt twarde osądy. To połączenie litości i sprawiedliwości stanowi kamień węgielny talentu chrześcijańskiego, a więc skromnego.

***

Wynikiem wzniosłej ignorancji jest zdziwienie. Zdziwienie jest niewinną naiwnością, a ta z kolei jest drogą, na której dokonują się wszelkie odkrycia tak w sztuce, jak i w nauce. „Pozwólcie dzieciom przyjść do Mnie, albowiem raj należy do tych, którzy im są podobni." A raj jest także na ziemi. Ten raj to mądrość.

***

A propos czystości. Czy wiesz, że magikom nie wolno praktykować aż minie 40 dni od chwili seksualnego współżycia? A dzieło sztuki jest wynikiem magicznego procesu. Bez komentarzy.

***

Balzac mawiał: „Jedna noc miłości, jedna książka mniej."

***

Venus ścigana przez Tyfona (demon) szuka schronienia u boku Merkurego (albo Neptuna), który jest Umysłem.

***

Związki pomiędzy miłością cielesną a sprawnością moralną. Nie znam fizjologii. Celibat księży w poważnych religiach. (Nie mówię o protestantyzmie, który nie zna mistyki i stanowi jedynie zespół zasad moralnych.)

***

Chodź do trybunału. Bierz udział w rozprawach sądowych. Zobaczysz tam ludzkość tak obnażoną, jak chory, badany przez lekarza.

***

Zapamiętaj sobie na zawsze następujące zdanie: „U podstaw wszelkiej kariery leży cud pracy". A praca to znaczy samotność.

***

W pisaniu należy posługiwać się tym wszystkim, co stanowi twoją niezaprzeczalną własność. Tu jest źródło oryginalności, oryginalności nie wyszukanej, ale wypływającej z natury piszącego...

***

W szkole średniej nauczono mnie co następuje:

1) podzielić temat na paragrafy, rezerwując najważniejszy na środek, mniej ważne grupując na końcu;

2) jeden paragraf na temat rozwija go i konkluduje podejmując pierwsze zdanie w innej formie.

Dziś wcale się nie naśmiewam z tych wskazówek. To właśnie tam trzeba powrócić, porzucając mrzonki i fantazje...

***

Paragraf jest rozwinięciem myśli, a rozdział jest rozwinięciem paragrafu. Książka jest rozwinięciem rozdziałów. Nawet mały pomysł dobrze rozpracowany daje 400 stron klasycznie skomponowanego dzieła.

***

Dlaczego charakter człowieka nie może być rozwinięciem tylko jednej cechy? Gwoli prawdy muszę powiedzieć, że mało jest w literaturze francuskiej charakterów żywych z powodu takiej właśnie metody rozwinięcia.

Zastosowano bowiem wobec duszy człowieka zasadę retorycznego rozwoju, tymczasem nie pasuje ona tu zupełnie. Mówiło się: jest skąpiec, mizantrop, zazdrośnik i szło się w tym kierunku. Niestety tak nie jest. Dusza człowieka jest jedna, ale jej skłonności są rozliczne a źródła natchnień uzupełniają się wzajemnie. Dusza jest jedna i niepowtarzalna, ale ile jest bodźców zewnętrznych, ile wpływów?

I tak charakter nie posiada rzeczywistej jedności, mimo jedności narzuconej z zewnątrz. Stąd trudności rozwinięcia charakteru. Wszystko się rozwija za wyjątkiem charakteru człowieka! on się mniej lub więcej uzewnętrznia i ewoluuje... O nieszczęsna retoryko! Kiedy konstrukcja książki opiera się o jeden pomysł albo o jedną intrygę, konieczne jest wtłoczyć jej bohaterów w ramy tego pomysłu czy tej intrygi. Psychologiczne studium człowieka staje się wtedy niemożliwe.

Naprawdę piękną byłaby ta powieść, która ożywiona głęboką i uniwersalną prawdą ludzką, dobrze przeżytą w jej całej złożoności, zawierałaby równocześnie postaci o prawdziwej i pełnej osobowości, składające się na ilustrację tejże prawdy psychologicznej...

***

Robi się to, co jest w naszej mocy. Ale ponadto trzeba wiedzieć o co chodzi.

***

Chodzi o to, żeby znaleźć słowo, słowo motor...

Max Jacob

Saint-Benoit-sur Loire, 21. 6. 1941.

Tłum. **Zygmunt Ławrynowicz**

IRENA HRADYSKA

MIEJSCE URODZENIA

— Leszek Siekierski —

— Jest' — wstał wyprężając się jakby rekrut „na baczność" i jednocześnie ze skrzypnięciem ławki, spowodowanym zbyt energicznym, jak na wytrzymałość przedwojennego jeszcze sprzętu szkolnego, ruchem, usłyszał za sobą, chichot i szept koleżanki: „Ledwo przyjechał, już woła jeść" i znów śmiechy.

Kolega obok powiedział półgłosem, nie poruszając prawie przy tym wargami: „Patrz na te wacianki!", a dowcipna koleżanka ochoczo rzuciła się na ten temat, bez litości wyśmiewając ciepłe spodnie.

— Tu nie Syberia, tu nie Syberia — szumiało mu w uszach. Paliły go też uszy i czuł, że są czerwone jak na mrozie. Gdyby umiał po polsku, to by im wygarnął wszystko co mu na sercu osiadło odkąd przyjechał do Polski. A co to, wstyd być głodnym? — Tu nie Syberia... Ha, ha, jakie to dowcipne, prawda? Ale bał się otworzyć usta, wiedząc, że na byle jakim słowie się potknie wymawiając z rosyjska, a tamci tylko czyhają na to, żeby sobie z niego pokpiwać. Uciekać stąd, uciekać, uciekać tam, skąd przyjechał, wrócić tam właśnie, gdzie tak marzył o wyjeździe do nieznanej ojczyzny. Ale jak to zrobić, jak? I co na to dziadek, co babka, co ciotka? Wszyscy ci, którzy się nim tak serdecznie zajęli. Tak, zajęli się serdecznie, a jednak... Tak, a jednak obcy im był i oni jemu.

Tymczasem nauczyciel sprawdził obecność i zwrócił się do Lesza.

— Nie jestem pewien, czy dobrze odczytałem nazwę miejscowości, w której się urodziłeś czy to Suuk-Bułak?

Znów wstał sprężyście i głośno powiedział: „Suuk Bułak", wyraźnie akcentując „uk" i „łak".

— Ach taak — powtórzył nauczyciel — Suuk-Bułak.

— Gdzie to jest?

— W Średniej Azji...

— W Środkowej Azji... — poprawił nauczyciel składając metrykę we dwoje i jeszcze raz we dwoje, po czym przygładził ją, strącił z niej jakiś niewidoczny pyłek i oddał dokument chłopcu.

Przez klasę przebiegły szepty i coś z nich widocznie uchwyciło wprawne ucho nauczyciela, bo stuknąwszy parę razy ołówkiem o drewniany stół, zwrócił się do klasy:

— Jak wam nie wstyd dokuczać nowemu koledze? Zachowujcież się jak młodzież Ludowej Polski, a nie jak burżujskie lalusie.

— Nie zważając na to dowcipny kolega na migi coś Leszkowi tłumaczył, a wreszcie szepnął pokazując zegarek: — Rusek, widziałeś coś takiego? Tika; tak, tik-tak, posłuchaj —i gdy otumaniony chłopak pochopnie wyciągnął rękę, zegarek zniknął a za to pod sam nos podsunięto mu figę.

Wbił więc oczy w plecy ucznia siedzącego przed nim i usiłował słuchać wykładu. Ale niezrozumiała lekcja trwała ponad jego wytrzymałość długo, chociaż był chłopcem cierpliwym, przyzwyczajonym do pogrążania się w nudzie. Na domiar złego nauczyciel uwziął się i ciągle przerywał wykład, pytając czy zrozumiał. Kłamał, że tak, oczywiście tłumiąc wyrywające mu się: „Ni czertà nie ponimaju!"

Żeby to była arytmetyka, albo rosyjski, pokazałby im, że nie jest tumanem, ale akuratnie na sam początek przedmioty ojczyste.

Jaki pech z tą ojczyzną, po co właściwie było do niej jechać? A ostrzegała go przecież kierowniczka sierocińca. „Lonia (tak go tam nazywano) — mówiła — tyś się tu urodził, tyś nasz, po co ci jechać do tej Polski, której nie znasz?"

Miał widocznie szczęście, bo pomimo piętrzących się trudności dziadkowie poruszywszy niebo i ziemię dotarli przez jakieś przedwojenne znajomości do osób decydujących w sprawach repatriacji i sierota — urodzony w Azji — przyjechał do Krakowa, rodzinnego miasta swego ojca, zmarłego w Rosji jeszcze przed przyjściem syna na świat.

Dziadkom udało się zachować przedwojenne mieszkanie, a w nim meble o wypełzłych obiciach, popękanych fornirach, przetartych na zgarbaciałych siedzeniach pluszach, i szafy pełne książek. W jednej z nich były jeszcze nawet szkolne książki ojca. Leszka ciągnęły te szafy. Przewracał kartki znalezionych w nich albumów, pełnych rodzinnych zdjęć, brał z pietyzmem przedmioty należące ongiś do ojca, ale mimo tych poszukiwań przeszłość rodzinna wydawała mu się ciągle obca i niezrozumiała. Tak samo jej nie rozumiał jak i spłoszonych spojrzeń babki, gdy czasem spotkali się oczyma. Zaczął już nawet podejrzewać jakąś pomyłkę, bo czyż mogła być jego babką kobieta wcale starzej nie wyglądająca od matki, zmarłej przed dwoma laty? Na matkę mówiono w Rosji „babuszka", a przecież nie była wyjątkiem, matki rówieśników Leszka tak samo wyglądały.

W kufereczku własnej roboty przywiózł parę pamiątek po rodzicach. Była tam fotografia matki zrobiona jeszcze przed zamążpójściem. Gdy babka oglądała podobiznę nieznanej i zmarłej już synowej, Lonię - Leszek milczał jak mur i nie sprostowywał jej złudzeń, że dziewczę w mundurku licealnym zachowało do śmierci tę samą twarz i postać.

Oboje dziadkowie zresztą uparcie wracali do tego zdjęcia. Nie znalazłszy podobieństwa wnuka do syna (tamten był chuderlawy blondyn, ten dryblas z ogolonymi do skóry raczej ciemnymi włosami), zaczęli szukać w jego twarzy rysów matki. Złościło go to, że podejrzewają pomyłkę w sowieckim sierocińcu — To niby ja nie jestem ja — myślał — tak skądby u mnie te pamiątki?

Im więcej jednak nad tym rozmyślał, tym częściej zaczęły go nachodzić wątpliwości. Może faktycznie jest Rosjaninem, pomyłkowo przysłanym do tej kulturalnej polskiej rodziny jako wnuk.

Mieszkanie dziadków, na które tak psioczyli, wydawało mu się urządzone z przepychem chyba moskiewskim, dziadkowie byli według niego ubrani elegancko, ciotka to już jak aktorka filmowa, a cioteczna siostra wyglądała jak laleczka z teatru kukiełek. Rzeczywiście nie pasował do nich, może i pomyłka, kto ich tam wie w „dietdomu". Po czym znów uspokajał się przypominając sobie rozmowy z matką nieboszczką o dziadkach w Krakowie i o planach wyjazdu do nich. Kto jak kto, ale matka chyba najlepiej wiedziała, czy jest jej synem, czy nie.

— Leszek, powtórz, co mówiłem. — Cała klasa patrzyła na niego, a nauczyciel stał tuż z wyciągniętym z notesika ołówkiem, mierząc ostro zaciętym końcem w czoło, jakby mu chciał zadać cios. Ale nie, był to zwyczajny całkiem nauczyciel, bez skłonności sadystycznych, miał tylko zwyczaj wskazywać uczniów jak nie linijką, to ołówkiem.

Leszek milczał. Odczekawszy dobrą chwilę nauczyciel powiedział powoli:

— Słabo rozumiesz po polsku, więc przynajmniej uważaj, bo jakże nadrobisz braki?

Chłopiec przytaknął zamaszyście głową, ale po zbaraniałym wyrazie twarzy klasa łacno odgadła, że nie rozumie.

— Rusek — syknęła koleżanka o sypkich ciemno blond włosach i zatkała nosek. — Ciągnie od niego dziegciem...

„Ciągnie dziegciem" — tak — pomyślał — przecież i babka się rozzłościła na to mydło przeciw wszom, trzeba było posłuchać i wyrzucić za okno, ech, ludzie, ludzie, dokuczliwi jesteście, Polaczīszki.

I znów poczuł opadającą go tęsknotę za „dietdomem", za kierowniczką sierocińca, przyjacielem Achmedem i buchalterem, co go wtajemniczał w ciekawą sztukę księgowości, roztaczając przed nim ponętną perspektywę kariery biurowej od kartoteki poprzez liczydła aż do stołu pomocnika, a po latach może i samego głównego buchaltera.

Doczekać się nie mógł końca nauki. Wreszcie któryś z dzwonków okazał się ostatnim w tym pierwszym dniu szkolnym i można było pójść do domu. Przypomniał sobie, że obiad miał zjeść u ciotki, bo babka tego dnia miała parę godzin pracy na uniwersytecie, gdzie była lektorką francuskiego, dziadek zaś miał na obiad przyrządzić sobie tylko kawę zbożową, a o niego, chociaż jedynego w tej rodzinie wyrwidęba, dbano jak o niebożątko. Wolałby być głodnym, żeby tylko nie iść na ten obiad, wstydził się służącej. Dziewczyna ta w dniu przyjazdu jego do Polski, gdy nie zastawszy dziadków w domu zameldował się u ciotki, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, przestraszona widokiem młodego, jak myślała, draba. Usiadł więc skromnie pod drzwiami na tobołkach i trwał tam aż do powrotu ciotki, smutny i głodny. Bardzo mu było potem przykro, gdy ciotka zwymyślała dziewczynę, a przy tym czuł, że rodzina zakłopotana jest jego wyglądem i zachowaniem przy stole. Nie pasował do tego porządnie nakrytego stołu, do którego podawała ta sama schludnie ubrana służąca, rzucając co raz podejrzliwe spojrzenia na tak osobliwie wyglądającego bratanka pani domu. Martwił się więc i wstydził od pierwszego dnia, że tyle kłopotu i wstydu przynosi rodzinie. Chciałby im dogodzić, przypodobać się chociażby, ale zauważył, że im mniej mówi, im mniej prosi, im więcej dziękuje, tym bardziej ich irytuje.

Przy rozdwojeniu ulic, nagle, bez namysłu, zamiast do ciotki skręcił nad Wisłę. Dzień był jakby nie wrześniowy: rozchlapany, niemrawy, z drzew przy lada poruszeniu wiatru sypały się duże krople zimnej wody celnie mierząc za kołnierz.

W przerwach między domami szarzała Wisła, smutna zdawało się, mała, gdzie jej tam do Irtyszu — myślał — wdzierającego się szumnie w bujny step, o trawie wysokiej co najmniej po pas, twardej niby w dotknięciu ręką, a jakby aksamitnie miękkiej

pod naporem pędzącego ją wiatru, gdy falując i srebrząc się w załamaniach gnała na wyścigi z rzeką, tak że i nie wiadomo już było co płynie: step czy rzeka, w tę samą stronę, czy też pod prąd jedno drugiemu, a gdy się długo było wpatrywać, to i człowiek, złączywszy się z wiatrem, rzeką i trawami, zaczynał płynąć także, chociaż stał na miejscu.

Eh, ty Wisło, Wisło, gdzie tobie do Irtyszu.

Beknęła krótko syrena. „Popatrz, co za cudo!" — zawołało przechodzące chłopię, a jego starszy towarzysz objaśnił: „To Rusek", po czym obaj zgodnie wyskandowali: „Rusek, Rusek, wracaj do domu" i rozejrzawszy się ostrożnie w koło napięli procę. Trafiły w coś te kamyczki obok Leszka, nie warto było się przejmować, ot „malcziki!" Ale zawrócił. Może naprawdę nie warto żałować przerobionego z dziadka ubrania i przebrać się wreszcie, bo przez to sowieckie ubranie myślą, że ja ruski. Inna rzecz — pomyślał — że taka to i wdzięczność za wszystko co Czerwona Armia dla nich zrobiła!

Ciotka była już w domu.

— Dlaczego tak późno? Dzwoniłam do szkoły i powiedziano mi, żeś przed godziną wyszedł.

— Chodziłem nad Irtysz.

— Co takiego?

— Nad Wisłę.

Teraz ciotka przyjrzała mu się uważniej.

— Bój się Boga, chłopcze, jak można było tak się ubrać do szkoły, przecież dostałeś ubranie.

— Żal było niszczyć.

— Dajże spokój, musisz się tych sowieckich łachów wyzbyć.

Usiadł przy stole na brzeżku krzesła, duży i niezgrabny a także trochę nieśmiały.

— Co z ciebie wyrośnie? — zastanawiała się ciotka bezradnie, nalewając mu zupę.

Zupa smakowicie zapachniała, pociągnął z łyżeczki szybko raz, drugi i trzeci.

— Nie „siorbaj" — przypomniała łagodnie ciotka.

Mała Janeczka zjadła już przedtem obiad, wcześniej podany, żeby się nie nauczyła od Leszka brzydkiego zachowania przy stole. Ale i tak z kącika swego, gdzie bawiła się lalkami, wszystko dobrze widziała, nawet nie przypatrując się zbytnio. W tej chwili też, wystarczył rzut oka, zobaczyła i zawołała: „Ej Pawełku, nie kołysz się na krzesełku!" Poczuł do małej taką złość, że gdyby nie obecność ciotki, z przyjemnością chlapnąłby na odległość zupą, żeby zabrudzić jej czysty fartuszek. Jaka mądra, wszystko wie od niego lepiej, a ma już dziesięć lat i bawi się jeszcze lalkami; on w tym wieku wodę z przerębli matce nosił, kartofle sadził na przeznaczonej im działce, przy sianokosach w kołchozie pomagał. Zapomniał się i wyjąwszy ręką kość z zupy zaczął zachłannie obgryzać ją ze śliskich chrząstek, potem cmokając wysysał szpik, by na końcu miażdżyć szarawą substancję wypełniającą wgłębienie po szpiku.

— Leszek bawi się w pieska! — zawołało niewinnie dziewczątko przykucnięte przy lalkach.

Udał, że nie zrozumiał i nie zaprzestał obgryzania kości trzymanej oburącz.

— Kto włożył kość do wazy? — zapytała zniecierpliwiona ciotka.

— Ja — powiedziała Janeczka — chciałam zobaczyć, czy to prawda, że w Sowietach ludzie z głodu żrą kości.

— Głodny kot zje nawet kiszony ogórek — mówi się u nas — odpalił niby od niechcenia Leszek.

— Jak to u nas? Chyba u w a s, w Rosji — zaperzyła się z lekka ciotka.

— Toż właśnie mówię: u n a s.

Ciotka zakręciła się koło sprzątania stołu, wydawało mu się, że jest bardzo zajęta, ale w pewnym momencie Janeczka zadzwoniła śmiechem.

— Mamusiu, po co ty się kręcisz po pokoju z tą wazą zupy? Już drugi raz zabierasz ją ze stołu i stawiasz na kredensie i potem znów na stole.

Popatrzyła na córeczkę nieprzytomnie. Myśli miała zajęte Leszkiem, jakby się go pozbyć prędko, skoro już zjadł. Wstyd było się przyznać, ale ten bratanek — to prawdziwy dopust Boży.

Leszek zaś zapatrzył się w okno. Przez szybę dosyć już zabrudzoną, po której niemrawie spływały rozmazujące się krople deszczu, świat wydawał się mdły. Popatrzeć tak przez dłuższą chwilę, a ziewanie napada człowieka. Nie zdając sobie sprawy z tego co robi, chłopak ziewnął tak szeroko i dokładnie jak to tylko psy potrafią. Było to stuprocentowe ziewnięcie.

— Leszku, nad ziewaniem trzeba się starać zapanować...

— Eh, ciocia, co tam — i „cyk" splunął na podłogę zgęstniałą śliną, a zmitygowawszy się, zaczął flegmę dokładnie rozcierać butem.

Ciotkę aż w dołku ścisnęło, wydało się jej, że tym plunięciem zanieczyścił całe mieszkanie, a w dodatku mała zawołała:

— Nie pluj na podłogę, w ślinie są mikroby. Kiedy się tego oduczysz? Przecież jesteś już zupełnie duży. Franka też się skarży, że jej kuchnię zanieczyszczasz!

— Przecież nie możesz wyjść w taki deszcz — ni stąd ni zowąd powiedziała ciotka.

Popatrzył na nią pokornie, była miła, przepięknie — jak mu się wydało — ubrana i wcale nie chciał robić jej przykrości, więc postanowił pójść mimo deszczu.

Dziadków jeszcze nie było w domu, ale klucz leżał w umówionym miejscu pod rogożką do wycierania nóg.

Znalazłszy się w mieszkaniu, bodaj po raz pierwszy w życiu radośnie zachłysnął się samotnością. Rozsiadł się na foteliku, oddarł róg z jakiejś gazety, poszukał w kieszeni okruchów machorki i skręciwszy grubego papierosa już miał zapalić, gdy w drzwiach stanęła babka z fryzurą zmokłą na deszczu, w kapeluszu przekrzywionym wiatrem, z policzkami, z których opadł puder, wyglądała tym razem na babkę.

Szybkim ruchem schował do kieszeni papierosa, ale widocznie zauważyła to, bo podeszła do niego i wyjąwszy z torebki zapałki, podała mu je.

— Pamiętaj, że tylko dzisiaj ci na to pozwalam, bo tak samo się z tym skryłeś jak robił twój ojciec... Dziwna rzecz, ty jednak jesteś coś do niego podobny, dziecko...

Za oknami nadal panoszyła się szarzyzna przedwczesnej jesiennej szarugi.

Irena Hradyska

PODRĘCZNIK ŻYCIA CODZIENNEGO

W sierpniu bieżącego roku Annecy w Sabaudii, gdzie złożone są zwłoki biskupa genewskiego św. Franciszka Salezego, będzie obchodzić 350-lecie wydania (w 1608 r.) jego dzieła: „Wprowadzenie do życia pobożnego".

Jakże to młoda i aktualna książka mimo swego sędziwego wieku! Jest to właściwie prosty, ale głęboki w swej mądrości podręcznik życia codziennego, który mógłby nosić tytuł: Praktyczne wskazówki, jak stać się prawdziwie pobożnym, lub: „Rady dla tych, którzy chcą stać się lepszymi". Książka - recepta, wskazująca pogodnie i cierpliwie co można zmienić w naszym życiu, aby stało się ono spokojniejsze, mniej ułomne i Bogu bardziej miłe.

Z uznaniem należy powitać inicjatywę „Veritasu" wydania w tym roku jubileuszowym wyboru pism Świętego w doskonałym opracowaniu i przekładzie Michała Sambora, który dał tej książce tytuł „Łabędź Sabaudii".*)

Jako mieszkaniec miasta, którego św. Franciszek był biskupem tytularnym, cieszę się z tego wydania podwójnie i pragnę dać temu wyraz dzieląc się z Czytelnikami ŻYCIA wrażeniem, jakie odnosi się dzisiaj w czasie czytania nauk, myśli i przestróg św. Franciszka.

Michał Sambor, w części stanowiącej jego wstęp do książki, nazywa św. Franciszka Salezego „ulubionym Świętym". Rzeczywiście, należy on do tych Świętych, którzy oprócz podziwu budzą zwykłą ludzką sympatię. Może dlatego, że każde jego słowo uspokaja i raduje; może dlatego, że mimo całej swojej wiedzy — jest pełen prostoty, a więc nie przytłacza, a pociąga i zawsze się go rozumie. Jest przy tym w swych myślach na wskroś aktualny, jak zwykle bywa ze słowami wielkiej mądrości. Nie szczędzi też uśmiechu tym, do których przemawia.

Św. Franciszek Salezy nie przytłacza także i świętością swoją, chociaż jest wielkim Świętym. Należy do tych nielicznych Świętych, którzy — zrządzeniem Bożym — nie cierpieli za życia ani mąk, ani chorób, których życie układało się spokojnie i nawet płynęło wśród zaszczytów i bogactw. Nie znaczy to oczywiście, aby Święty nie oddawał się pokucie i nie przestrzegał surowej dyscypliny codziennej. Wyzbył się on wszystkich przyjemności i „rzeczy ziemskich", ale musiał przebywać wśród możnych tej ziemi w dostojeństwie, a nie jak jego imiennik z Asyżu w ostatecznym ubóstwie. Jak pisał Henryk Bordeaux z Akademii Francuskiej, w książce „Au pays du St. François de Sales", życie św. Franciszka to „szeroka, spokojna rzeka, która natrafia na liczne przeszkody w swoim biegu, ale pokonywa je bez trudności".

Św. Franciszek był Świętym, który nie czynił cudów za życia: dopiero po śmierci cudami zasłynął.

Pismom jego zawdzięczamy przede wszystkim trzy rzeczy: podkreślenie znaczenia i ważności drobnych codziennych działań w naszym życiu oraz wskazanie na potrzebę zwalczania wszelkiego rodzaju faryzeizmu, kryjącego się nawet i za dobrymi uczynkami; Święty uczy nas jak powinniśmy się modlić; poza tym w myślach jego przewija się nieustanne, lecz pozbawione wszelkiego smutku, przypomnienie o śmierci, która może przyjść każdej chwili.

Jak bodaj nikt inny, św. Franciszek zdawał sobie sprawę z tego, że o wiele trudniej jest czynić dobrze i żyć pobożnie z dnia na dzień, niż jednorazowo zdobyć się na jakiś czyn nadzwyczajny. Podkreślał to stale, iż najmniejsze, najskromniejsze nawet czynności, podejmowane w imię Boga cierpliwie i wytrwale, mają wielkie znaczenie i wpływają nie tylko na właściwe kształtowanie naszego życia, ale także i na charakter człowieka. Czynów wielkich dokonujemy rzadko, lecz za to troska codzienna towarzyszy nam ciągle, zwalczamy bez ustanku różnorakie przeciwności losu. Ileż wytrwałości, ile mocy potrzeba, aby cierpliwie znosić choć drobne, lecz tak częste niepowodzenia, niedomagania fizyczne, zawody doznawane w obcowaniu z ludźmi. Drobne ziarnka goryczy zbierane codziennie zatruwają niejedno życie. Od nas jednak zależy, by gorycz nie rozrosła się w duszy, by nie stała się powodem grzechu. Boć przecież z małych „niesprawiedliwości" codziennych lub drobnych grzechów powszednich, choćby wydawały się pozornie bez znaczenia, powstają ciężkie obrazy Boga.

Przestrzega również św. Franciszek przed fałszywymi cnotami. Spotykamy ludzi, którzy udają pokorę, kryją się w cień dlatego jedynie, aby ich wywyższyć. „Udajemy — pisze św. Franciszek — że pragniemy zająć ostatnie miejsce przy stole, aby z tym większym honorem być usadzonym na pierwszym." Podobnie jest z fałszywą pobożnością: „Każdy maluje sobie pobożność podług swego zamiłowania i fantazji. Kto się chętnie oddaje postom, będzie się miał za nader pobożnego, jeśli tylko będzie pościł, chociażby serce jego było pełne zawziętości: ktoś inny będzie się uważał za pobożnego, ponieważ odmawia codziennie mnóstwo modlitw, chociaż potem ma na języku słowa gniewne, zuchwałe i krzywdzące dla domowników i sąsiadów". Istnieje również fałszywa cierpliwość. Są tacy, co chcą znosić utrapienia przynoszące chlubę, cierpieć prześladowania za wiarę lub odnieść rany na wojnie. „Ci — mówi św. Franciszek — kochają nie utrapienie, ale chlubę, jaką ono przynosi. Prawdziwie cierpliwy sługa Boży znosi tak samo utrapienia związane z niesławą, jak i zaszczytne. Mężny człowiek odczuwa przyjemność, kiedy go źli ludzie mają w pogardzie, ganią i oskarżają; ale nagany, oskarżenia i prześladowania ze strony dobrych ludzi, to dopiero dobra rzecz."

Św. Franciszek uczy modlitwy. „Wycofanie się w duchowe zacisze i akty strzeliste, oto ćwiczenia, które są podstawą pobożności; można nimi nadrobić niedostatek innych modlitw." Święty nalega, abyśmy do nich się wzięli całym sercem: „Rwij się więc często ku Bogu, Filoteo, krótkimi, lecz żarliwymi aktami serca: wielbij Jego piękno, wzywaj pomocy, w duchu upadaj na twarz u stóp Krzyża..."

Prawdziwie godne uwagi jest wskazanie dotyczące modlitwy porannej. Rozpocząć ją trzeba przez uwielbienie Boga i podziękę za zachowanie nas ubiegłej nocy. Potem krótki rachunek sumienia i postanowienie dobrego przeżycia dnia bieżącego; należy tu niejako ułożyć sobie plan działania, rozważyć, jakie możemy dziś spełnić dobre uczynki i jakich użyć środków dla lepszego służenia Bogu. Dalej ukorzyć się trzeba przed Bogiem i wyznać Mu, że sami z siebie nie potrafimy wykonać tego co umyśliliśmy i dlatego musimy prosić Boga o siły do dobrego wypełnienia dnia (podany jest pełny tekst modlitwy). Kończy modlitwę wezwanie do Matki Boskiej, do Anioła Stróża i do Świętych, których szczególnie czcimy.

Warto zapamiętać realistyczne rozdziały o śmierci. „Jedno jest pewne, że umrzemy i to zawsze wcześniej niż się spodziewamy." Oto wymowne przypomnienie dla każdego z nas: „Pomyśl o pośpiechu, z jakim usuną to twoje ciało i skryją je w ziemi i że, zrobiwszy to, świat nie będzie już myślał ni pamiętał o tobie, tak samo jak i ty nie pamiętałąś o innych zmarłych. 'Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie' powiedzą i tyle! O śmierci, jakżeś potężna i jakżeś bezlitosna!"

Znane jest powiedzenie św. Franciszka (cytowane na str. 226 „Łabędzia Sabaudii"): „Śmierć ma stopy z waty, którymi stąpa tak cicho, że nie słyszymy, jak się zbliża".

„Łabędź Sabaudii" zawiera obszerne wyjątki z obu najważniejszych dzieł wielkiego Doktora Kościoła, to jest „Wprowadzenia do życia pobożnego" (zwanego także „Filoteą") i „Traktatu o miłości Bożej". Jest w nich cały skarbiec myśli, bezcenny ładunek nauk, rad, przestróg, podanych w pięknej literackiej prozie. Gdy się je czyta, zapomina się zupełnie o tym, że były pisane 350 lat temu, tak odpowiednie są właśnie na trudny dzień dzisiejszy, co słusznie tłumacz w swym obszernym i doskonałym wstępie podkreślił. Wydanie zostało uzupełnione wyjątkami z listów i konferencji Świętego i poprzedzone portretem literackim św. Franciszka, nakreślonym przez ojca nowoczesnej krytyki literackiej, Sainte-Beuve'a. Co najważniejsze jednak, w książce znajdują się także teksty wybrane z nie przełożonego dotychczas na język polski dzieła Jana Piotra Camusa: „Duch błogosławionego Franciszka Salezego", kapitalnego źródła „osobistego" — jak mówi Sambor — poznania Świętego. Nie mogą się z nim równać pod tym względem żadne biografie, żadne studia salezjologiczne, bo z arcyciekawych kronik biskupa Camusa „...przemawia do nas człowiek, jakich prawie nie spotyka się dzisiaj: człowiek cały, nie podzielony na przegródki z etykietami: „moje życie rodzinne", „społeczne", „towarzyskie", „literackie", „zawodowe" i wreszcie gdzieś tam „religijne". Mówi człowiek wielkiej cnoty, ale nie Święty, choć dziś taki chodziłby w aureoli, mówi biskup, dla którego stan kapłański i urząd pasterski nie jest „zawodem", mówi kaznodzieja, literat, humanista, szlachcic, przyjaciel, nauczyciel i uczeń, jest tym wszystkim razem, nie potrzebuje żadnych kostiumów do kolejnych ról. Bo wszystko czym jest, o czym opowiada, co myśli, co przeżywa, spaja w jedną nierozerwalną całość sprawa dla niego tak naczelna i tak wszystko obejmująca, że będąc świętą musi być zarazem powszednią: religia."**)

Tadeusz Stark

*) **Michał Sambor: ŁABĘDŹ SABAUDII. Wybór pism Świętego Franciszka Salezego i o nim. Tom X serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". „Veritas". Londyn, 1958. Str. 240. Cena 15 szyl.**

) **Vid. „Łabędź Sabaudii", str. 157.

„LOSY PASIERBÓW"

Jest rzeczą ciekawą, jak bardzo nowoczesna powieść zaczyna się upodabniać do filmu. Jest to masowa produkcja, obliczona na masowe zapotrzebowanie, wykonywana wedle ściśle ustalonych metod udoskonalonego rzemiosła i mająca cechy przemysłowe. W roku 1957 ukazało się w Anglii 1871 nowych powieści. Powtarzam: nowych angielskich powieści, to znaczy nie licząc tłumaczeń z obcych języków, oraz nie licząc przedruków, choćby z zeszłego roku.

Sztuka filmowa też jest sztuką, ale nikt się już dziś nie waha mówić: przemysł filmowy. Nie mamy tu na myśli samej tylko strony technicznej, ale całokształt produkcji, łącznie z grą aktorską, reżyserią i pisaniem scenariusza. Jak jest oceniana proporcja wagi poszczególnych elementów tej produkcji, widać dobrze na afiszach: nazwiska aktorów i aktorek drukowane są wielkimi literami, nazwiska reżyserów średnimi, nazwiska pisarzy (choćby nimi byli Sienkiewicz, Tołstoj, Conrad czy Shakespeare), bardzo malutkimi.

O „przemyśle powieściowym" jeszcze nie mówimy, ale właściwie moglibyśmy już mówić. Jest to już tak samo „sztuka stosowana". Powieści pisze się dziś w dużym stopniu na zamówienie. Powieściopisarz jedzie — jak korespondent wojenny — do jakiegoś dalekiego kraju i siedzi tam trzy miesiące, sześć miesięcy lub rok, po to, by „zebrać materiał", lub „zdobyć nowe wrażenia" — i potem lokuje swą powieść, tak jak reżyser filmowy swój film, na tle tego ledwo poznanego, obcego środowiska. Powieść pisana jest ściśle wedle wymagań rynku; gdyby była napisana inaczej, po prostu nie zostałaby wydrukowana. Jej fabuła posiada układ filmowy, jej język jest rwany, zwięzły, podobny do dialogu na scenie, strona opisowa jest zredukowana do minimum. Decydującym czynnikiem w powodzeniu powieści jest reklama.

Reklama filmowa nazywa co drugi film arcydziełem — ale zapominamy o tych arcydziełach równie szybko, jak o artykułach w gazecie. Jeżeli, przypuśćmy, widzieliśmy w ciągu roku 50 filmów, pamiętamy z nich po roku już tylko dwa lub trzy. A po dziesięciu latach pamiętamy tylko dwa lub trzy z całego dziesięciolecia.

Zarówno reklama, jak snobizm i moda mianują arcydziełami całe mnóstwo nowoczesnych powieści, ale w gruncie rzeczy większa część z nich to tak samo przemijające fajerwerki jak filmy. Stopniowo, nowoczesna powieść zaczyna odgrywać rolę podobną do powieści kryminalnej: jest przedmiotem rozrywki, sposobem przyjemnego spędzenia kilku godzin w autobusie, lub wieczorem przy kominku — zajmuje chwilowo, a po skończeniu czytania natychmiast ucieka z pamięci. Różni się ona od powieści kryminalnej wyższym poziomem rzemiosła i większą skalą zainteresowań i widnokręgów, lecz to wszystko.

Oczywiście, to nie znaczy, że cała powieść nowoczesna skazana jest na utonięcie w niepamięci. Nawet niektóre nowele kryminalne, napisane ze szczególnym talentem (np. Chestertona), zapewne w literaturze zostaną. Tym bardziej więc zostaną niektóre nowoczesne powieści. Tak samo zapewne znajdą sobie trwałe miejsce u potomności także i niektóre szczególnie wybitne filmy. Ale to nie zmienia faktu, że nowoczesna powieść jest w swojej masie zjawiskiem przemysłowym, istotą swoją podobnym do filmu.

W nowoczesnej powieści rzeczą główną jest „the story", efektowne zdarzenie. Bohaterem bywa z reguły korespondent jakiejś gazety (np. u Hemmingwaya w „Fieście" i u Greene'a w „Spokojnym Amerykaninie"), albo człowiek, który pojechał gdzieś celem wykonania jakiejś misji, np. komisarz policji wysłany do administracji kolonialnej (np. Scobie w „Sednie sprawy"), albo wojskowy z jakimś szczególnym zadaniem (np. główny bohater w „Dla kogo dzwoni dzwon" Hemmingwaya). Widzimy go jak spełnia zadanie, podkłada jakąś bombę, obserwuje jakąś wojnę, łapie jakiegoś przestępcę. Widzimy poza tym jak spędza swoje wolne chwile, romansuje, chodzi od baru do baru i pije whisky, czasem uprawia jakiś sport. Jest to człowiek bez żadnych powiązań społecznych. Nie posiada on rodziny. Nie posiada dzieci. Nie posiada właściwie domu; kwateruje w hotelach. Nic o tym nie wiemy, by miał ojca i matkę, braci i siostry. Żonę czasem (nie zawsze) ma, ale żona ta, towarzysząca mu w wędrówkach po barach i przyrządzająca „drinki", bardziej przypomina metresę niż kapłankę domowego ogniska. Nic o tym nie wiemy, gdzie się on urodził, gdzie wychował, jakie jest jego środowisko. Jest to człowiek właściwie bez ojczyzny, kosmopolita.

Powieść rozgrywa się na jakimś tle mniej lub więcej egzotycznym, ale tło to jest tylko leciutko naszkicowane. Zupełnie jak w filmie: czasem nam mignie pejzaż, jakieś góry czy kołyszące się palmy, czy pola ryżowe; czasem przesunie nam się przed oczyma obraz egzotycznego miasta, nieznane rojowisko szerokiej, hałaśliwej ulicy, rząd straganów z owocami, śmieszny staromodny tramwaj o niezrozumiałym napisie; czasem zadźwięczy dziwna muzyka, gitary Hiszpanii, tamtamy murzyńskie, flety hinduskie; czasem pojawi się twarz tubylca: służącego, tancerki, dziewczyny ulicznej, przekupnia, może miejscowego komisarza policji. Ale bliżej tego kraju nie poznajemy. Cóż wiemy bliższego o kraju Sierra Leone i o mieście Freetown po przeczytaniu „Sedna sprawy"? Przecież to jest kraj i miasto, ze swoją historią, ze swoimi tradycjami, ustrojem społecznym, obyczajami, moralnością, procesami przemian politycznych, społecznych, gospodarczych i duchowych, ze swoimi dążeniami i fermentami, swoimi miłościami i nienawiściami, ze swoją miejscową kulturą. Patrzymy na to wszystko jak przez szybę autobusu. Obracamy się tylko wśród garstki urzędników brytyjskich, którzy piją swoją herbatę i whisky, spełniają swoje obowiązki służbowe, gotowi są być przeniesieni jutro na takie same picie herbaty i whisky na Jamajkę albo do Singapore i marzą o emeryturze w dalekiej ojczyźnie. To nawet nie jest obraz społeczności urzędniczej w koloniach; to jest „story", ulokowana ot tak, na takim właśnie tle.

Tematem nowoczesnej powieści jest jakieś „wydarzenie", jakieś morderstwo, samobójstwo, kradzież, epizod wojenny, zdrada małżeńska; zwykle raczej grzech i wina, niż akt heroizmu, cnoty i miłości; raczej przeżycie wykolejeńca, gałgana lub nieszczęśnika, niż zwykłego, normalnego człowieka. To nie jest obraz życia, szmat powszechnego ludzkiego losu, w którym grzechy równoważą się z cnotami, nieszczęścia z radościami, i w którym panuje przewaga uczciwych i zdrowych pojęć moralnych; w którym szarzyzna powszechnego dnia opromienia się na przestrzeni czasu poezją przeżytego uczciwie życia, spełnionego obowiązku i radośnie wykonanego życiowego zadania. To jest tylko przemijająca przygoda, jak w filmie.

Autorzy powieści czy epopei staromodnej nie konstruowali filmu. Oni budowali pomnik swojej epoce i swojemu społeczeństwu, starając się namalować na wieczne czasy obraz dający wszechstronne pojęcie o tym, jak ówczesne życie wyglądało. Albo czasami (jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", Tołstoj w „Wojnie i pokoju", czy M. Mitchell w „Przeminęło z wiatrem") dawali obraz życia, o które się otarli w dzieciństwie i które poznali z opowiadań rodziców. Albo wreszcie (jak Sienkiewicz w trylogii czy w „Quo vadis?"), obraz życia dawnego, które wystudiowali, w którym się rozmiłowali i które odżyło w ich duszach jak potężna wizja. Ich obraz jest pełny i bogaty. A ludzie, których pokazują, to są żywi ludzie, tak nam bliscy jak byśmy ich znali, i tyle samo w nas budzący gorących uczuć. Stary Rzecki z „Lalki" Prusa, Marynia Połaniecka, Warszulka z „Sobola i panny", Kmicic i Oleńka, Zagłoba i Wołodyjowski, Gerwazy i Protazy, Zosia i Ksiądz Robak, a razem z nimi te przebogate galerie typów ludzkich, namalowanych przez Conrada, piewcy pracy na morzu i kolonizacji brytyjskiej, przez Balzaca, malarza życia dziewiętnastowiecznej Francji, przez Dostojewskiego, wrażliwego jak sejsmograf na wrzenie w głębinach życia rosyjskiego — to są wszystko odbicia życia prawdziwego. Nawet postacie z rozmysłu będące karykaturą, jak Don Kichot, mają w sobie przepotężne tchnienie życia. Czy można to powiedzieć o bohaterach powieści nowoczesnych? Gdyby Greene żył jak Mickiewicz na ponapoleońskiej Litwie, to nie dałby nam epopei ówczesnego, szybko gasnącego, dawnego polskiego życia. Dałby nam „Przygodę nad Berezyną", albo co jeszcze prawdopodobniejsze, „Przygodę na San Domingo" lub „Pod piramidami", jakiś krótki, intensywny fragment, bardzo przejmujący, ale przeznaczony do szybkiego zapomnienia, jak film. A o „Panu Tadeuszu" ciągle pamiętamy i nie zapomnimy nigdy.

Otóż zdaje mi się, że powieść „staromodna" ma w sobie więcej perspektyw na przetrwanie niż powieść „nowoczesna". Jak powieść nie wyparła poezji, gazeta książki, film teatru, a telewizja filmu, tak „powieść nowoczesna" zapewne nigdy nie wyprze „powieści staroświeckiej". Ta ostatnia zawsze zachowa własną publiczność — i publiczność ta wcale nie jest mało wartościowa. Raczej przeciwnie.

Statystyki biblioteczne wykazują, że Polska czyta w dalszym ciągu przede wszystkim Sienkiewicza. Kto z czytelników powieści anglojęzycznej wie o tym, że najpopularniejszym po dziś dzień powieściopisarzem w Irlandii jest piewca irlandzkiego życia wiejskiego i miłośnik moralności i cnoty, ks. kanonik Sheehan? Snoby mogą wydrwiwać „powieść staroświecką", a zwłaszcza wydrwiwać pisanie dzisiaj powieści w stylu „staroświeckim". Ale możemy spokojnie o ich zdanie nie dbać. Osobiście, o wiele bardziej się cieszę z tego, gdy się w najnowszej polskiej literaturze pojawiają powieści w stylu staroświeckim, niż gdy się pojawiają powieści „nowoczesne", nadające się do filmu i pasujące do „przemysłu powieściowego".

Trzeba stwierdzić, że dzisiejsza literatura emigracyjna wniosła do nowoczesnej litera-

tury polskiej kilka pozycji o nieprzemijającej wartości. Jednym z pisarzy emigracyjnych, mających najwięcej danych do przetrwania w polskiej literaturze jest niewątpliwie Florian Czarnyszewicz.

Dał on nam już prześliczną epopeję życia szlachty zagrodowej na kresach białoruskich pt. „Nadberezyńcy", uzupełnioną drugim ogniwem chronologicznym w postaci powieści „Wicik Żywica", opowiadającej o życiu tego samego regionu i tych samych ludzi w okresie nieco późniejszym niż epoka „Nadberezyńców", przypadająca na początek wieku dwudziestego, wojnę światową i rewolucję rosyjską, mianowicie w okresie wojny polsko-bolszewickiej. Przypuszczano na ogół, że to, co Czarnyszewicz miał do powiedzenia, już w tym dwugłosie powieściowym wypowiedział i że dzieło jego jest mniej więcej zamknięte. Misją jego życia było postawić pomnik literacki swoim stronom rodzinnym i swojemu regionalnemu społeczeństwu. Pomnik ten postawił i rola jego zdawała się być skończona.

A tymczasem Czarnyszewicz zaskoczył nas teraz świeżym dziełem powieściowym, pokazującym świat całkiem nowy i od świata „Nadberezyńców" inny, i to w sposób żywy, świeży i barwny tak, jak to zrobił w „Nadberezyńcach". Tematem nowej powieści Czarnyszewicza jest polska emigracja zarobkowa w Argentynie.*)

Tak samo jak „Nadberezyńcy" i „Wicik Żywica", „Losy pasierbów" zawierają niewątpliwie wiele elementów autobiograficznych i pamiętnikarskich. Czarnyszewicz przebywa od czasów przedwojennych w Argentynie i losy jego i jego rodziny musiały wyglądać podobnie, lub nawet wręcz identycznie, jak losy Dub Dubowika i jego żony Domki w powieści. Ale Czarnyszewicz umie zużytkować materiał autobiograficzny w sposób powieściowy. To znaczy, nie uroniwszy nic z autentyczności tła i środowiska, zbudować zwartą, żywą i prędko się toczącą fabułę.

Talent Czarnyszewicza ma przede wszystkim cechę epicką. Maluje on obraz życia — i ten obraz jest pełny i wszechstronny. Czarnyszewicz pokazuje, jak się losy ludzkie w danym środowisku toczą, jakie są początki tego środowiska i ku czemu ono zmierza, jak wygląda w nim dzień powszedni i dzień wypoczynku, jakie są w nim troski i radości, nadzieje i obawy, praca i zabawa, uczciwe życie i zbrodnia, zacna miłość małżeńska i plugawe wyuzdanie, modlitwa i wiara w Boga, oraz ateistyczny nihilizm. Gdyśmy zamknęli przeczytaną książkę — dzwoni nam w uszach jakby muzyka. Przepłynęła przed nami wizja dalekiego, a na wskroś tchnącego prawdą życia i wizja ta ma w sobie niezmiernie wiele poezji. Tak jak nie zapomnimy nigdy „Nadberezyńców", nie zapomnimy nigdy i „Losów pasierbów". Zostaje w duszy po przeczytaniu tych książek smuga czegoś swoistego, zapach i ton inny od rzeczy dotąd znanych i dlatego trwale we wspomnieniu wyryty.

Rzecz ciekawa, że raczej nie zostają nam we wspomnieniu — ludzie. A przynajmniej nie zostają postacie pierwszoplanowe. Defektem sztuki pisarskiej Czarnyszewicza jest dość blade malowanie głównych bohaterów. Postacie drugoplanowe rysowane są kilku kreskami w sposób znakomity. „Losy pasierbów", jak „Nadberezyńcy", roją się od świetnie narysowanych ludzi z tłumu, którzy pojawiają się na chwilę i znikają. Taka Domka jest narysowana doskonale, ale nie jest ona właściwie postacią pierwszoplanową. A postacie pierwszoplanowe są odrobinę papierowe. Także i w „Nadberezyńcach" i „Wiciku Żywicy" nie zapamiętaliśmy żadnej postaci głównej, żadnego Zagłoby, Wołodyjowskiego czy choćby Kiemliczów. Pozostało nam tylko w pamięci zjawisko zbiorowe: niezmiernie zróżnicowany, żywy i barwny tłum, szlachta zagrodowa. To samo jest i z „Losami pasierbów".

Ale gdyby Czarnyszewicz nie miał tego defektu, to należałby do plejady kilku, może najwyżej kilkunastu najlepszych pisarzy, jakich literatura powieściowa polska wydała. Z tym defektem, należy on do klasy, która idzie zaraz po nich. Nie dorównuje Sienkiewiczowi czy Prusowi. Z pewnością nie ustępuje Rodziewiczównie, czy tym bardziej Sieroszewskiemu.

Jego wielkim walorem pisarskim, obok epickiego malowania życia i obok liryzmu, jakim osnuwa obrazy przyrody i koleje ludzkiej doli, jest umiejętność budowania żywej i zajmującej fabuły. Jego powieści czyta się dosłownie „jednym tchem", a po skończeniu żałuje się, że nie ma dalszego ciągu. „Losy pasierbów" mają fabułę tak żywą, że nie gorzej od powieści najbardziej modnych nadają się doskonale do filmu.

Temat nowej powieści Czarnyszewicza jest w istocie wysoce dramatyczny. W okresie wielkiego bezrobocia w Polsce międzywojennej, a zwłaszcza wielkiego zubożenia Ziem Wschodnich, tłumy polskiego ludu, zwłaszcza kresowego, emigrowały do Argentyny, spodziewając się znaleźć tam lepsze warunki bytu. Szczególnie chętnie emigrowali Polacy zza ryskiego kordonu, którzy musieli opuścić strony rodzinne z przyczyn politycznych, a którzy w odrodzonej Polsce źle się czuli i odpowiedniego miejsca dla siebie nie znaleźli.

Trafili z deszczu pod rynnę. W Argentynie panowało straszliwe bezrobocie i pola do pracy i zarobku, już nie tylko lepszego niż w Kraju, ale wręcz najnędzniejszego, było niezmiernie mało. Przybywające każdym okrętem tłumy imigrantów z Polski znajdowały się w Buenos Aires dosłownie na bruku i w wielkiej masie ześlizgiwały się na samo dno, czy to w sensie materialnym, żyjąc na śmietnikach miejskich i karmiąc się tym co wśród nich można było znaleźć, czy to w sensie moralnym, grzęznąc w prostytucji i w zbrodni.

Sytuacja polskich emigrantów była tym rozpaczliwsza, że zastali oni w Buenos Aires skrystalizowane już środowisko emigracji dawniejszej, rosyjskiej, ruskiej i białoruskiej, w dalszym ciągu nowym dopływem swych współplemieńców zasilanej, usposobionej po bolszewicku i traktującej emigrantów polskich jak „białogwardzistów", zasługujących na to, by ich bez litości prześladować. Czarnyszewicz daje nam przejmujący obraz nieszczęścia polskiej rzeszy imigranckiej, jej bezsilności, jej nędzy a zarazem jej uporczywej pracy, wysiłku, niezłomnej nadziei.

Szczególnie przejmujący jest obraz zetknięcia się tej masy z osiadłą już i zagospodarowaną, mającą jakie takie znaczenie w przemyśle (jako majstrowie itp.) masą bolszewicko-ruską. Masa ruska jest ateistyczna i nihilistyczna, ceni tylko pieniądz i użycie. Ma do polskiej masy pretensje nie tylko o to, że walczyła zbrojnie z Rosją sowiecką, ojczyzną proletariatu, ale także i o to, że śmie przyjeżdżać do Argentyny i odbierać jej chleb. Nie tylko że nienawidzi Polaków, ale potrafi ich całkiem skutecznie prześladować. Polacy, wzięci we dwa ognie, między bezrobociem, to znaczy niedostępnością przemysłu, którym rządzi daleki Olimp potężnego kapitału (częściowo angielskiego), a panującym na ulicy, w dokach, w chłodniach, w rzeźniach, w domkach mieszkalnych, w knajpach bolszewickim proletariatem, są najbardziej pognębionym żywiołem na buenos-aireńskim bruku. Czarnyszewicz pokazuje nam, jak na to reagują. Jedni nie dają się, walczą o los swój i swojej rodziny (jak Dubowik), organizują się w polskie stowarzyszenia, wspomagają się wzajemnie, przechodzą przez całe mnóstwo nieszczęść i katastrof, ale w końcu zwyciężają. Inni (albo inne), przez oportunizm przystosowują się do panujących stosunków, schylają karku przed przewagą ruską. (Czarnyszewicz pokazuje nam w dialogach, jak język polski miesza się z narzeczami ruskimi), zlewają się z tą przewagą, jak Staśka Juszkiewiczówna, która dla pieniędzy i wygodniejszego życia wzięła ślub cywilny z bogatym Rusinem, ateistą. Jeszcze inne, jak Mańka Wierabiejczyk z Lidy, w której się zakochał Kozyr, stały się ofiarami handlu żywym towarem i wywiezione na daleką prowincję pędzą smutny żywot wśród wyzyskujących je gauczów.

Uderza opuszczenie tej polskiej masy przez polski rząd. Czarnyszewicz pokazuje nam jak wyglądała w owych czasach polska opieka konsularna. W konsulacie „większość urzędników czeka tylko, aby godziny zeszły, aby jak najprędzej wyrwać się do klubów wyższej sfery czy na plażę i udawać tam Anglików". Raz jeden, z inicjatywy kosulatu, odbywa się tłumne zebranie polskich imigrantów. Spodziewają się oni, że przedstawicielstwo polskiego rządu da im jakieś realne wskazania co robić, by wydobyć się z matni, w jakiej się znaleźli. Ale daleka ojczyzna przysłała tylko prelegenta, który w imię krzewienia kultury wypalił im odczyt o... egiptologii. Obrazek jest pełen humoru — ale i pełen goryczy.

Powieść jest nie tylko obrazem losu polskiej rzeszy wygnańczej, borykającej się z nieszczęściem, w które wpędziła ją zarówno własna lekkomyślność, żądza przygody i pragnienie poprawy bytu, jak brak poczucia odpowiedzialności polskich władz, które do niefortunnego ruchu emigracyjnego dopuściły. To byłoby jeszcze mało. Jest ona zarazem obrazem Argentyny.

Jest to epopeja zetknięcia się europejskiego emigranta z nowym krajem. Mało jest takich powieści w literaturze światowej i myślę, że powieść Czarnyszewicza mogłaby zainteresować nie tylko polskiego czytelnika.

Czarnyszewicz maluje nam obraz olbrzymiego miasta, w które masa emigracyjna się wlewa. Przelotnie ocieramy się o pławiące się w bogactwie śródmieście, ale przede wszystkim poznajemy przedmieścia, ubogie dzielnice robotnicze, doki portowe, rzeźnie, chłodnie, śmietniki, bramy fabryk, przed którymi stoją długie kolejki szukających pracy bezrobotnych, mieszkania robotnicze, jedne nędzne i rozpaczliwie ubogie, inne dobrze już zagospodarowane i dostatnie. Poznajemy także i podobne do Buenos Aires miasto portowe i przemysłowe Berisso, oraz podmiejskie nadrzeczne ogrody, w których uprawiają warzywa osadnicy Włosi i Hiszpanie. Poznajemy ludzi, z których to olbrzymie rojowisko się składa — i jest to obraz dziwnie przygnębiający. Jest to masa ludzka bez Boga i bez wiary, spragniona tylko pieniądza i cielesnego użycia, częściowo osiągająca życiowe powodzenie, a wtedy pyszniąca się tym powodzeniem w sposób chamski i nadużywająca swej siły i bo-

---

*) **Florian Czarnyszewicz, LOSY PASIERBÓW. Paryż, Libella, 1958. Z przedmową Józefa Czapskiego.**

gactwa w sposób brutalny i łajdacki, częściowo zdeptana przez życie i bijąca się nożami o najnędzniejsze ochłapy. Bardzo to smutny obraz. Nie wesoło wygląda ta Ameryka Południowa, kraj przecież o podłożu katolickim, jeśli panoszy się tam tyle materializmu, tyle pogoni za pieniądzem, tyle płaskiego użycia, tyle niechrześcijańskiego braku miłosierdzia, tyle wyzysku i tyle pychy. I jeśli tak mało zostało tam wiary i tak rozkrzewił się nihilistyczny ateizm, wywodzący się prościuteńko z bolszewickiej Rosji. Na tle tej otchłani zdeprawowanego, obcego świata, szczególnie wzruszająco rysują się wysiłki uczciwych polskich rodzin i jednostek, pragnących zachować swą godność, swą katolicką duszę i swą polską kulturę.

Poznajemy jednak nie tylko argentyńskie wielkie miasto, ale także i daleką prowincję, rozległe pampasy, olbrzymie łany pszenicy, które żną maszyny-żniwiarki, wielkie przestrzenie, na których pasą się stada bydła, nocne pośc.gi konne za bandytami kradnącymi konie, dalekie, zagubione na pustkowiu stacyjki kolejowe. W powieści Czarnyszewicza pachnie upajającym zapachem argentyński step, opisany z takim samym talentem i takim samym zachwytem, a nawet po prostu z miłością, jak poprzednio lasy nad Berezyną. Dzwonią nam w uszach ostrogi gauczów. Przesuwają się przed oczyma żywe i barwne sylwetki przedstawicieli argentyńskiego ziemiaństwa, zarówno jak czarnogórskich emigrantów, reperujących na pustkowiu tory kolejowe. Dźwięczy w dialogach język hiszpański w osobliwej, argentyńskiej odmianie. (Co to znaczy, „kriożo"? To chyba argentyński sposób wymawiania słowa: kreol? Wszak wiadomo, że Argentyńczycy wymawiają hiszpańskie miękkie „lj" jak „ż". Ulica, po hiszpańsku „calle", wymawia się w Madrycie jak „kalje", w Sewilli jak „kaje", a w Buenos Aires jak „kazie").

Obraz kraju jest pełny i wszechstronny. To nie jest tylko epopeja emigracji polskiej. To jest epopeja Argentyny — takiej, jaką oczy emigranta widzą i z jaką się stopniowo zżywają.

Jest to książka zwięzła rozmiarami, ale bogata w treść i skalą wszechstronna. I dlatego nie waham się używać wobec niej tego samego określenia, którego użyłem pisząc ongiś recenzję o „Nadberezyńcach", określenia: epopeja.

Czarnyszewicz chyba na tym argentyńskiego rozdziału swej twórczości nie zamknął. Nie wiemy, co się dalej z Dubowikiem stało i jak mu poszło gopspodarowanie na kupionym tak szczęśliwie kawałku stepu. Jeden z wątków powieści (Kozyr i Mańka Wierabiejczyk) jest wyraźnie urwany. Powieść opisuje niespełna rok życia, a przecież Czarnyszewicz siedzi w Argentynie już chyba od z górą ćwierć wieku. Będę zapewne wyrazicielem nadziei polskiego czytelniczego ogółu, gdy powiem, że czekamy na dalszy ciąg. Na nową powieść o tym, jak emigracja polska w Argentynie przełamuje trudności i stopniowo zapuszcza korzenie. I może także i o tym, jak miesza się po roku 1945 z nową falą uchodźczą: z emigracją wojenną.

Dwie jeszcze rzeczy chciałbym napisać na zakończenie.

Przy czytaniu powieści uderzył mnie fakt prawie nieuczęszczania rodziny Dubowików do kościoła. Nie jest to rodzina niereligijna: przeciwnie, to są ludzie, którzy wierzą, są pełni ufności w opiekę Opatrzności i umieją żarliwie się modlić. Dlaczego więc do kościoła nie chodzą co niedziela? Całe ich losy ułożyłyby się łatwiej, gdyby chodzili do kościoła regularnie, a w konsekwencji nawiązali w końcu kontakt z księdzem choćby włoskim. Gdyby to była rodzina z Pomorza, ze Śląska, a choćby z Poznańskiego, z Królestwa, z byłej Galicji, czy z Wilna, byłaby ona w kościele co tydzień i w rezultacie byłaby szybko weszła w środowisko katolickie, na początek różnonarodowe a potem polskie, a więc ideowo sobie pokrewne. Nie byłaby wtedy tak samotna. Tak więc nawet z punktu widzenia czysto społecznego źle się dla Dubowików stało, że się od kościoła trzymali tak z dala. Jaka była tego przyczyna? Myślę, że przypisać to należy pochodzeniu Czarnyszewicza z kresów białoruskich, gdzie pod rządami carskimi kościołów katolickich było badzo mało i gdzie wskutek tego wytworzył się zwyczaj, że można chodzić do kościoła tylko przy wyjątkowych okazjach.

To stronienie od kościoła — to bądź co bądź plamka na tym skądinąd tak pięknym obrazie przeciwieństwa między polską społecznością głęboko katolickiego, moralnego i cywilizowanego ludu polskiego, a masą nihilistycznej międzynarodowej hołoty i tłem wystudzonego duchowo i zobojętniałego, obcego kraju.

Druga uwaga, jaka mi się nasuwa, to to, że Czarnyszewicz niepotrzebnie z takim realizmem przytacza plugawe wyrazy w dialogach (chociaż wykropkowane). Moda na tę postać realizmu poszła w polskim powieściopisarstwie za daleko. Można być realistycznym i dobitnym także i bez tego. Czarnyszewicz, z całą swoją postawą i z duchem swojej twórczości, do tej formy wypowiadania się, bądź co bądź, też trącącej nihilizmem, nie pasuje.

Ale to tylko drobiazg. Nie umniejsza to wartości książki, nie tylko literackiej, ale także i moralnej: jako pomnika zdrowia i tężyzny polskiego ludu.

Jędrzej Giertych

A JEDNAK BIBLIA MA RACJĘ

Pogłębiające się niedowiarstwo w obecnych czasach oraz skłonność do historycznej interpretacji cudownych wydarzeń opisywanych w Biblii (Stary Testament: Ucieczka z niewoli egipskiej, Przejście przez Morze Czerwone, Zburzenie Jerycha, Manna; Nowy Testament: Gwiazda Betlejemska, Święty Całun z Turynu, Ucieczka do Egiptu, jako kilka skromnych przykładów), znalazły czarującą odpowiedź w książce Wernera Kellera*) pod tytułem: „A jednak Biblia ma rację". Pisarz ten przepełniony duchem entuzjastycznego badacza-odkrywcy, człowiek niezmiernie systematyczny w pracy a przy tym nie pozbawiony polotu nadzwyczajnego artysty, zebrał kosztem benedyktyńskiego trudu wszystkie niemalże odkrycia archeologiczne, tak na Ziemi Świętej jak na obszarach Bliskiego Wschodu; ujął je w przystępną, niezwykle frapującą formę artystyczną, wydobywając z mroków minionych tysięcy lat tajemnicę, która dla jednych stała się natchnieniem oraz źródłem nowej nadziei, a dla innych przedmiotem ostrej nieraz krytyki i żartu.

Werner Keller nie jest uczonym; jest dziennikarzem i amatorem w dziedzinie archeologii. I może właśnie dlatego jego ostatnia książka, licząca około pięciuset stron, okazuje się niezmiernie przystępną, a co ważniejsze bardzo miłą w czytaniu; ani razu nie odczuwa się pokusy „przeskoczenia" jakiejś strony czy rozdziału. Książka Kellera jest pracą o dwóch zasadniczych zaletach: posiada bezpośredniość i barwność reportażu, a budzi zaciekawienie jak pasjonująca powieść. Z godną podziwu umiejętnością potrafi autor dzielić się z czytelnikiem frapującymi odkryciami, zaskakując nimi w najmniej spodziewanej chwili. Przy jego pisarskich zdolnościach i znajomości zagadnienia przyjemnie jest odczuć entuzjazm z jakim pisze. Podchodzi do owych zamierzchłych czasów, jak gdyby nie istniał dlań ciężar tysięcy minionych lat. Tok opowiadania jest płynny i oczarowuje nawet tych niedoświadczonych czytelników, którym Biblia nigdy nie wpadła do ręki.

Wbrew odwiecznej tradycji wieki XVII i XVIII zaprzeczały pojęciu biblijnego Objawienia, określając je jako zbiór „nabożnych przypowieści", jeśli już nie jaskrawą mistyfikację. Ale kiedy w drugiej połowie XVIII wieku rozpoczęły się namiętne, rozporządzające jak najbardziej naukowymi metodami prace nad archeologicznymi wykopaliskami, a zmierzch otomańskiego imperium Turków ułatwił europejskim naukowcom dotarcie do dalekich i nieprzyjaznych krajów, jak Syria, Mezopotamia i Palestyna, nabiera Biblia tak dla wierzących, jak i niewierzących, nowej i przekonywującej wymowy, bijącej z oczywistych i namacalnych dowodów, ukrywanych do niedawna zazdrośnie przez ziemię; a więc z pomników starożytnych czasów, papirusów oraz glinianych tabliczek z zagadkowym pismem klinowym.

To nowe światło opromienia niezwykłym czarem dzieło Wernera Kellera. Autor nie dokonuje ani jednego odkrycia „na własną rękę", ogranicza się do gromadzenia podanych mu przez archeologów dat i materiałów; bez wątpienia jednak jego zasługą jest doprowadzenie najbardziej zatwardziałych sceptyków do głębokiego zastanowienia.

Chciałbym zacytować teraz trzy interesujące rozdziały z tejże książki, odnoszące się do szczególnie znamiennych epizodów ze Starego Testamentu; mam na myśli te dobrze wszystkim znane a uważane często za „nabożne przypowieści". Więc: spalenie Sodomy i Gomory, zburzenie murów Jerycha oraz oblężenie Jerozolimy przez Asyryjczyków.

W gorzkich a smolistych głębiach Martwego Morza badacze odnajdują dzisiaj wyraźne sylwetki drzew, zakonserwowanych w masie soli i nie tkniętych zębem czasu. Były to lasy otaczające dwa ukarane Bożym gniewem miasta, Sodomę i Gomorę, na skraju których pasły się w dolinie trzody Lota. Zapadnięcie doliny należy do najstraszliwszego w dziejach świata kataklizmu, podczas którego zapewne nastąpiły wylewy law wulkanicznych i apokaliptyczne opady rozżarzonych popiołów. Według geologów, katastrofa miała nastąpić w 1900 roku przed narodzeniem Chrystusa, a więc dokładnie w czasach, kiedy żył patriarcha Abraham.

---

*) Werner Keller: „Y LA BIBLIA TENIA RAZÓN". Ediciones Omega. Barcelona. 448 stron. 76 ilustracji w tekście, 52 ilustracje poza tekstem i 3 mapy w kolorach.

Książka ta jest tłumaczeniem z niemieckiego „Die Bibel hat Recht"; w tłumaczeniu angielskim ukazała się w roku 1956 pt. „The Biblie as History" i ma imprimatur archidiecezji westminsterskiej.

Na południe od tego miejsca zagłady widnieją do dziś dnia błyszczące pagórki skrystalizowanej soli; napotyka się wszędzie na porozrzucane w przerażającym nieładzie kamienie i słupy soli, co utwierdza w przekonaniu, że ktokolwiek uciekając wówczas przed trzęsieniem ziemi zatrzymał się na chwilę, ginął od trujących a wyzwalających się z otwartych kraterów gazów wulkanicznych; ciało jego podobnie jak wszystko co było blisko słonego morza, pokrywało się grubą warstwą soli. „Rzekł tedy Pan: 'Krzyk na Sodomę i Gomorę rozmnożył się, a grzech ich zbytnio ociężał'. I przyszli dwaj Aniołowie do Sodomy... I rzekli do Lota: 'Masz tu kogo ze swoich? zięcia, albo synów, albo córki? Wszystkich, którzy są twoi, wyprowadź z miasta tego; zgładzimy bowiem to miejsce, przeto iż przemógł krzyk ich przed Panem, który nas posłał, abyśmy ich wytracili.' Wyszedłszy tedy Lot mówił do zięciów swoich, którzy mieli pojąć córki jego, i rzekł: 'Wstańcie, wynijdźcie z miejsca tego, bo Pan zatraci to miasto'. I zdało się im, jakoby żartem mówił. A gdy było rano, przymuszali go Aniołowie mówiąc: 'Wstań, weźmij żonę twoją i dwie córki, które masz, abyś i ty po społu nie zginął dla złości miasta'. A gdy on się ociągał, ujęli rękę jego i rękę żony jego i dwu córek jego, przeto iż mu Pan folgował. I wywiedli go i postawili za miastem; i tam mówili do niego, mówiąc: 'Zachowaj duszę twoją! Nie oglądaj się nazad, ani przystawaj we wszystkiej wokół krainie, ale na górę ratuj się, byś i ty po społu nie zginął!'... Tedy Pan dżdżył na Sodomę i Gomorę siarkę i ogniem od Pana z nieba. I wywrócił miasta te i wszystką wokół krainę, wszystkich obywateli miast i wszystko co się zieleni na ziemi. A obejrzawszy się żona jego (Lota) nazad, obrócona jest w słup soli. Abraham zaś wstawszy rano, gdzie pierwej stał z Panem, spojrzał na Sodomę i Gomorę, i na wszystką ziemię onej krainy, i ujrzał lecący w górę perz z ziemi, jako dym z pieca." (z Księgi Rodzaju)

Jerycho należy do najstarożytniejszych miast na świecie. Dokonane w najgłębszej warstwie odkrytych ruin wykopaliska, cofają nas do zamierzchłych czasów sprzed blisko siedmiu tysięcy lat. Kolosalne mury miasta noszą ślady mrożącej krew w żyłach katastrofy. Jeszcze dzisiaj cały ten obszar nawiedzany jest często trzęsieniami, a więc niezbite mówią dowody, że właśnie wstrząs ziemi musiał spowodować zawalenie wewnętrznego pasa obronnych murów, które zmiażdżyły domy nieszczęsnego miasta; nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż żadna w owych czasach siła ludzka nie byłaby zdolną do podobnego dzieła zniszczenia, jakie przedstawia się oczom zwiedzającego. „Gdy tedy wszystek lud krzyczał, a w trąby trąbiono, skoro w uszach mnóstwa głos i trąbienie zabrzmiało, natychmiast mury upadły i każdy wszedł przez miejsce, które było naprzeciw niego, i wzięli miasto...**) (Miasto Jerycho zajmowało w owym czasie przestrzeń bardzo małą, 2.43 ha, ale zbudowane na szczycie wzgórza i otoczone dokoła dwoma grubymi murami było — jak na ówczesne warunki — twierdzą bardzo silną i dla Izraelitów, nie zaopatrzonych w odpowiednie przyrządy, wprost nie do zdobycia.)

A co mówi nam Biblia o oblężeniu Jerozolimy, kiedy to asyryjski król Sennacheryb wycofał się nagle, gdy właśnie wszystko przemawiało za tym, że zwycięstwo było po jego stronie? „I stało się czternastego roku króla Ezechiasza, przyciągnął Sennacheryb, król asyryjski, na wszystkie obronne miasta judzkie i pobrał je. I posłał król asyryjski Rabsaka z Lachis do Jeruzalem do króla Ezechiasza z wojskiem wielkim... — I stanął Rabsak i wołał głosem wielkim po żydowsku i rzekł: 'Słuchajcie słów króla wielkiego, króla asyryjskiego! To mówi król: niechaj was nie zwodzi Ezechiasz, bo was nie będzie mógł wybawić. A niech wam Ezechiasz nie dodaje ufności w Panu mówiąc: Wyrwie i wybawi nas Pan, nie będzie dane to miasto w rękę króla asyryjskiego... Azali wybawili bogowie narodów, każdy ziemię swoją, z ręki króla asyryjskiego? Gdzie jest bóg Ematu i Arfadu? Gdzie jest bóg Sefarwaim? Azali wybawili Samarię z ręki mojej? A który jest ze wszech bogów tych ziem, który wydarł ziemię swą z ręki mojej, żeby Pan miał wydrzeć Jeruzalem z ręki mojej?'... I stało się, gdy usłyszał król Ezechiasz, rozdarł szaty swe i oblekł się w wór, i wszedł do domu Pańskiego... I modlił się Ezechiasz do Pana, mówiąc: 'Panie zastępów, Boże izraelski, który siedzisz na cherubinach, tyś sam jest Bogiem wszystkich królestw ziemskich, tyś stworzył niebo i ziemię. Nakłoń, Panie, ucha twego, ...a wejrzyj i usłysz słowa Sennacheryba, które przysłał, aby bluźnić Bogu żywemu!... Panie, Boże nasz, wybaw nas z ręki jego, i niech poznają wszystkie królestwa ziemi, iżeś ty jest sam Panem' ...Przetoż to mówi Pan o królu asyryjskim: 'Nie wnijdzie do tego miasta, ani tam wystrzeli strzały, ani go zaprzątnie tarcza, ani usypie koło niego wału. Drogą, którą przyszedł, tą się wróci, a do tego miasta nie wnijdzie, mówi Pan. I obronię to miasto, abym je zachował dla mnie i dla Dawida sługi mego'. I wyszedł Anioł Pański, i pobił w obozie asyryjskim sto osiemdziesiąt i pięć tysięcy. I wstali rano, a oto wszyscy trupy martwych. I odciągnął, i odjechał, i wrócił się Sennacheryb, król asyryjski." (z Proroctwa Izajasza)

Nawet w egipskich papirusach znajduje się wiadomość o straszliwej zarazie, która zdziesiątkowała wojsko Sennacheryba; nie daleko oblężonego miasta znaleziono ogromną fosę, wspólny grób, gdzie pochowano tysiące ciał dotkniętych dżumą.

W dalszym ciągu tego artykułu zamieszczam tłumaczenie fragmentów pierwszego rozdziału z części trzeciej książki Wernera Kellera pt. „A jednak Biblia ma rację".

W STRONĘ SYNAJ

„I wyciągnęli synowie Izraelowi z Ramesses do Sokot ((z Księgi Wyjścia 12, 37). Ale obwodził ich drogą pustyni, która jest nad Morzem Czerwonym (z Księgi Wyjścia 13, 18). I wyciągnąwszy z Sokot, położyli się obozem w Etam na ostatnim krańcu pustyni (z Księgi Wyjścia 13, 20). A gdy Egipcjanie szli w tropy idących przed sobą, znaleźli ich w obozie nad morzem: wszyscy jezdni i wozy faraonowe i wszystko wojsko byli w Fihahirot naprzeciwko Beelsefon (z Księgi Wyjścia 14, 9)."

Łatwo jest znaleźć na mapie pierwszy etap pieszego szlaku uciekających z Egiptu. Należy zaznaczyć, że nie znajduje się on na tzw. później „Via Filistea" (z Księgi Wyjścia 13, 17), należącej do owych pryncypalnych dróg, które prowadziły z Egiptu do Azji i przecinały Palestynę. Ważny ten szlak, używany przez karawany i kolumny wojskowe, biegnie prawie że równolegle do wybrzeża śródziemnomorskiego i należy do najkrótszych i najlepszych i dlatego właśnie najbardziej ze wszystkich strzeżonych. Potężna armia złożona z żołnierzy i urzędników strzegła tej drogi z obronnych, nadgranicznych fortec. Z tego więc powodu trakt ten przedstawiał dużo niebezpieczeństw. I dlatego naród żydowski schodzi z tej drogi, kierując się na południe. Z Pi-Ramesses, miasta położonego w delcie Nilu na prawym jej krańcu, uciekający idą w stronę Sokot, leżącego w Wadi Tumilat, a potem w kierunku Etam, Fi-Hahirot, które jest najbliższym miejscem postoju. Według Biblii, należy się domyślać, że miejsce to znajdowało się „między Magdalem a morzem, naprzeciw Beelsefon" (z Księgi Wyjścia 14, 2). „Miktol" ukazuje się również w egipskich tekstach i oznacza „wieża". Potężna twierdza strzegła południowej części traktu, wzdłuż którego ciągnęły karawany w stronę ziemi Synaj. 25 kilometrów na północ od Suezu natrafiono na jej ruiny.

„A gdy Mojżesz wyciągnął rękę na morze, zniósł je Pan wiatrem gwałtownym i parzącym, który wiał całą noc i obrócił je w suszę; i rozstąpiła się woda. I weszli synowie izraelowi przez pośrodek suchego morza, bo była woda jak mur po prawej i po lewej ich stronie." (z Księgi Wyjścia 14, 21-22).

...cała dywizja wojennych furgonów usiłująca dosięgnąć lud izraelski, zostaje połknięta przez morze wraz z końmi oraz ich jeźdźcami.

Ten „cud" zastanawiał od dawien dawna umysł ludzki. To, że tego do dzisiaj ani nauka, ani doświadczenie nie dokonały, nie znaczy bynajmniej, aby ludzkość w tym wypadku bezradnie opuściła ręce, nie starając się o wytłumaczenie zjawiska w owych zamierzchłych czasach; a przecież nie brak na to jak najbardziej realnych możliwości. Przedmiotem kontrowersji jest jedynie brak całkowitej pewności. Pierwszą trudnością, na jaką natrafiają naukowcy, jest kwestia tłumaczenia tekstu. Hebrajskie słowo „Yam suph" jest intepretowane raz jako „Morze Czerwone", a następnie jako „Morze Trzcinowe". Oczywiście o trzcinach wspomina się nie przy jednej okazji.

„Słyszeliśmy, że Pan wysuszył wody Morza Czerwonego na wejście wasze, kiedyście wyszli z Egiptu..." (z Księgi Jozuego 2, 10).

W Starym Testamencie sam prorok Jeremiasz mówi o „Morzu Trzcinowym". Nowy Testament natomiast wymienia tylko „Morze Czerwone" (Dz. 7, 36; Żyd. 11, 29).

Na wybrzeżu Morza Czerwonego nie ma śladu po trzcinach. Morze Trzcinowe znajdowało się w rzeczywistości bardziej na północ. Rekonstrukcja, mająca na celu dokładne zobrazowanie miejsca, a co jest jeszcze jedną właśnie i bardzo poważną trudnością, nie jest możliwa pod żadnym względem, gdyż przekopanie Kanału Sueskiego w ubiegłym stuleciu zmieniło całkowicie fizjonomię tego obszaru. Według najbardziej wiarogodnych obliczeń, ów morski cud musiał nastąpić właśnie na owym terytorium. Tak więc np., dawne Jezioro Ballah leżące na południe od „Via Filistea" zniknęło po przekopaniu kanału. Była to niezwykle bagnista ziemia. W czasach Ramzesa II Zatoka Sueska łączyła się z Gorzkimi Jeziorami. Przypuszczalnie owo połączenie rozciągało się aż po samo Jezioro Timsahm, zwane także Jeziorem Krokodylów. Część wody łączącej Golf Sueski z Gorzkimi Jeziorami w wielu miejscach łatwą była do przebrnięcia w bród. Jest więc wiarogodnym twierdzenie, jakoby ucieczka z ziemi egipskiej miała nastąpić właśnie przez „Morze Czerwone".

**) (Z Księgi Jozuego)

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa niektórzy pielgrzymi podejrzewali, iż wyjście z Egiptu nastąpiło przez Morze Czerwone; twierdząc tak mieli na myśli północny kraniec Zatoki, w pobliżu miasta Es-Suwes, Suez dzisiejszych czasów. Tutaj właśnie mogło nastąpić przejście. Czasami silne wiatry wiejące z południowego-wschodu wypychają w tak gigantyczny sposób masy wodne na północny kraniec Golfu Sueskiego, że istnieje możliwość przebrnięcia go w bród. W Egipcie przeważa wiatr z zachodu, natomiast „wschodni wiatr", cytowany w Biblii jest typowy w Palestynie.

MANNA

„Stało się tedy w wieczór, że wzleciały przepiórki i okryły obóz; z rana zaś rosa leżała około obozu. A gdy okryła wierzch ziemi, ukazało się na puszczy coś drobnego, a jakoby w stępie utłuczonego, na podobieństwo szronu na ziemi. Gdy to ujrzeli synowie izraelscy, rzekli jeden do drugiego: 'Man-Hu?' (to znaczy: 'Cóż to jest?'), bo nie wiedzieli, co było. Rzekł im Mojżesz: 'Ten to jest chleb, który wam dał Pan ku jedzeniu." (z Księgi Wyjścia 16, 13-15).

Wielce zaciekłe były dyskusje na temat przepiórek i manny Ileż sceptycyzmów powstało na tym punkcie! A przecież, tak przepiórki, jak i manna są naturalnym zjawiskiem. Wystarczy zwrócić się w tej sprawie do jakiegokolwiek profesora nauk przyrodniczych, albo do tubylca owych krajów, gdzie do tej pory można oglądać ten fenomen.

Wyjście Żydów z Egiptu nastąpiło na wiosnę, to znaczy w okresie masowych migracji ptaków. Z powodu upałów i straszliwej suszy klimat Afryki jest nie do zniesienia i ptaki (w najbardziej zamierzchłych czasach) leciały do Europy, wybierając dwa tradycyjne szlaki: pierwszy prowadzi przez zachodnią Afrykę do Hiszpanii, a drugi, okrążając wybrzeże Morza Śródziemnego, na Bałkany. Wśród tych wędrujących ptaków znajdują się przepiórki, które w pierwszych miesiącach każdego roku przelatują ponad wodami Morza Czerwonego, by potem skierować się na swój odwieczny szlak na wschód. Wyczerpane długim lotem opadają niezliczonymi chmarami na nadbrzeżnej równinie, aby nabrać sił i od nowa rozpocząć lot ponad szczytami niebosiężnych gór i dotrzeć do Morza Śródziemnego. Pisze o tym szczególe Flawiusz Józef (Ant., III, t. 5); również w dzisiejszych czasach, na wiosnę i jesienią, beduini gołymi rękami chwytają na owych obszarach zmęczone ptaki.

Natomiast w sprawie manny najlepiej jest zwrócić się po informacje do botaników. Przede wszystkim ktoś, kto zajmuje się tym produktem, może znaleźć go na liście eksportowej półwyspu Synaj. Poza tym drzewo to rosnące w jakimkolwiek miejscu na Bliskim Wschodzie jest zaznaczane we wszystkich statystykach botanicznych i w tym szczególnym wypadku nazywa się „Tamarix Mannifera". Dla ogółu ludzkości chleb biblijny jest nadal niewytłumaczalnym enigmatem. Fenomen manny stał się jednym jeszcze klasycznym przykładem uporczywego i zaciętego zwyczaju pewnych opinii, zakorzeniających się w umyśle ludzkim czasami na przestrzeni całych generacji i nie należy się dziwić, dlaczego to tak trudno jest wyjść prawdzie na wierzch. Ot, jakby nikt nie chciał dopuścić do głosu faktu tak oczywistego, że „manna z nieba" naprawdę istnieje. Nie brak nam bynajmniej wiarogodnych opisów jej istnienia. Poniższa relacja pewnego naocznego świadka pochodzi sprzed 500 lat.

„We wszystkich dolinach znajdujących się w pobliżu góry Synaj, można znaleźć z łatwością (także w naszych czasach) tzw. „chleb zesłany z nieba", który zbierają mnisi i arabscy beduini, konserwując go i następnie sprzedając pielgrzymom i cudzoziemcom znajdującym się w tym kraju".

W 1483 roku mówił o tym dziekan moguncki Breitenbach, opisując swoje wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej.

„Wspomniany chleb spada ranem o świcie i jest podobny do rosy lub szronu; osiada kropelkami na trawie, kamieniach i gałęziach drzew. Jest on słodki jak miód i przy żuciu przylepia się do zębów. Udało się nam nieco tego chleba uzyskać."

W 1823 roku G. Ehrenberg, botanik niemiecki, wydał broszurę, którą nawet jego najintymniejsi przyjaciele przyjęli z dużą rezerwą. Przyznać należy, że jego dowodzenia zdawały się bardzo nieprawdopodobne, gdyż twierdził jakoby manna nie była czym innym niż sekrecją drzew i krzewów tamaryszka w okresie drążenia ich przez specjalnego czerwia drzewnego. Tamaryszki rosną wyłącznie w okolicy Synaju.

W sto lat później wybiera się tam specjalna ekspedycja. Dwaj botanicy, Fryderyk Szymon Bodenheimer i Oskar Teodor z Hebrajskiego Uniwersytetu w Jerozolimie, udają się na półwysep Synaj w celu wyjaśnienia zjawiska manny. Przez kilka długich miesięcy badają wyschłe ziemie oraz oazy, otaczające górę Synaj. Wspólny ich komunikat wywołuje ogromną sensację. Nie tylko przynoszą ze sobą pierwszą i autentyczną fotografię manny, ale na dodatek, jako rezultat swoich badań, potwierdzają daty Breitenbacha i Ehrenberga podkreślając ten fakt, który podaje Biblia: stwierdzają peregrynację narodu żydowskiego poprzez pustynię.

Bez wyżej wspomnianego czerwia, odkrytego przez Ehrenberga, nie mogłaby w żadnym wypadku istnieć manna. Owe maleńkie insekty upodobały sobie szczególnie tamaryszki; jest to pewnego rodzaju drzewo akacji, rosnącej jedynie na półwyspie Synaj. Owe tamaryszki segregują „twardy sok", który, według danych Bodenheimera, ma kształt i wielkość nasienia kolendry (Coriandrum sativum). Po opadnięciu staje się biały, ale gdy przez dłuższy czas leży na ziemi, nabiera koloru żółto-brunatnego. Jak należy przypuszczać, obaj uczeni nie omieszkali spróbować manny. „Smak skrystalizowanych kulek manny posiada w sobie szczególną słodycz — powiada Bodenheimer. — Smakuje jak plaster, tj. produkt starego miodu pszczelnego."

„A była ona jako nasienie kolendry białe — mówi Biblia — a smak jego jako białego chleba z miodem." (z Księgi Wyjścia 16, 31).

Wyniki ekspedycji potwierdzają same przez się resztę opisu manny: „Zbierali po ranu każdy, ile mogło być dosyć ku jedzeniu; a gdy zagrzało słońce, topniało." (z Księgi Wyjścia 16, 21). Jak dawniej, tak i w naszych czasach beduini spieszą się w górach, by wczesną godziną zebrać swój „Mann-essamâ", to znaczy „mannę z nieba", gdyż mrówki są ich żarłocznymi rywalami. Oto co mówi o tym relacja ekspedycji: „Rozpoczynają zbieranie kiedy ziemia dochodzi do temperatury 21 stopni. Ma to miejsce około pół do ósmej rano. Aż do tej godziny insekty trwają jeszcze w stanie letargu".

Wraz z przebudzeniem mrówek manna znika. Zapewne miał to na myśli kronikarz Biblii mówiąc, że topniała. Beduini gromadzą mannę z ogromną ostrożnością w specjalnych naczyniach; gdyby nie ta roztropność, mrówki rzuciłyby się niechybnie na pożywienie, pożerając je doszczętnie. Podobnie działo się w epoce Mojżesza: „Ale nie posłuchali go i niektórzy z nich zostawili aż do poranku; i jęło się zalęgać robactwem i pogniło". (z Księgi Wyjścia 16, 20).

Zbiór manny zależny jest od sprzyjających, zimowych deszczów, a jeśli chodzi o ilość, nie każdego roku jest taki sam. Gdy rok należy do urodzajnych, beduini Synaju są w stanie zebrać (co dnia) około pół kilograma manny na człowieka! Jest to bardzo dużo i wystarczy na zaspokojenie głodu dorosłej osoby podczas jednego dnia. Dlatego mógł Mojżesz rozkazać Izraelitom: „Niech zbiera z niego każdy, ile potrzeba ku jedzeniu". (z Księgi Wyjścia 16, 16).

Beduini przyrządzają z manny coś w rodzaju ciasta, które — starym zwyczajem — uważają za bogate w witaminy i dodają je do zbyt monotonnego pożywienia. Manna należy także do produktów przeznaczonych na eksport, który odpowiednio zakonserwowany, nie ulega zepsuciu; może być przechowywany przez nieokreślony czas.

„I rzekł Mojżesz do Aarona: 'Weź jedno naczynie, a nasyp w nie manny, ile może wziąć w siebie gomor i połóż przed Panem, by zachować na pokolenia wasze." (z Księgi Wyjścia 16, 33).

„A synowie izraelowi jedli mannę czterdzieści lat, aż weszli do ziemi chananejskiej." (z Księgi Wyjścia 16, 35).

Tamaryszki, rodzące mannę, rosną na półwyspie Synaj wzdłuż skraju arabskiej pustyni, aż po samo Morze Martwe.

***

Niektórzy katolicy nie potrafią ukryć swojego rozczarowania, widząc jak pewne wydarzenia biblijne w świetle relacji Wernera Kellera pozbawione zostały jak gdyby nimbu tajemnicy i czaru cudowności. Ale tak naprawdę to nie mają czego żałować. Już sam fakt zwycięstwa prawdy jest czymś radosnym i zadawalającym; opieka Boska nad wybranym narodem nie ustała, dokonując zdarzeń opatrznościowych i nawet cudownych, a których nauka nigdy nie będzie w stanie wytłumaczyć. Wystarczy bowiem wziąć pod uwagę spełnienie się proroctw, by zobaczyć jak to prawdy potwierdzone przez współczesną naukę dają dowód rzeczywisty, że relacje kronikarzy biblijnych nie zostały wyssane z palca.

Nie można powiedzieć, by jedynie pedanteria autora w dokumentacji tekstów przyczynić się miała do sensacyjnej poczytności książki. Werner Keller nie tylko pokazuje nam świat pasjonujących i niezwykłych odkryć, ale prowadzi nas wprost tam, gdzie owe wydarzenia miały miejsce. Żaden z uczonych lub archeologów nie oddał z taką artystyczną wnikliwością dramatu arabskiej pustyni, monumentalności miast egipskich, ciszy panującej na ziemiach Kanaan, czy wielkości batalistycznych scen biblijnych, jak właśnie Werner Keller w swojej wzruszającej książce, która — jak już wspomniałem na początku — napisana przez dziennikarza, daje czytelnikowi obraz biblijnych czasów nie jako czegoś legendarnego, ale właśnie jak najbardziej rzeczywistego i żywego. Obraz czasów, kiedy to Duch Boży w szczególny sposób kierował losami człowieka.

Henryk Czesław Śliwiński

Obcując z Polską w Brukseli...

Bruksela, zdaniem Belgów, stała się z chwilą otwarcia wystawy „skrzyżowaniem dróg Europy". Określenie to jest o tyle słuszne, że ulice Brukseli roją się obecnie od cudzoziemskich aut, wszelkiej maści autobusów o różnej przynależności państwowej, turystów różnojęzycznych z nieodłącznym aparatem fotograficznym, który niekiedy zdradza narodowość właściciela. Wędrując po mieście można spotkać włoskich „carabinieri" w galowych mundurach, na Grand' Place zobaczyć zagraniczne zespoły taneczne, popisujące się pod gołym niebem, a w jednym z kin można oglądać filmy różnych krajów, bo co tydzień inny kraj wyświetla kilka filmów, które idą tylko dwa do trzech dni.

Wśród autobusów, jeżdżących po ulicach Brukseli, trafi się wóz z napisem „Warszawa". Przyjeżdżają nim turyści z Polski. Toteż nie trudno jest obecnie usłyszeć język polski w centrum Brukseli. Polska wjeżdża do Belgii coraz to w innej postaci, reprezentowana przez turystów, artystów, sportowców czy też przez dzieła sztuki.

Ledwie pożegna się jedną grupę, już zjawia się druga. Skończył się festiwal filmów eksperymentalnych, na którym Polska zwyciężyła (filmy: „Dom" i „Dwaj ludzie z szafą"), a już pokaz filmów międzynarodowych zaczyna się polskim tygodniem z filmami: „Kanał", „Człowiek na torze", „Prawdziwy koniec wojny". W związku z tymi filmami przyjechali do Brukseli: Kawalerowicz (realizator filmu „Prawdziwy koniec wojny"), dr Munk (realizator filmu „Człowiek na torze"), Gliński (aktor grający rolę porucznika Zadry w filmie „Kanał"), oraz Lucyna Winnicka (główna rola w filmie „Prawdziwy koniec wojny"). Polscy goście zostali przyjęci w Klubie Międzynarodowym, gdzie im stawiano pytania na temat polskiej produkcji filmowej. Belgowie chcieli się dowiedzieć na jakie trudności ze strony producenta, to jest państwa, natrafiają polscy autorzy scenariuszy i realizatorzy. Nie dowiedzieli się zresztą wiele, głównie z tego powodu, że oficjalny tłumacz z ambasady upraszczał pytania i odpowiedzi i tłumaczył je bardzo dowolnie, np. „héros positif" jako „homme brave". Ponieważ Belgowie chcieli koniecznie wiedzieć od kogo zależy decyzja, czy film pójdzie na ekran, odpowiedziano im, że o tym stanowi zebranie, w którym uczestniczą czynniki zawodowe i społeczne. Na pytanie od kogo zależy wjazd filmu zagranicznego — odpowiedziano: od specjalnej komisji. Wtedy Belgowie postawili podstępne pytanie, dlaczego w sprawie wycofania filmu Hłaski zagrały względy polityczne i kto zadecydował w tej sprawie oraz jakie jest stanowisko w sprawie Hłaski obecnych w Belgii filmowców polskich. Kawalerowicz, (który przyznał się Belgom zaraz po przyjeździe, że jest komunistą, co było powodem, że prasa katolicka jego film zjechała) zaczął się wykręcać od odpowiedzi, twierdząc, że co innego jest sprawa Hłaski, a co innego sprawa filmu. Zresztą filmu nie widział, więc nie może nic powiedzieć. Tłumacz z ambasady wyręczył Kawalerowicza, odpowiadając na drugą część pytania i oświadczając, że film Hłaski wycofał rząd.

Po filmach i aktorach zjechała do Brukseli Filharmonia Warszawska, o której najsurowsi krytycy belgijscy napisali, że jej koncerty są „najcudowniejszym wrażeniem artystycznym", że „nie można sobie wyobrazić niezwykłej atmosfery, jaką stwarzają wykonawcy, atmosfery, którą wieńczy dzieło (Stabat Mater Szymanowskiego) o wyjątkowym charakterze". O dyrygentach pisano: Wodiczko — „pełen wigoru, dynamizmu, drżący w wynurzeniach lirycznych i dyskretnie wzruszony w sekretnych zwierzeniach". O Rowickim: kieruje orkiestrą „w sposób subtelny i błyskotliwy". O Skowaczeskim i orkiestrze, że byli „absolutnie wspaniali".

Jest to bardzo mała cząstka pełnych zachwytu uwag prasy. Publiczność była tego samego zdania, toteż zachowanie się publiczności określa prasa jako „succès délirant".

Takie samo przyjęcie spotkało „Mazowsze". Wszystkie bez wyjątku recenzje były pełne uznania. Prasa zauważyła przy tym, że taniec polski, w przeciwieństwie do tańców innych narodów, jest tańcem opartym przede wszystkim na parze, co wymaga równej ilości tancerzy i tancerek.

Ukoronowaniem występów „Mazowsza" było nocne przedstawienie na brukselskim Grand' Place: 5.000 miejsc siedzących całkowicie zajętych i tłum ludzi naokoło, tłum na balkonach i w oknach domów. A publiczność też niecodzienna: zajeżdżające bez przerwy na Grand' plac autobusy wyrzucały gromady turystów, mówiacych po hiszpańsku, po francusku, po holendersku, po angielsku. Niektórzy nie bardzo wiedzieli, po co przyjechali i informowali się dopiero na placu: „polnische Tänzer", podawali sobie Niemcy informacje, kupując bilety. Mazowszanie zaś już na scenie wodzili zdumionym okiem najpierw po morzu głów ludzkich, a potem po wspaniałej architekturze placu. A potem słyszało się komentarze wychodzącej publiczności: „Widzieliśmy już Hiszpanów tańczących, ale to nie było udane, a ci Polacy to naprawdę nadpowietrzni (aériens)". I ani jednej głowy już by się na plac nie wsadziło, tyle ludzi..."

Polacy, którzy się napili Polski na występach „Mazowsza", na filmach, czy koncertach Filharmonii i którzy to dobrze odczuli na swoich kieszeniach (bo nie tylko liczy się występy, ale trzeba też pomóc tym, co przyjeżdżają bez pieniędzy: od tego kupić szynkę, od tamtego płyty, innemu urządzić prywatny koncert itd.), myśleli, że na tym koniec. Tymczasem nie, w tym samym czasie, gdy było „Mazowsze" odbył sie wyścig listonoszy, na którym zwyciężył Polak. Belgowie mieli zawód, bo liczyli na to, że ich listonosz zna bruki brukselskie i „skróty", a tymczasem Polak był pierwszy z 52 listonoszy z 10 krajów.

W kilka dni później polska drużyna piłki wodnej pobiła Belgię, a choć sama uległa później Jugosławii, Belgom bardzo o tę klęskę chodziło. Pisali, że Polacy mieli przewagę nawet wtedy, gdy byli mniej liczni niż Belgowie i że lodowatą wodą nie da się tej klęski wytłumaczyć, bo przecież Polakom też było zimno.

Sport na tym się nie kończy, bo afisze na mieście zapowiedziały mecz siatkówki Polska - Rumunia i Polska - Czechosłowacja.

Tak więc Polska nie schodzi z afisza w Brukseli, a chociaż nie ma pawilonu na wystawie, nie znaczy to, że nie można tam znaleźć nic polskiego. Uważny turysta znajdzie w pawilonie hiszpańskim polskie wydanie „Don Kiszota" w gablotce Cervantesa. Wydanie pochodzi z roku 1786, odbite jest u Dufoura, „drukarza Jego Kr. Mości". W pawilonie kanadyjskim znajdzie polskie słowo „ witajcie" na różnojęzycznej tablicy u wejścia. Znajdzie też wewnątrz pawilonu polską gazetę z Toronto. W pawilonie Czerwonego Krzyża oprócz napisu polskiego: „Czerwony Krzyż" można zobaczyć w gablotce lalek parę łowicką obok malowanej skrzyni. W pawilonie Zakonu Kawalerów Maltańskich jest polski herb Kawalerów Maltańskich (z Matką Boską Częstochowską), a na mapie siedziba Zakonu w Polsce: Kamieniec. Za to na mapie Europy w pawilonie norweskim Polska jest ogołocona i z ziem wschodnich i z zachodnich. W watykańskim jest Kopernik wśród „sławnych duchownych", jest „Lublino" na tablicy wyliczającej uniwersytety katolickie. Jest portret kardynała Wyszyńskiego w „Kościele Milczenia".

A kiedy wracam z wystawy, znajduję w skrzynce do listów jakąś reklamę. Fabryka karmelków informuje mieszkańców Brukseli, że jej właściciel w czasie wizyty w Polsce znalazł przysmak, „którego świeżość i doskonały smak szedł w parze z właściwością, że nie przyklejał się do zębów" (aj, belgijskie mordoklejki!). Właściciel fabryki kupił wyłączność recepty i trzyma ją w „solidnym safecie w Rotterdamie"! No, no, kto by to pomyślał, że polskie irysy zrobią taką karierę! Fabryka, która kupiła receptę, nazywa się Van Melle a cukierki „Fruit-tella".

Ale wróćmy do zespołów i turystów przyjeżdżających do Belgii. Podobno rząd warszawski prosił specjalnie władze belgijskie, żeby nie udzielały azylu w czasie trwania wystawy. Sądząc po rezultatach Belgowie się tą prośbą wcale nie przejęli. Kilku muzyków i kilku chórzystów dostało azyl bez trudu. Po zespołach, które wyjechały, zostały piosenki zakazane w Polsce, np. ta o braciach przedzielonych Bugiem. Skorzystał też brukselski pomnik „Mannekenpis", bo dostał kostium krakowski.

Najwspanialszą jednak reprezentacją Polski, najdłużej trwającą i najpożyteczniejszą jest udział Krakowa w wystawie „Złoty wiek wielkich miast", która odbywa się w Gandawie. Biorą w niej udział takie miasta jak Londyn, Paryż, Lizbona, Wenecja, Lubeka i wiele innych, a Kraków się wyróżnia wspaniałością eksponatów, umieszczeniem objaśnień, w przeciwieństwie do innych miast, które dały tylko numery odsyłające zwiedzających do drogiego katalogu. Belgowie piszą, że każdy kulturalny człowiek powinien zobaczyć wystawę w Gandawie. Ja do tego dodam, że każdy jadący do Brukseli Polak powinien zatrzymać się w Gandawie na trzy, cztery godziny i zobaczyć stoisko Krakowa. Kraków wybrał okres od 1450 do 1550. Wystarczy wymienić niektóre eksponaty, żeby pokazać, jakie skarby zawiera wystawa: złoty globus jagielloński (na którym po raz pierwszy na świecie zaznaczono Amerykę), ornat Piotra Kmity, wspaniałe prymitywy z XV wieku z kościoła augustianów w Krakowie, dzieła profesorów uniwersytetu: Kopernika, Miechowity, Jana z Głogowa, Mikołaja Szadka, Jana z Łańcuta, Jana ze Stobnicy, krzyż z diademów, miecz Zygmunta Augusta, głowy z sali poselskiej na Wawelu, instrumenty astronomiczne współczesne Kopernikowi i jego portret, graduał Jana Olbrachta, itp. Ale omówienie tej wystawy wymagałoby osobnego artykułu, na tym więc kończymy dodając, że wystawa w Gandawie trwa do połowy września.

Jadwiga Pomorska

Wędrówki

NA ZAMKU CARISBROOKE

Dookoła wysp brytyjskich rozsypały się jak z rogu obfitości drobne wyspy, jedne bliżej, drugie dalej, mniejsze i większe. Wśród nich znajdują się bardzo malownicze, o zdrowym klimacie, na których Brytyjczycy chętnie spędzają (o ile się nie uda wyskoczyć na kontynent) swoje urlopy.

Ogrodem Anglii nazwano niewielką wyspę Wight, zaledwie o sześć mil odległą od południowego wybrzeża Wielkiej Brytanii. Z Londynu w niespełna 3 godziny jazdy można się cieszyć jej barwnością i urodą oraz wsłuchiwać się w szum fal tłukących się o przybrzeżne skały. Od wczesnej wiosny tonie w powodzi kwiatów o niezwykle intensywnych kolorach, a jesień zasypuje ją złotem liści leczących ze starych buków, dębów i klonów. Rosną tu również krzaki leszczyny o dużych liściach i płaczące wierzby, które długie warkocze swych gałęzi kąpią w szemrzących tak samo jak u nas strumykach. Piękno i bajeczny koloryt wyspy dawno „zwąchali" malarze i włóczą się ze swymi stalugami że aż gęsto od nich. Znają ją również poeci i pisarze.

Isle of Wight to nie tylko piękny ogród, ale i skarbnica nagromadzonych tu przez wieki pamiątek. Na stosunkowo niewielkim obszarze, bo liczącym zaledwie 147 mil kwadratowych, w starych wioskach rybackich, w miastach i miasteczkach — lata, które odeszły od nas bezpowrotnie — pozostawiły niezatarte ślady minionych epok. Gdzieniegdzie odradza się przeszłość; w Quarr odżyło opactwo benedyktynów, na ruinach dawnego, wzniesione w XIX wieku przez ojców z Solesmes.

Są tu pamiątki po panowaniu Rzymian, normandzkie i saksońskie ślady, stare mury i baszty, są prastare kościoły i kaplice o pięknych legendach. Tutaj wznosi się pałac królowej Wiktorii ze zbiorami dzieł sztuki, wśród których nie brak i brzydkich przedmiotów, typowych dla małomieszczańskich gustów owej epoki.

Archeologa nęci willa centuriona rzymskiego, w której zachowało się do dziś działające ogrzewanie przy pomocy glinianych rur, przez które przechodziła para, coś w rodzaju naszego centralnego ogrzewania.

Nad brzegami morza jest ukryte wśród skał tajemnicze przejście wiodące do baszty stojącej wysoko nad urwiskiem, skąd widać daleko otwartą przestrzeń. Stąd wypatrywano okrętów wiozących kontrabandę. Do Francji, w prostej linii jest niewięcej jak 60 mil.

Nic więc dziwnego, że ta pełna powabu wyspa jest ulubionym miejscem wypoczynkowym nie tylko londyńczyków. Stoją tu piękne i brzydkie hotele, pretensjonalne wille i w rozkosznych ogródkach zaciszne domki.

Całą wyspę pokrywa gęsta sieć wyasfaltowanych dróg, po których pędzą luksusowe samochody i autobusy rozwożąc turystów po godnych oglądania miejscach.

Jedziemy wygodnym autobusem do średniowiecznego zamku, którego wysokie mury wznoszą się pośrodku wyspy. Wóz już ruszał, gdy w ostatniej chwili wsiadło jeszcze dwóch dżentelmenów. Jeden z nich starszy i zażywny był w marynarce w grubą brązową pepitę, drugi młodszy i szczuplejszy, w marynarce w drobną zieloną pepitę. Jeden miał krawat w szkocką kratę, drugi fantazyjnie owinął sobie dookoła szyi szalik, którego końce zapchał do sportowej koszuli. Przez ramię zwisała lejka, a z kieszeni sterczał plik angielskich gazet. Miny obu gęste, pewne siebie.

Zwróciłem uwagę na ich dziwny akcent. Zapewne Amerykanie — pomyślałem sobie. Przecież nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że obie twarze są mi znajome; jakbym je już kiedyś w życiu widział.

Wygodne są angielskie autobusy. Bez wstrząsów suniemy szosą przez falisty teren. Krajobraz typowo pasterski; łąki i pasące się na nich stada owiec i krów. Wybrzeże morskie pozostało za nami, a my z szybkością 60 mil na godzinę mkniemy w głąb wyspy. Mijamy schludne wioski i miasteczka, które w promieniach jesiennego słońca wyglądają jakby wyjęte z barwnego filmu rysunkowego dla dzieci. Pędzimy pod górę i już ze znacznej odległości wyraźnie widzimy na tle błękitu nieba rysujące się zębate, obronne mury zamczyska. Mijamy wieś leżącą u stóp wzgórza i klasztor dominikanów. Zamek odgrodzony jest głęboką fosą, którą niegdyś płynęła woda. Dziś rosną tam krzaki i trawa.

Jeszcze jeden zakręt; z łatwością ciężka maszyna bierze nierówny teren i wreszcie stajemy przed imponującym i groźnie wyglądającym wejściem do warowni.

„Amerykanie" wpadają w cielęcy zachwyt. Co chwilę słychać: lovely isnt'it? — It is — odpowiada drugi. Młodszy pośpiesznie przygotowuje lejkę do zdjęć.

Przy wysiadaniu z autobusu powstał na chwilę zator. Młodszy „Amerykanin" przepychał się tak niezręcznie, że o włos nie wywrócił swojego kolegi i wówczas doleciały do moich uszu słowa wypowiedziane tak bardzo znajomym i miłym dla ucha śpiewnym akcentem: — „Ta nasypali piasku, ta Józku, uważaj!"

Mimo widocznych uszkodzeń, pierwszym wrażeniem, jakie odnosi zwiedzający, jest zawarta potęga mieszcząca się w szarym, ciosanym kamieniu, z którego wzniesiono mury i baszty zamku.

Drewniane wrota wciśnięte między dwie masywne półokrągłe baszty strzegą głównego wejścia. Słychać pstrykanie aparatów. Ktoś dobył notatnika i szkicuje. Obiekt wart jest uwiecznienia.

Po moście z czerwonej cegły przechodzi się przez bramę, nad którą widnieje litera „E" i data 1588. Lecz zamek jest znacznie starszy. W 530 r. Saksonowie opanowali wyspę i na starych fundamentach pozostałych po warowni rzymskiej wznieśli zamek, symbol ich władzy na wyspie. Nie tylko był to symbol. Saksonowie okazali się bezwzględnymi tyranami. Ujarzmili Brytonów — mieszkańców wyspy, część ich spędzili w więzach na stoki góry zamkowej, z której następnie, spod miecza oprawcy, potoczyły się ich głowy.

Kto dzierżył zamek, ten nie tylko panował na wyspie, ale również na znacznym obszarze morza.

Część bramy głównej pochodzi z 1335 r. Sam zamek stanowi kompleks budynków i dziedzińców otoczonych wysokim murem długości ponad milę. Nie ma tu obecnie żadnych wartościowych przedmiotów, za wyjątkiem jednego skrzydła, w którym mieści się muzeum etnograficzne. Stosunkowo dobrze zachowała się wielka sala rycerska z olbrzymim kominkiem. Z sali tej wiodą drzwi do niegdyś prywatnych komnat pana zamku i do kuchni.

Pustka i opuszczenie wyzierają z każdego kąta. Nie ma gromady dzielnych rycerzy, nie słychać gwarnych rozmów, nie ma komu suszyć pucharów i grać w kości — słychać tylko jak przez okna ze świstem wpada wiatr od morza. W kuchni pozostała średniowieczna prasa do wytłaczania serów, a w piwnicach widoczne są miejsca, gdzie ongiś stały kadzie i beczki z winem.

Niewielki, dobrze zachowany pokoik, z charakterystycznym romańskim bliźniaczym oknem z kolumienką pośrodku, jest miejscem, w którym Cromwell więził swego królewskiego jeńca Karola I. Dwukrotnie usiłowano uwolnić króla, ale nadaremnie. Raz przywódca spiskowców został schwytany w trakcie przygotowań do uwolnienia więźnia. Nie bawiono się z nim długo i ścięto głowę.

Za drugim razem król miał uciec przez okno przy pomocy sznura. Niestety, król i spiskowcy nie uwzględnili jednego: Karol I był rosłym i tęgim mężczyzną i nie mógł się przecisnąć przez wąskie okienko. Nieszczęsna kolumienka nie pozwoliła mu uciec. To przyspieszyło tragedię króla. Z tego właśnie pokoju wywieziono go do Londynu. Była to jego ostatnia podróż. W roku 1649 w Whitehall kat toporem ściął mu głowę.

Ostatnią tytularną panią na zamku była księżna Beatrice; zmarła w roku 1944.

Na olbrzymim dziedzińcu, w jednym z krytych budynków znajduje się studnia głębokości 700 stóp, wybudowana przez Rzymian za panowania cezara Klaudiusza. Podobnie jak przed wiekami rzymscy legioniści czerpali wodę przy pomocy wielkiego i szerokiego koła, wewnątrz którego dreptał osiołek poruszając je, tak i dziś poczciwy kłapouch pracowicie drepcze w kole i obracając je ciągnie na powierzchnię wiadra z wodą.

Nad główną bramą — pokazuje nam przewodnik — umocnienie dla artylerii. W lewym rogu obronnych murów wznosi się wysoka baszta połączona wewnętrznym balkonem ciągnącym się wzdłuż blanków. Widok stąd rozpościera się na całą wyspę i daleko na morze. Właśnie widać jak na dłoni jak ze swej bazy w Portsmouth wypłynęły dwa lotniskowce i płyną Kanałem. Towarzyszą im torpedowce i kontrtorpedowce. Home Fleet — czuwa.

Aleksander Milker

LISTY I UWAGI

POLACY W SZKOCJI DO CARFIN

W miesiącu Maryi, w maju tego roku, przedstawiciele Polskiej Hierarchii Kościelnej w Wielkiej Brytanii wystosowali odezwę do katolików polskich w tym kraju.

Rozpoczynając drugi rok Wielkiej Nowenny, celem naszym ma być — „włączenie się najściślejsze, zespolenie najbliższe z nurtem Nowenny Narodu".

Pielgrzymka Polaków w Szkocji do miejsca kultu Matki Boskiej w Carfin, w niedzielę 31 sierpnia, będzie główną sposobnością realizacji wezwania do wspólnego odnowienia Ślubów Jasnogórskich.

Pielgrzymka do Carfin, dziesiąta pielgrzymka, organizowana przez Polską Misję Katolicką przy pomocy polskiej Akcji Katolickiej w Szkocji, odbędzie się pod hasłem uświęcenia życia przez unikanie grzechu ciężkiego i trwanie w łasce Bożej. W myśl wskazań podanych w liście Episkopatu Polskiego — „W codziennym życiu mamy trzymać się oburącz Łaski Bożej".

Polacy w Szkocji przez liczny udział w pielgrzymce, zadokumentują ich niegasnącą miłość dla Niepokalanej, Królowej Polski.

„Miłość ku Niej rzuci nas w objęcia Miłosierdzia Bożego."

Niedziela 31 sierpnia będzie dla nas dniem wielkim, dniem świętym.

Wśród licznych rzesz pielgrzymów polskich w Carfin, niech nie zabraknie żadnego dziecka polskiego w Szkocji. Do nich przybliżony być musi Rok Łaski uświęcającej, w myśl słów odezwy Hierarchii:

„Niechaj przez życie nadprzyrodzone złączy się najmłodsze pokolenie polskie z Narodem, tym bliżej i silniej, im dłużej pozostaje mu żyć w oddaleniu od Ojczyzny."

Zebrani po raz dziesiąty w sanktuarium Najświętszej Maryi Panny w Carfin, w niedzielę dnia 31 sierpnia, pod przewodem naszych duszpasterzy powtórzymy Ślubowania Jasnogórskie:

„Matko Łaski Bożej, przyrzekamy Ci strzec w każdej duszy polskiej daru Łaski, jako źródła życia Bożego".

Tadeusz Ziarski	**Ks. Prałat L. Bombas**
Delegat	Rektor
Instytutu Polskiego	Polskiej Misji
Akcji Katolickiej	Katolickiej
w Szkocji	w Szkocji

CZY ZGŁOSIŁEŚ SIĘ JUŻ NA PIELGRZYMKĘ?

Z KRAJU DO POLONUSA...

W pańskim artykule „O człowieku z inteligencji" (ŻYCIE nr 46 z 17 listopada 1957) można wyróżnić trzy główne sprawy, a mianowicie: 1) inteligencja a religijność z mszalikiem, 2) czym należy sprawdzać katolicyzm? 3) czytelnictwo literatury religijnej.

Przystępując do pierwszej sprawy, należy zacząć od przysłowiowego już powiedzenia: „Cudze chwalicie, swego nie znacie..." Nasza polska inteligencja katolicka, czyli elita, istnieje z mszalikami i bez mszalików. U nas w Polsce tak się przyjęło, że nie mierzymy katolickości inteligencji mszalikiem. Mierzymy ją życiem sakramentalnym i praktyką codzienności w duchu Ewangelii. Od czasu przedwojennego wiele się w religijności Polaków zmieniło na lepsze, chociaż należałoby zachować wiele ostrożności w ocenie religijności przedwojennej, czego nie czyni Polonus. Chwalebną jest rzeczą uczyć się od sąsiadów dobra, ale niestety wzorem religijności dla nas nie mogą być te kraje, które wiele wydają mszalików i książek religijnych na eksport, ponieważ ich katolicy nie bardzo się garną do zaopatrywania się w wydawane pozycje.

Warstwy naszego narodu w kraju nie potrzebują sobie wyobrażać łączenia pobożności katolickiej z wysokim poziomem intelektualnym, ponieważ to jest rzeczywistością a nie sprawą wyobrażeń. Do dalekiej przeszłości pozytywistycznej należy teza o niepogodzeniu wykształcenia z religijnością. Dlatego twierdzenie o niepojętej sprawie łączenia religijności z wysokim poziomem życia umysłowego „między bajki włożę".

Że będą jakieś grupy ludzi dawnych poglądów, to czy nie ma ich w cytowanej przez Pana Francji, Anglii, USA? Z przyjemnością możemy podać do wiadomości Pana, że my się żywo interesujemy życiem katolickim w krajach Zachodu. I tego co słyszymy, dobrego i złego, nie zamierzamy uogólniać. To co jest dobre cieszy nas bardzo, bo jesteśmy katolikami, wprawdzie nie wszyscy z mszalikami, bo nas na nie nie stać — ale katolikami staramy się być. Smuci nas nawet i małe zło, bo jesteśmy świadomi jedności Ciała Mistycznego i bolejemy, gdy nasi bracia i domownicy wiary zawodzą nadzieje Chrystusa. I w ten sposób przedstawiałaby się próba odpowiedzi na pytanie, czym należy sprawdzać katolicyzm. Pan wybaczy, że boimy się o taki katolicyzm człowieka, który przeżywa radość pychy, i dziękuje Bogu, że nie jest taki jak my tu w Polsce. I bardzo nas martwi, że nasi Bracia — katolicy na emigracji — ufamy, że nie wszyscy — zatracają z nami łączność nawet w katolicyzmie, w Chrystusie, a nie tylko ojczyźnianą. Zamiast obelg i naigrawania się zapewniamy o tym, że dla nas jesteście braćmi, ponieważ do nas przemawia przepisywany piórem, powielany tekst Communicantes z Kanonu Mszy świętej, a którego w mszaliku nie możemy wyczytać, bo mało jeszcze posiadamy mszalików w stosunku do zapotrzebowań.

Wreszcie sprawa czytelnictwa katolickiej książki, jak „Suma teologiczna" św. Tomasza, dzieła św. Teresy, czy św. Augustyna, to może Polonus powie nam, jaki procent katolików francuskich, mimo że posiadają powyższe dzieła w swoim języku, czyta je i posiada? Wiadomo nam, że bogata twórczość katolicka, i co do jakości bezkonkurencyjna, leży, a wydawnictwa przesyłają nam także swoje katalogi książek jeszcze przedwojennych i powojennych, które posiadają na składzie, mimo że nie były to nakłady idące w dziesiątki tysięcy. U nas katolicy pragną czytać, a nie mają co. Wszystkiego jest za mało, co się pokaże na rynku księgarskim. Nasi katolicy wiedzą, że katolicyzm jest głębokim prądem intelektualnym. Słyszymy o tym na kazaniach. Słyszymy o wszystkim, także o problemach, jakimi żyje świat współczesny, słyszymy z ambon naszych świątyń, ponieważ nie mamy literatury w nadmiarze, i czasu na jej czytanie. —

X... (Polska)

...I WYJAŚNIENIE POLONUSA

Na list Szanownej Autorki datowany w styczniu, ale doręczony mi dopiero w czerwcu, muszę odpowiedzieć, że Autorka nie zrozumiała mojego artykułu. Nie ma w jej liście, z grubsza rzecz biorąc, niczego, z czym bym się nie zgadzał, a także niczego, co nie budziłoby we mnie sympatii. Ale list ten nie jest repliką na to, co w moim artykule napisałem.

Przede wszystkim muszę odrzucić podział na „my" i „wy". Ja nie pisałem o inteligencji w Polsce ale o inteligencji polskiej. Impuls do artykułu dała mi powtórzona mi rozmowa z gościem z Polski, ale ludzi tak samo myślących spotykamy całe zastępy również i wśród tzw. „inteligencji" na emigracji. Różnica między obliczem emigracji, a obliczem kraju jest o wiele mniejsza niż rodacy w kraju sądzą. Zjawiska i procesy są łączne, a my na emigracji czujemy się cząstką jednego i tego samego polskiego narodu i jednego i tego samego polskiego społeczeństwa. Pisząc moje felietony, piszę je dla Polaków i nie przychodzi mi po prostu na myśl, do których Polaków, tych w Polsce, czy tych na obczyźnie mam się szczególnie zwracać. W praktyce jednak zwracam się głównie do Polaków na emigracji, bo to oni właśnie ŻYCIE czytają. Także i felieton, który się Autorce nie spodobał, był w praktyce przeznaczony dla czytelników emigracyjnych i Autorka niesłusznie się nań obraziła imieniem kraju.

Jestem z Autorką całkowicie zgodny w poglądzie, że „nasza polska inteligencja katolicka, czyli elita, istnieje z mszalikami i bez mszalików". Istnieje w kraju i na emigracji. Ale czy Autorka naprawdę odmawia słuszności mojemu poglądowi, że co najmniej liczny odłam inteligencji polskiej, a obawiam się, że znaczna większość, nie zasługuje w ogóle na nazwę inteligencji katolickiej?

Byłem niedawno na zebraniu koleżeńskim około trzydziestu polskich inteligentów w Londynie, mężczyzn. Był wśród nas jeden czy dwóch gości z kraju, reszta to byli Polacy londyńscy. Zebranie było połączone z kolacją, a było to w piątek. Podano nam zrazy z kaszą. Byłem, jeśli się nie mylę, jedynym obecnym, który zażądał dania postnego. Sprawdzian mszalika Autorce nie odpowiada (choć rzecz prosta nie miałem na myśli samego tylko mszalika, lecz jak się wyraziłem „pobożną literaturę"). Czy jedzenie mięsa w piątek Autorka uważa za dostateczny, czy niedostateczny dowód obojętności religijnej?

Wymieniłem bez wahania grupę emigrantów, bo nie nauczyłem się jeszcze dzielić Polaków na „wy" i „my". Może Autorka odpowie, że oblicze grupy inteligentów polskich na emigracji nie świadczy o obliczu inteligencji polskiej w ogóle. Otóż proszę łaskawie zrobić sobie w myśli spis inteligentów w swoim mieście w Polsce, listę trzydziestu członków jakiejkolwiek grupy miejscowej inteligencji: lekarzy, adwokatów, inżynierów, oficerów miejscowego garnizonu, nauczycieli, urzędników wojewódzkich, urzędników bankowych lub tp. i postawić sobie z ręką na sercu pytanie: jaki procent pośród nich odmówiłby w piątek z motywów religijnych zjedzenia zrazów z kaszą, gdyby ich nimi poczęstowano? Z ręką na sercu? — Obawiam się, że procent ten nie byłby wysoki.

A tymczasem — znowu z ręką na sercu — jestem pewien, że gdyby zrobić tu w Londynie takie posiedzenie trzydziestu przypadkowo zebranych, ale ochrzczonych w kościele katolickim lekarzy, prawników, inżynierów, oficerów wojska, marynarki lub lotnictwa, urzędników bankowych, dyplomatów, czy nauczycieli narodowości angielskiej, to procent ten byłby duży. Może połowa, może trzy czwarte.

Co tu dużo mówić. Inteligencja polska w swej masie nie jest katolicka. Inteligencję katolicką posiadamy, ale jest ona mniejszością. Główną masę naszej inteligencji stanowią wprawdzie nie wrogowie Kościoła, ale i nie katolicy. Ludzie obojętni. A zarazem ludzie odznaczający się dziwną ignorancją w rzeczach katolickich. Katolickością ludu

wiejskiego górujemy nad większością krajów zachodu, ale katolickością inteligencji ustępujemy bardzo niemal wszystkim.

Co do czytania w zachodniej Europie dzieł św. Tomasza, św. Teresy, św. Augustyna itd., nie umiem odpowiedzieć na pytanie Autorki, „jaki procent katolików francuskich... powyższe dzieła... czyta i posiada", bo znam Francję niedostatecznie. Zostawmy jednak Francję na boku. Francja jest krajem chorym i także i wiele naszych, polskich chorób pochodzi stąd, żeśmy się nimi od Francji, w czasach napoleońskich, lub później lub wcześniej, zarazili. Nie oglądajmy się za bardzo na Francję i nie usprawiedliwiajmy naszych braków tym, że we Francji jest nielepiej.

Mogę jednak bardzo ściśle odpowiedzieć na to samo pytanie dotyczące katolików angielskich, bo tak się składa, że pracuję w katolickim dziale w angielskiej księgarni i widzę własnymi oczyma tych studentów, którzy kupują książki o cenie każdego tomu równej cenie pary męskiego obuwia, tych oficerów, inżynierów, lekarzy, prawników, kupujących pobożne rozmyślania, żywoty Świętych, traktaty teologiczne. Odpowiedź moja brzmi: cieszyłbym się, gdyby wśród inteligencji polskiej ochrzczonej w kościele katolickim zainteresowanie literaturą katolicką było proporcjonalnie tylko dziesięć razy mniejsze niż wśród katolików angielskich.

Polonus

KS. RUDOLF KOMOREK

Spotkałem niedawno w jednym z pism krajowych wiadomość, która mnie zaskoczyła: jakiś nieznany mi zupełnie ksiądz polski, który pracował w Brazylii, jest ni mniej ni więcej tylko poważnym kandydatem na świętego. Jego nazwisko — Rudolf Komorek!

Wstyd dla człowieka: być w Brazylii i o czymś podobnym nie wiedzieć! Zacząłem więc rozpytywać na miejscu. Oto, co mi opowiedzieli salezjanie z Sao Paulo:

Nie ma jeszcze pełnego życiorysu tego zasłużonego kapłana. Jest tylko skromna ulotka w języku portugalskim, z fotografią: zamyślony jest na niej i stroskany. Zaraz, w pierwszej linijce druku, dowiadujemy się, że Ks. Rudolf Komorek był Polakiem (polones), że się urodził w Bielsku w roku 1890.

Księdzem został w 1913 roku. Pierwsza wojna światowa porwała go na front, jako kapelana w wojsku austriackim. Po dwóch latach dostał się ks. Rudolf do niewoli włoskiej i był tam dwa miesiące. Jako kapelan trwał ze swymi żołnierzami w okopach, na pierwszej linii frontu i musiał się spisywać dzielnie, skoro mu i rząd i Czerwony Krzyż przyznał wysokie odznaczenia.

Po uwolnieniu z niewoli wrócił do swej diecezji i zaraz wstąpił do salezjanów. Salezjanie wysłali go wnet do Brazylii.

W Brazylii pracował na kilku placówkach, najpierw w Sao Feliciano. Jest to kolonia, czyli osada w stanie Rio Grande do Sul, na samym południu Brazylii. Stamtąd przeniesiono go do Niteroi, koło Rio de Janeiro. Już wtedy uważano go za świętego. Po jakimś czasie poszedł do Lavrinas, a gdy się okazało, że jego płuca są zagrożone, wysłano go do klimatycznej miejscowości Sao José dos Campos. I tam — po pięknej, pełnej miłości dla chorych pracy — zakończył życie w 1949 roku, po 25 latach pobytu na Ziemi św. Krzyża.

Ks. Rudolf Komorek — czytamy dalej — prowadził życie prawdziwego pokutnika, życie wypełnione modlitwą, niezmordowaną pracą i niezwykłymi umartwieniami. Jeden z księży salezjanów objaśnia mi, że wszystkie te umartwienia ofiarował ks. Rudolf za kogoś ze swoich bliskich, by go nawrócić i sprowadzić do Kościoła z bezdroży. Ulotka zapewnia że przez ks. Rudolfa działał Bóg prawdziwe cuda, cuda sprawdzone przez duchowieństwo, nie tylko przez ludność. Ludność katolicka w Brazylii goni za cudownościami i jej zdania nie można by brać na serio. Ale o tych cudach mówią ludzie znający się na rzeczy.

Proces beatyfikacyjny został już rozpoczęty. Oczywiście, jest to na razie proces wstępny, bo Kościół nie spieszy się z wynoszeniem ludzi na ołtarze. Prawo kanoniczne przewiduje, że poza nadzwyczajnymi wypadkami beatyfikacja może nastąpić dopiero w 50 lat po śmierci świątobliwej osoby. Ale najwyżsi przełożeni salezjańscy piszą z Rzymu, że sprawa świątobliwego Księdza Rudolfa jest na najlepszej drodze. Radość będzie, jeżeli Bóg pozwoli kiedyś na beatyfikację naszego rodaka, który swe życie i trudy i prace oddał krajowi, gdzie przebywa ponad ćwierć miliona Polaków!

Ks. W. Sojka, C.M.

DO KOLEGÓW WĘGIERSKICH*)

Drodzy Koledzy!

Pod wrażeniem nowej fali represji, których ofiarami padają ostatnio szczególnie liczni pisarze i dziennikarze węgierscy — przesyłamy Wam, Drodzy Koledzy, wyrazy najgłębszego współczucia.

Nie wymieniamy żadnych nazwisk, chociaż wśród ofiar ostatnich prześladowań są ludzie o dużym dorobku pisarskim i publicystycznym znani także poza granicami Waszej ojczyzny, wydaje się nam bowiem, że cena krwi każdego człowieka jest równa, a a terrorystyczny system na Węgrzech prócz intelektualistów zabija także, więzi i zniesławia niezliczonych „szarych ludzi", których nazwisk ani nawet liczby nie znamy i nie jesteśmy w stanie ustalić; los ich obchodzi nas wszakże i wzrusza tak samo, jak los naszych Kolegów.

Przesyłając na Wasze ręce niniejszy list kondolencyjny, myślimy o wszystkich bohaterach i męczennikach węgierskich, także i tych najliczniejszych — a bezimiennych.

Za zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie:

Wiesław Wohnout, prezes
Teodozya Lisiewicz, sekretarz.

Za zarząd Związku Dziennikarzy Polskich na Obczyźnie:

Paweł Hęciak, prezes (p. o.)
Bogdan Jeżewski, sekretarz.

---

*) List był skierowany do Sekcji Węgierskiej Międzynarodowego PEN KLUBU w Londynie.

BOJOWANIE A ŁASKA

P. Z. E. Wałaszewski, w swym artykule „De rebus emendandis" postawił mi zarzut, że w swym artykule „Klęska wieku", w niektórych zwrotach, „nie osiągnąłem poziomu" swego artykułu z maja, pt. „O wspólny język". Zdaje się mi zarzucać brak umiaru, który „z przekonaniem propagowałem" w artykule majowym. Ponieważ uważam, że pogląd taki może się komuś narzucać, jeśli się nie da odpowiedniego wyjaśnienia, śpieszę z tym wyjaśnieniem.

Otóż, przede wszystkim, artykuł został przez Redakcję dowolnie skrócony. Uważam, że w pełnym tekście chociaż częściowo punkt ten by się sam tłumaczył. Pisałem tam bowiem, że niechętnie podejmuję tę polemikę, ponieważ chodzi mi o utrzymanie dyskusji na poziomie uczuciowo nie za wysokim. Jednak, skoro już chodzi o pełne wyjaśnienie, dodam teraz więcej. Moim zdaniem, w każdej dyskusji są dwie strony zagadnienia: jedna to linia argumentów, druga to poziom wypowiedzi. Poziom nie tylko stylistyczny, ale także — taktyczny. Tam, gdzie taktyką rządzą po obu stronach podobne intencje, intencje pozytywne, można i trzeba stosować umiar najdalej idący — głoszę to z jednakowym przekonaniem. Tam jed-

ŻYCIE

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.

Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. **Zmiana adresu:** szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £ 1.5.0, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister**, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kulakowska**, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. Pren. kwart, 60 frs. **Brazylia: Księgarnia Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks K. Stolarek**, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers**, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk**, Gablonzerstr. 7/I, 13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski**, 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import**, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz**, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana**, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska**, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Z. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 4.80 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski**, via Michele Amari 52, Roma.

nak, gdzie dyskusja jest narzucona, a wraz z nią narzucona jest taktyka negatywna, w intencji zaczepna i obojętna dla obiektywnego celu dyskusji, jakim jest znalezienie prawdy przez konfrontację i ocenę argumentów, polemika może, nieraz zaś nawet powinna być — odporem. „Bojowanie n jest życie człowieka", mówi Apostoł. Bojowaniem o Prawdę. Czy rację ma wobec tego Bernanos (n. b. bardzo kontrowersyjny pisarz katolicki) mówiąc, przez usta swego szczególnego bohatera, że „wszystko jest Łaską"*) — to, moim zdaniem, wielkie pytanie. Dla mnie, przy możliwości dowolnego interpretowania, powiedzenie to dość niebezpiecznie zbliża się do herezji.

Celowo zestawiam te dwa powiedzenia, ponieważ wydaje mi się, że ilustrują one różnice punktu widzenia, bez których znajomości istotnie uwaga p. Wałaszewskiego byłaby nieodparcie słuszna.

Roman Jasieńczyk

Ś. † P.

Jan Baczewski

działacz Polonii w Niemczech, bojownik o prawa Polaków w Niemczech, wieloletni poseł do Sejmu Pruskiego z ramienia polskiej, duńskiej, serbołużyckiej i fryzyjskiej mniejszości narodowej, współzałożyciel organizacji polskich w Niemczech, m. in. Związku Polaków, organizator szkolnictwa polskiego w Niemczech, wielokrotnie więziony przez władze pruskie, więzień w Sachsenhausen, odznaczony Krzyżem Wrzesińskim „za Walkę o Szkołę Polską", Odznaką Honorową b. Więźniów Ideowych, Odznaką Szczecińskiego „Złotego Gryfa", Kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski,

urodzony 13 grudnia 1890 w Gryźlicach, zmarł zaopatrzony św. Sakramentami 20 czerwca 1958, pochowany w Olsztynie.

ZWIĄZEK POLAKÓW W NIEMCZECH

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734